



Andrzej Daniluk

Skąd my?



## Zdjęcia:

6, 13, 14, 28,,29, 30, 31, 32, 60, 62 – Encyklopedia Zwierząt od A do Z;  
27 – Encyklopedia Powszechna PWN;  
75, 76 - Atlas Historyczny Polski, Państwowe Przedsiębiorstwo Wydawnictw  
Kartograficznych im Eugeniusza Romera, Warszawa, Wrocław  
85, 159 – z internetu  
pozostałe - , z albumów: Felicji Maksymiuk, Heleny Siemieniuk,. Maryli i Szczepana  
Walczuk, Roberta Kowieskiego, Katarzyny Dąbkowskiej, Grzegorza Daniluka, Teresy  
Daniluk, Tomasza Rutkowskiego i ze zbiorów własnych autora.

Andrzej Daniluk

Skąd my?







Mierzvice Nowe

UFAM TOBIE



## ***I. Zamiast wstępu i epilogu***

*Był marcowy ranek 2009 roku. Pogoda zmienna. Trochę śniegu, trochę mrozu. Odwiedziłem cmentarz w Sarnakach. Leżą tam moi bliscy. Spacer alejkami, wśród grobów, uświadomił mi, że jestem w miejscu, gdzie znaleźli się sąsiedzi z czasów mojej młodości, koledzy, przyjaciele, rodzina. Nazwiska osób, które kiedyś mieszkały w Mierzwicach Starych, Nowych, na Koloniach, gdzie żyli, pracowali, przeżywali radości i smutki, teraz zdobią przyależkowe nagrobki. Mogiły okazałe, przykryte pomnikami. Czasem, gdzieś w zakamarkach, spotykałem małe zapadnięte mogiłki ludzi, których rodziny też tu się znalazły lub, gdzieś wyjechały w szeroki świat. Chyba, już tu nikt nie pali zniczy, nikt nie porządkuje, drewniane krzyże dochodzą swoich dni, napisy się zatartły, trudno odczytać, kto tu leży? Zastanawiałem się na ludzkim losie, nad przemijaniem, próbowałem przywołać w pamięci sylwetki tych, którzy odeszli już bardzo dawno, jeszcze w moim dzieciństwie. Zrozumiałem, że tu można uczyć się historii tych ziem, tu można spotkać się przeszłością już solidnie zatartą w ułomnej pamięci starszego pana.*

*Postanowiłem odwiedzić swoją rodzinę zamieszkałą w Nowych Mierzwicach. Zaledwie przed kilku laty tutaj wrócili. Ze starego rozsypanych się domu stworzyli schludny domek, o miłym wyglądzie, a najważniejsze zamieszkały przez bardzo sympatyczne małżeństwo Maryli i Szczepana Walczuków. Zadbali, aby stare gniazdo Romaniuków, Iwaniuków nie zaginęło. Odbudowali je, unowocześnili, zbudowali ciepły i przytulny kąt, do którego chętnie się przyjeżdża, do którego chętnie się wraca. Stąd wywodziła się moja żona - Krysia - najstarsza córka Iwaniuków – moja wielka miłość.*

*Jak zwykle drzwi stały otworem. Miło było patrzeć na rozpromienione buzie, pełne życzliwości i sympatii dla gościa, który od czasu do czasu ich nawiedzał. Gospodarze zapraszają do stołu częstując wyborną herbatą i jeszcze wyborniejszym ciastem wytworzonym rękoma Maryli. Rozmawiamy. Wreszcie pada propozycja, prośba, życzenie.*

- Andrzej, jest kilka książek o Sarnakach, autorzy przy okazji wspominają Mierzvice Stare, w internecie też ktoś założył stronę poświęconą Mierzwicom Starym i Koloniom, nic nie ma na temat Nowych Mierzwic, jakbyśmy nigdy nie istnieli. Może napisałbyś coś o naszej wsi?

- Nie takie to proste. Nie mam zbyt wielkiej smykałki do pisania, jestem fizykiem. Spróbować można. Musielibyście mi pomóc. Potrzebne są zdjęcia. Dobrze porozmawiać ze starymi ludźmi, których zostało tu bardzo niewiele, może coś pamiętają, jakieś ciekawe historie z życia mieszkańców, ciekawe epizody. Mógłbym to napisać w postaci gawędy, jaką prowadzi autor z dziadkiem Staśkiem. Szkoda, że nie wykorzystaliśmy jego wiedzy, gdy żył. W jego 96 letnim życiu wydarzyło się wiele i zapewne potrafiłby opowiedzieć o swojej młodości, a więc o czasach, które mogłyby nas zainteresować. Mam



jeszcze inny pomysł. Niechby to była rozmowa wnuka z dziadkiem, czyli ze mną. Ta druga koncepcja jest mi bliższa.

- Andrzej, Fela mówiła, że u niej na strychu zachowało się mnóstwo zdjęć, które zrobił jej brat w czasach swojej młodości. Był zapalonym fotografem. Trochę zdjęć jest u nas, u ciotki Helenki też by się znalazło sporo. Być może inni mieszkańcy też chętnie udostępniliby swoje zbiory. Jak przyjedziesz następnym razem wszystko ci przygotujemy.

*I tak się zaczęło. Przespacerowałem się przez wieś. Staralem się sfotografować wszystkie stare budynki, ukryte w zakamarkach podwórek, stare domy o nieco zmienionej sylwetce, stare studnie, miejsca, gdzie, kiedyś się coś działo. Otrzymałem mnóstwo zdjęć do wykorzystania zebranych od różnych ludzi. Okazało się, że sporo ciekawych dokumentów i notatek przechowywanych po ojcu i dziadku miał mój stryjeczny brat Grzesiek. Włączyli się Sokołowscy. Tomek przywiózł mi plik książek poświęconych historii Podlasia i Podlasiaków. Mój ojciec też pisał pamiętnik, którego obszernie fragmenty posiadałem. I tak się zaczęło...*

*Przy pisaniu tej książeczki pomagało mi wielu ludzi. Chciałbym serdecznie podziękować inicjatorom Marylce i Szczepanowi Walczukom za pomysł, inicjatywę, i pomoc w zbieraniu materiałów. Pani Feli Maksymiukowej za zdjęcia, które pozwoliła wykorzystać, podobnie cioci Heli Siemieniukowej. Serdeczne dzięki składam Grześkowi Danilukowi, który zechciał udostępnić swoje bogate archiwum, jego siostrze Teresie za udostępnienie zdjęć z rodzinnego albumu, Marysi i Tomkowi Sokołowskiemu za wspieranie odpowiednią literaturą, oraz wielu, którzy w jakiś sposób przyczynili się do powstania tej książeczki - albumu. Serdeczne dzięki!*



## II. Puszcza

Leśną drogą wyjeżdżoną przez samochody i traktory wędrowało dwóch mężczyzn. Starszemu siwizna mocna przyprószyła skronie. Musiał niegdyś szczyć się bujną i gęstą czupryną porastającą górną część czaszki. Ogorzała skóra: twarzy, szyi i rąk, wskazywała, iż mężczyzna uwielbiał przebywanie na świeżym powietrzu, i nie unikał słońca. W młodości włosy musiały być gęste,



Fot.1. Drogą wyjeżdżoną przez samochody szło dwóch mężczyzn

ciemne i sztywne. Jeszcze teraz, okazy dawnej świetności nie poddawały się zabiegom pielęgnacyjnym właściciela i z grzebieniem toczyły nieustanną wojnę. Na szczycie głowy tworzyły niesforne czuby i nadawały jej wyraz nieuporządkowania. Łysiny nie było widać, chociaż słońce wyraźnie przeświecało przez skołtunione włosy i podświetlało bielejącą skórę na niewielkiej głowie. Brak charakterystycznych krągłości typowych dla sędziwego wieku nadawało starszemu panu sylwetkę młodzieńczą, a energiczne ruchy dodawały jej żywotności. Spod krzaczastych brwi patrzyły bystre oczy. Drugi, znacznie młodszy, wyglądał na jego wnuka. Wysokiego wzrostu, masywnej budowy ciała, mógł budzić szacunek u mniejszych, agresywnych osiłków. Szczyt głowy porastały szczeciniaste, ciemne, zgodnie z trendami współczesnej mody, krótko strzyżone włosy. Łagodny i ciepły wzrok działał rozbrajająco.

Chłopak robił wrażenie młodzieńca pogodnej natury i życzliwego ludziom. Broda i wąsy już pociemniały, co mogło wskazywać, że mężczyźni zaczął się sypać zarost bujny i wymagający przyzwoitej pielęgnacji.

- Wiesz – odezwał się w pewnej chwili starszy – że jeszcze przed trzydziestu laty po prawej stronie drogi ciągnęły się uprawne pola.

- Dziadku, to ten las ma trzydzieści lat? – dziwił się chłopak.

- Na piaszczystej ziemi plony były słabe, więc, gdy porządkowano miejscowe grunty wydzielono najślabsze i



Fot.2. Dukt biegł z północnego zachodu na południowy wschód



potem je zalesiono. Twoja mama doskonale pamięta, że tam były pola, na których rosło żyto, owies, ziemniaki. Lewą stronę porastał las, zapewne od zawsze – *mówił starszy pan, prawdopodobnie dziadek młodzieńca.*

- Ciekawe.
- Za chwilę skręcimy w linię, taki leśny dukt. Poprowadzę cię przez ciekawe zakamarki lasu, miejscami przypominającego pierwotną puszczy – *rzekł starszy.*
- Zauważyłem, że las został pocięty prosto biegnącymi drogami.
- Już od dawna nie ma dzikich lasów rosnących zgodnie z prawami przyrody. Teraz lasy pielęgnuje się. Drewno jest ważnym surowcem i głównie po to się hoduje lasy. Dukty zapewniają wygodny dostęp do różnych jego części.
- Myślę, że lasy dbają o czyste powietrze.
- Oczywiście, pożytków z lasu jest bardzo wiele. Kiedyś ludzie żyli z lasu zajmując się zbieractwem. Znasz zapewne stare powiedzenie, właściwie pozdrowienie, „darz bór”.
- Znam, nie wiedziałem tylko, co ono oznacza?
- Po prostu, niech bór nas darzy swoimi skarbami.



*Fot.3. Tuż obok drogi wyjeżdżonej przez samochody krył się wąwóz przecięty linią. Zdjęcie zrobiono wczesną wiosną*

*zarośnięty gęsto krzakami. Zaniedbania ludzi wykorzystana przyroda. Wróciła tam, gdzie ongiś była, a gdzie drapieżny człowiek próbował ją usunąć,*



*Fot.4. Wykrot*

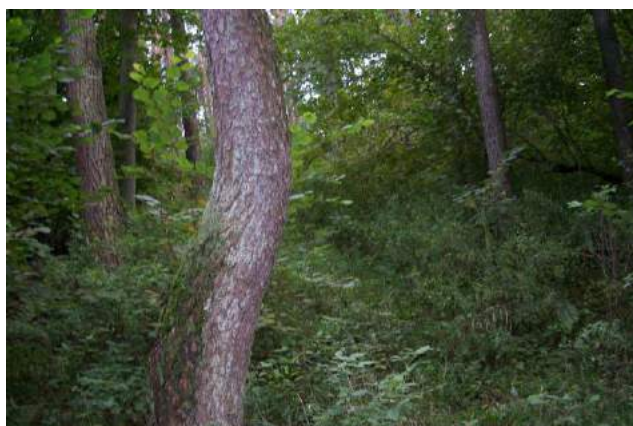


*zaprowadzić swoje porządki.*

- Skręcimy w lewo. Mamy przed sobą linię, akurat ta prowadzi przez najciekawsze zakątki lasu, miejscami przypominającego pierwotną puszcę, kiedyś często tędy wędrowałem – *mówił starszy mężczyzna nazywany przez młodszego dziadkiem.* Za chwilę przetniemy wąwóz pełen powalonych i pozostawionych samym sobie drzew – *dodał.*

- Rzeczywiście, pełno tu powalonych pni.

- To są wiatrołomy i wykroty.



*Fot.5. W gąszczu zwierzęta miały doskonale kryjówki*

- Czuję dziwny zapach, trochę śmierdzi, jakby błotem?

-- To dziki, gdzieś tu zalega stado, czują się bezpieczne i nie zrywają się do ucieczki. W dzień lubią wylegiwać się w zacisznych gęstwinach. Stado zawsze tworzy rodzaj koła, zadami skierowane do środka, a ryjami na zewnątrz. W takiej pozycji łatwo wyczuć niebezpieczeństwo. Zawsze, któryś ryj skierowany jest w stronę nieprzyjemnego zapachu - człowieka, ewentualnego zagrożenia. Dzikie mają dobry węch i łatwo wyczuwają ludzi. Gorzej jest ze wzrokiem. Teraz nikt na nie, nie poluje, więc, mimo zapachu ludzi nie uciekają i nie zdradzają swoich kryjówek. Zupełnie inaczej zachowują się późną jesienią i w zimie, kiedy uganiają się za nimi myśliwce.

- Nie zaatakują nas? - *pytał z niepokojem młody*

- Nie. Nie masz się, czego obawiać – *uspokajał starszy.*

*Wyszli z wąwozu. Zapachy znikły. Teraz droga biegła wzdłuż wysokiego*

- Ten wąwóz przypomina dolinę rzeczki.

- Tak, kiedyś płynął tu leśny strumień. Dawniej zimy były bardzo śnieżne i mroźne. W glebie pozostawało dużo więcej wilgoci, niż teraz. Poziom wód gruntowych był wysoki. Co krok spotykało się źródła. Teraz mamy klimat cieplejszy i bardziej suchy, niż niegdyś.

- Jest tak zarośnięty, że trudno cokolwiek w głębi zobaczyć.

- Pociągnij nosem!



*Fot.6. Dzik*



szpaleru drzew, zarośnięta krzakami, wyrównała się, aby po kilkudziesięciu metrach zacząć się wspinać znowu na niewielkie wzniesienie. W gęstwinie widać powalone przez wiatr drzewa, których nikt nie sprzątał. Dostęp był utrudniony,



Fot.7. Drogę przegradzały powalone pnie brzoź

bo nierówny stok bardzo utrudniał przejazd sprzętu zmechanizowanego, a teraz tylko takim posługują się leśnicy. Podróżników otaczał las mieszany. Przez zieloną ścianę podszycia przeświecały białe pnie brzoź.

- Dziadku, wszędzie pełno powalonych brzoź.

- Brzozy nie zapuszczają głęboko w ziemię korzeni, więc wiatry łatwo je przewracają. Brzoza ma bardzo miękkie i białe drewno. Różne

stwory leśne upodobały sobie brzozowe drewno za źródło pokarmu. Toczą je chętnie różne drzewojady. Na martwych pniach rosną grzyby. Nie wiem czy wiesz, że w brzeziniakach chętnie rosną kraśniaki i koźlaki?

- Niezbyt lubię zbierać grzyby i za bardzo na nich się nie znam.

- Szkoda, grzybobranie zachęca nas do spacerów po lesie. Zawsze są fascynujące.

- Trzeba bardzo wcześnie wstawać.

- Rasowy grzybiarz powinien wschód słońca oglądać w głębi lasu.

- Bardzo nie lubię wcześnie wstawać.

- Siedzisz po nocach, powinieneś



Fot.8. Zapewne jest to huba, która żyje na martwym drzewie



Fot.9. Grzyby rosną i na żywych drzewach

zmienić czas swojej aktywności.

- Dziadku, łatwo tobie mówić. Potrzebujesz mało snu i nie siedzisz po nocach.

- Kładę się spać tuż przed północą, a wstaję o szóstej.

- Dziadku, zobacz, grzyby rosną i na żywych brzozach.

- Rosną. Drzewa muszą być osłabione.

Wędrowcy weszli na szczyt wału o niezbyt stromych zboczach.



– Wiesz, skąd to się wzięło?

- Wszystko zwałają na lodowiec, więc zapewne, to on przytargał i usypał te wały – *zaśmiał się młody mężczyzna.*

- Rzeczywiście, tak się uważa. Wszelkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że tak rzeczywiście mogło być. Lodowiec w zamierzchłych czasach przywłókł zwały kamieni, usypał żwirzaste i kamieniste wzniesienia poprzetykane rozległymi płatami gliny, w których, podczas obfitszych deszczów gromadziła się woda. We wgłębieniach tworzyły się bajora wykorzystywane przez dziki na kąpieliska, inne zwierzęta miały dogodne wodopoje. Wytlumaczenie jest bardzo eleganckie. W górach rzeczywiście, tak się dzieje. Lodom pomaga grawitacja. Skąd wziąć grawitację na rozległych równinach. Tutaj lepiej spisuje się wiatr, pod warunkiem, że jest pusto i sucho. Wiatr nie przytoczy zbyt wielkich kamieni, a tu wszędzie spotykamy olbrzymie głazy. Część kamieni jakieś siły wypchnęły z głębi ziemi.



*Fot.10. Ze ściółki leśnej wycierały głazy nieraz potężnych rozmiarów*

- Dziadku, w tym lesie jest sporo porozrzucanych głazów, niektóre ledwie wystają z ziemi.

- Rzeczywiście, tu jest wiele głazowisk. Najczęściej spotykamy je na stokach wzniesień, czasem na szczytach. Możesz sprawdzić, że między krzakami leszczyny kryje się wiele kamieni.



*Fot.11. Pociemniało*

- Teraz droga opada w dół. Z góry wydaje się, że dolina jest głęboka.

- Pod szczytem i na samym wale gąszcz jest trudny do przebycia. Dalej widać jasny las bez podszycia. Rosną same sosny.

- Tylko w dolinie. Dalej znowu zaczyna się mieszany i gęsty. Sporo tu rośnie młodziaka.

- Były cięcia, potem wyrosły nowe drzewa. Tutaj zawsze był las. Pagórkowaty teren, niezbyt

urodzajna ziemia i mnóstwo kamieni zniechęcały potencjalnych rolników do karczowania, i uzdatniania gleby dla ich potrzeb. Od kilkuset lat las uprawiali leśnicy. Kiedyś rządził się własnymi prawami i ingerencja człowieka nie była do niczego mu potrzebna. Lasy były najczęściej własnością boską, potem zawłaszczali je książęta, potem królowie, możni tego świata, wreszcie państwo. Było trochę drobnych właścicieli. W rękach drobniejszych właścicieli lasy czuły się wyjątkowo podle, ponieważ służyły do ratowania podupadających finansów



swoich panów i wtedy były masowo wycinane. Nikt się specjalnie nie troszczył o lasy, zgodnie ze znanym porzekadłem „nie było nas, był las, nie będzie nas, będzie las”.

- Dziadku, twierdzisz, że tu zawsze był las.

- Tak twierdzą, przed tysiącem lat, całe Podlasie pokrywały bory i puszcze. Wszędzie w okolicy rósł las. Karczowano niewielkie spłachetki ziemi wokół ludzkich sadyb i tam uprawiano zboża.

- I ziemniaki.

- Ziemniaków w Europie nie znano, dopiero po odkryciu Ameryki je przywieziono.



*Fot.12. Niektóre drzewa obrastały płaskie kapelusze grzybów*



*Fot.13. Sarna*

- I kukurydzę.

- Kukurydzę też.

- Dziadku znowu droga pnie się pod górę, teraz znacznie wyżej, niż poprzednio.

- Przed nami mamy Kozie Góry.

- Kozie Góry, skąd się wzięła taka dziwna nazwa?

- Zawsze porastały je gęste zarośla leszczyn, młodych brzoź, osik. Były swoistym matecznikiem zwierząt. Najwięcej spotykało się saren, które miejscowi

nazywali kozami, stąd nazwa. Sądzę, że, jak będziemy szli bardzo cicho, to być może uda się natknąć na stado saren, może

wyrwie pod nóg dzik, a jelenia też można spotkać o tej porze. Wieczorem całe to towarzystwo wyjdzie na skraj lasu, aby żerować na polach.

- Kiedyś spotkaliśmy z tatą stado jeleni, wcale się nie bałem.

- Pamiętam to wydarzenie. Miało miejsce, podczas wycieczki, jaką zrobiliśmy na Wielkanoc do lasu. Wydawało mi się wtedy, że trochę się wystraszyłeś, ponieważ spotkaliście dwa byki i z sześć łań.

- Byki nie uciekały, tylko nam się przyglądały.

- Mogły pokazać, kto tu rządzi, zwłaszcza, że miały wdzięczną widownię w



*Fot.14. Jeleń - byk*



postaci łań.

*Tymczasem wędrowcy minęli płaskie dno dość rozległej doliny porośniętej borem z niewielkim dodatkiem liściastego podszycia. Słońce przedzierało się*



*Fot.15. Przez rzadkie korony drzew do dna lasu docierało sporo światła słonecznego*

*się skradało. Zatrzymali się. Między cieniami drzew podskakiwały białe lusterka. To umykały sarny w głąb lasu. W lecie ubrane w rdzawo - brązowe futerka doskonale się zlewały z podobnym otoczeniem. Tylko niewielkie białe łatki w miejscu ogona, którego biedaczki prawie nie miały, wyróżniały się spoza jednolitej barwy futerka. Znikły, jak duchy i panowie nie zdążyli wymienić między sobą uwag.*



*Fot.17. Kiedyś las rządził się swoimi prawami i ingerencja człowieka do niczego nie była mu potrzebna*

*przez rzadkie korony drzew i dobierało się do ściółki wysuszając ją na pieprz. Zielone mchy dzielnie broniły się zachowując więcej wilgoci w swoich plechach. W nocy gromadziły wodę pozyskaną z rosy, która gromadziła się w dolnej warstwie lasu.*

*- Jak miniemy Kozie Góry, pokażę ci kawałek lasu do złudzenia przypominający pierwotną puszcę. Droga zaczęła piąć się pod górę. Wędrowcy rozglądali się na boki. Las wyraźnie gęstniał. Z lewej coś*



*Fot.16. Czarna huba na brzozie*

*- Wiesz, że biała plama na kuprze sarny pomaga sąsiadom identyfikować siostrę czy sarniego brata. Nawet w ciemnościach, w słabym, rozproszonym świetle widać ją podczas biegu, gdy podskakuje w górę i dół.*

*- Myśliwi nazywają ją lusterkiem.*

*- Język myśliwych ma wiele dziwnych nazw. Można je spotkać tylko w bardzo szeroko rozbudowanych słownikach.*

*- Dziadku, z prawej widzę dziwną brzozę z wielkim brzuchem.*



- Zaatakował ją grzyb zwany czarną hubą. Prawdopodobnie jest skutecznym lekiem przeciwnowotworowym. Tak naprawdę nie musi to być prawda, ponieważ zbyt skutecznych leków przeciwko tej chorobie nie wynaleziono. Gdyby huba była skuteczna niewątpliwie wykorzystano by ją.

- Do szczytu już niedaleko?

- Zmęczyłeś się.

- Dziadku, nie zmęczyłem się, wypatruję dzików.

- Trochę działają emocje.

- Nie, niczego się nie boję. Dziki od ludzi uciekają.

- Locha z małymi może być niebezpieczna i stary samotnik – odyniec, pozostałe na pewno uciekną, chyba, że spotkamy dziką oswojonego, wychowanego przez



*Fot.19. Most*

ludzi. Te nie uciekają, a mogą przybiec. Jeżeli nic nie wiemy o naszym dziku, możemy się nieźle wystraszyć.

- Jesteśmy na szczycie. Przed nami znowu głęboka dolina.

- Z góry idzie się łżej, stok nie jest stromy. Na dole skęcimy w lewo i zaprowadzę cię do takiego fragmentu lasu, że będziesz miał wrażenie, iż wylądowałeś w środku pierwotnej puszczy.

- Dziadku, widziałeś kawał lasu, gdzie nikt nic nigdy nie robił.

- Oczywiście, widziałem, chociażby rezerwat w Białowieży. Pierwotna puszcza była trudna do przebycia. Zwały powalonych pni skutecznie zagradzały drogę do wnętrza lasu. Za chwilę pokażę ci, jak wygląda pierwotny las w tutejszym wydaniu

- Jestem bardzo ciekawy.

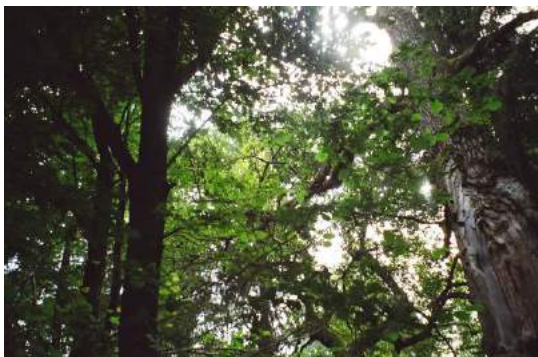


*Fot.20. Przez płataninę powalonych pni i gęstwą młodych pędów trudno się przecisnąć*

*Tymczasem mężczyźni zeszli po stoku w dół na dno doliny przebiegającej w poprzek duktu. Skęcili w lewo i przedzierając się przez gęste podszycie doszli do prawdziwego kotłowiska powalonych, grubych pni, i płataniny suchych gałęzi. Zadawało się, że tędy przeszło tornado. Zmurszałe kłocę obrosnięte mchem i porostami, pełne kolonii grzybów*



rozwijających się na martwych pniach leżały na dnie doliny powalone przed wielu laty. Starszy mężczyzna rozpoznał dęby, potężne topole, osiki, brzozy. Z każdego zakamarka rumowiska wyrastały pędy nowych drzew. Oprócz wszędobyłskiej leszczyny można dopatrzeć się, młodych brzoź, osik, grabów.



Fot.21. Matecznik

wyciągnąć te kłody. Kotlinę otaczają strome stoki i rzeczywiście, zewsząd jest niedostępnie. Widziałeś, z jakim trudem schodziliśmy w dół przeciskając się między wykrotami. Czasem musieliśmy korzystać ze wszystkich kończyn wędrując, jak niemowlaki na czworaka, starając się przytrzymać rękami wszystkiego, co dało się chwycić, a było wystarczająco mocne. W zwałowiskach powalonych drzew znalazło schronienie wiele niezbyt przyjaźnie do nas nastawionych zwierząt, jak mówią miejscowi, można spodziewać się różnej gadziny. A poza tym zobacz, jak wyrosły dorodne



Fot.23. Wąwóz

- Ten las, kiedyś nazywano Wielkim. Na grzyby chodziło się w choinki lub do Wielkiego Lasu. W choinki chodziły dzieci, a do Wielkiego Lasu tylko dorośli.

Próchnicza gleba, pełna substancji odżywczych, hojnie zasilala nowe życie. Las przypominał pierwotną knieję. Straszna i trudna do przebycia przez słabego człowieka.

- Dziadku, nie myślałem, że w tym lesie można znaleźć takie zakątki. Rzeczywiście, tutaj nie widać żadnej ingerencji człowieka.

- Musisz przyznać, że miejsce jest trudno dostępne. Stąd nie bardzo można



Fot.22. Tędy rzeczywiście trudno cokolwiek wyciągnąć

wyrośły dorodne pokrzywy w miejscach lepiej nasłonecznionych. Spotkanie z leśną pokrzywą jest wyjątkowo nieprzyjemne. Roślina bywa niesamowicie jadowita, znacznie bardziej, niż ta, którą znamy z ogrodów.

- Dziadku, jestem naprawdę oszołomiony. Nie przypuszczałem, że można tu spotkać tak dzikie miejsca.

- Nie żałujesz, że dałeś mi się namówić na wycieczkę?

- Nie, nie żałuję!



- Nie dziwię się. Tutaj dość łatwo zabłądzić.
- Choinkami nazywaliśmy las, który rósł i rośnie do dzisiaj po drugiej stronie Mierzwic, między wsią a torami kolejowymi. Znaczna część lasu należała do mieszkańców Nowych i Starych Mierzwic. Nie było tam starych drzew tylko młodniki. Być może wcześniej te ziemie uprawiano. Na piaskach niewiele, co rosło, więc najbardziej piaszczyste gleby zalesiono i w czasach mojej młodości były to niewysokie sosenki, pod którymi rosło wiele grzybów, które z upodobaniem zbieraliśmy. Wyciągało się je z piasku i były dość drobne, doskonale nadawały się do marynowania. Po grzyby nadające się do suszenia trzeba było chodzić do Wielkiego Lasu. Tutaj, jako dziecko, nigdy nie chodziłem.
- Dziadku, ciekawie opowiadasz.
- W tym lesie jest wiele takich miejsc, gdzie trudno się dostać. Kiedyś w leśnych pracach drwalom pomagały konie i one potrafiły dotrzeć wszędzie. Traktory już takie poręczne nie są. Wyobraź sobie, że w dawnych, dawnych czasach cała puszcza żyła własnym życiem. Nie było prawie żadnych dróg. Co prawda, z rzadka przecinały ją gościńce - drogi nieutwardzane, pełne wybojów, wykrotów, błotniste, a w zimie i wczesną wiosną zupełnie nieprzejezdne. Tymi drogami wędrowali kupcy z towarami, książęce družyny, różnej maści



*Fot.24. Topielisko*



*Fot.25. Śródleśne jeziorko*

najeźdźcy. Z rzadka budowano ludzkie osady i to w miejscach nadających się do obrony, ważnych strategicznie. Mieszkańcy puszczańskich wsi w razie niebezpieczeństwa ukrywali się w lesie, w dobrze im znanych, a obcym niedostępnych zakamarkach puszczy. Teraz prawie nie ma bagien. Kiedyś doliny rzek były zabagnione. Wiele miejsc trudnych do przebycia. I one stanowiły przeszkody, które wykorzystywano do obrony.

Powstawały grody na górkach otoczonych bagnami, dodatkowo chronione częstokołami i wałami ziemnymi.

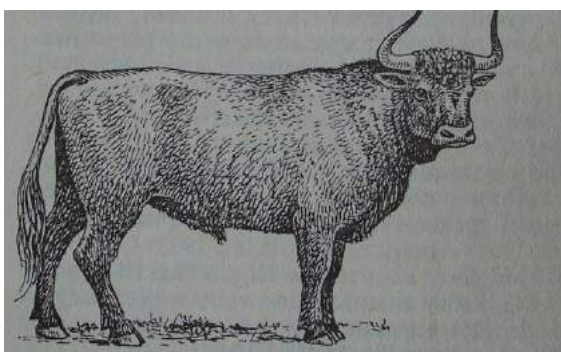
- Można jeszcze znaleźć jakieś bagna w okolicy?
- Teraz już nigdzie w okolicach Mierzwic nie ma bagien. A w czasach mojego



dzieciństwa jeszcze były. Na zachód i północny zachód od Nowych Mierzwic ciągnęły się rozległe bagniska od tak zwanego Wygonu, aż po tory kolejowe, oraz w kierunku Resek i Rzeki Rozwadówki na zachód i południowy zachód. W okolicach Sarnak osuszono łąki jeszcze przed Pierwszą Wojną Światową. Natomiast w lesie zalegały jeszcze długo po drugiej wojnie. Nie były już tak przepastne, jak ongiś. Opowiadano, że między wojnami zdarzało się, iż czyjaś krowa ugrzęzła w błocie, tak, że musiano ją wyciągać. W drugiej połowie dwudziestego wieku przekopano głęboki rów



*Fot.26. Bagienne mszary w lesie za Nowymi Mierzwicami*



*Fot.27. Tur – zwierzę królewskie*

odprowadzający wody z zastoiska do Bugu. Wody spłynęły. Przy torach była wielka polana nazywana przez miejscowych Błotami. Las nie chciał rosnać, bo na wiosnę tworzyło się wielkie jezioro z wód roztopowych, a potem długo było grząsko. Po osuszeniu posadzono las, który możesz obejrzeć wyprawiając się na wycieczkę. Ciepłe zimy ze słabymi opadami śniegu i suche lata dopełniły

reszty, i teraz po wielkich błotach pozostały wspomnienia, które odchodzą wraz ludźmi, którzy je pamiętali. No dobrze, rozgadałem się. Proponuje jeszcze mały wypad do Rezerwatu w okolicy Grabowych Rowów i będziemy wracać.

- Dziadku, wyobraź sobie, że nie czuję się zmęczony, chociaż chodzimy po dość ciężkich wertepach. Opowiadaj dalej.

- Jak wcześniej mówiłem, las karmił ówczesnych ludzi. Dawał mięso, miód, grzyby, leśne owoce i wiele innych pożytków. Drewno służyło na opał i jako materiał budowlany.

Na tych ziemiach w zamierzchłej przeszłości budowano z drewna, którego pod



*Fot.28. Łoś*



ręką było pod dostatkiem. Nie wyrabiano cegieł, kamienia było mało, więc wszelkie budowle miały charakter drewniano – ziemno – wodny.

- Mówiłeś dziadku, że las karmił. Z historii uczyłem się, że przed bitwą pod Grunwaldem król Jagiełło zarządził wielkie łowy, ażeby zgromadzić prowiant dla wojska.

- Masz rację. Polowano również na tych ziemiach, chociaż wtedy należały do Litwy. Polowano na żubry, dziki, łosie, a nawet tury, chociaż te ostatnie



*Fot.29. Lis*

uważano za zwierzynę szlachetną, na którą mógł polować tylko król.

- Podobno nasza krowa jest udomowionym turem.

-Tak się uważa.

- Jakie drapieżniki można spotkać w tym lesie?

- Teraz czy kiedyś?

- I teraz, i kiedyś.

- No dobrze, spróbuję coś ci opowiedzieć. Teraz z większych pozostały tylko lisy, czasem zdarzy się jenot, zaraz po wojnie spotykało się wilki, które przychodziły tutaj zza Bugu. Przed kilku laty spotkałem dwa wilki idące szarówką na stację kolejową

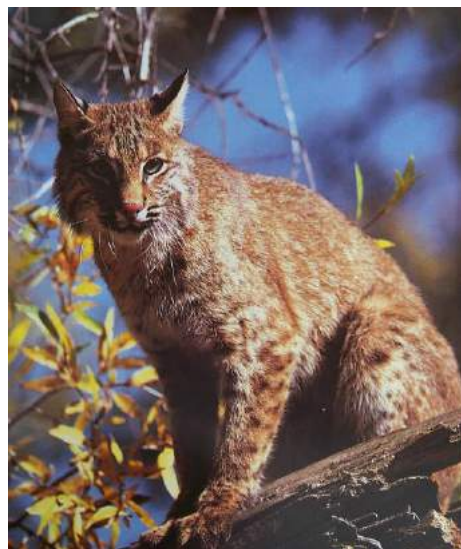
we Fronołowie. Przeszły mi drogę, ale udawały, że mnie nie ma. Nie zatrzymywały się.

- Bałeś się?

- Nie. Obleciał mnie lęk, gdy sobie poszły. Dopiero później uświadomiłem sobie, że może mi coś od nich zagrażać. Wilki unikają spotkań z ludźmi.

- Z innymi drapieżnikami spotykałeś się?

- Z lisami miałem wiele spotkań. Jedno mogę uznać za pamiętne. Wybrałem się w niedzielne popołudnie słonecznego, letniego dnia, na spacer do lasu, do wąwozu. Usiadłem na powalonym w poprzek jaru drzewie i zadumałem się podziwiając dziki wygląd najbliższego otoczenia. Wtem, wyraźnie poczułem, czyjś wzrok na swoich plecach. Wyraźnie fizycznie czułem, że ktoś czy coś



*Fot.30. Ryś*

przygląda mi się zza moich pleców. Ostrożnie odwróciłem głowę. Na krawędzi stoku siedział na ogonie lis, a może lisica i bardzo mi się przyglądał. Nie uciekał, tylko natarczywie patrzył. Gdy spojrzałem po raz drugi, zwierzęcia już



nie było. Potem zorientowałem się, że usiadłem w pobliżu lisiej nory wygrzebanej w zboczu wąwozu.

- A w zamierzchłych czasach, jakie drapieżniki tu bywały?

- Z największych należy wymienić niedźwiedzia brunatnego, wilki, które w zimie tworzyły duże watahy i były najbardziej niebezpieczne. Potrafiły pokonać nawet największe zwierzęta, jak, chociażby łosie. Spotykało się rysie i mniejsze od nich żbiki.

- Spotkałeś się, kiedy z nimi?



*Fot.31. Borsuk*

- O wilkach, to już ci mówiłem, chociaż w czasie powojennym zimy często były śnieżne i ostre, wilki przechodziły po lodzie, zza Buga, gdzie lasów było więcej. Opowiadano, że na Kolonii Hołowczyce się podkopały i wyciągnęły gospodarzowi owce. Raz słyszałem wycie wilków. Było, to może w 46, albo 47 roku. Bałem się chodzić do lasu. Różni ludzie opowiadali dziwne rzeczy o swoich spotkaniach z wilkami. Były to pojedyncze okazy. Rysia i żbika widziałem tylko w zoo i w rezerwacie, w Białowieży. Kiedyś spotkałem jenota, ale

jenoty, to przybysze z Azji. W dawnych czasach ich nie było.

- Z innymi zwierzętami się spotkałeś?

- Kiedyś przed wieczorem, podczas samotnego spaceru w lesie przydybałem borsuka. Uciekł zanim mu się dobrze przyjrzałem. Ma charakterystyczne futerko na pyszczku w białe pasy, tak, że trudno go pomylić z innymi zwierzętami. Z drobnych drapieżników spotkałem kunę i jeża.

- Dziadku, jeża, to ja też spotkałem. Wieczorem natknąłem się na niego w ogrodzie. Przyniosłem do domu i zaprosiłem na kolację. Nic mu nie smakowało. Musiał być młody, bo nie zwijał się w kłębek, tylko chodził po stole głośno fukając. Musiałem go pilnować, aby nie spadł i nie zrobił sobie krzywdy.

- Pamiętam to zdarzenie, bo byłem przy tym. Potem wypuściłeś go do ogrodu tam, skąd go wzięłeś?



*Fot.32. Jeże*



- Oczywiście.
- A pamiętasz, jak kiedyś musieliśmy nieszczęśnika wydłubywać z siatki drucianej, w której się zaplątał.
- Nie pamiętam czy za uratowanie życia podziękował nam.
- Też nie pamiętam.

*Tymczasem mężczyźni doszli do grupy głębokich jarów oświetlonych słońcem, zwanych Grabowymi Rowami.*



*Fot.33. Borowik - prawdziwek*

- Jesteśmy na miejscu - *mruknął starszy* – kiedyś zbierało się tu wielkie ilości grzybów.

- Pełno tu dębów, dlatego nazywają się Grabowymi Rowami.

- Bo kiedyś, oprócz dębów było tu wiele grabów.

- Ludzie zawsze zajmowali się zbieractwem.

- Masz rację. Zanim zaczęli uprawiać

ziemię, siał zboża, zbierali w lasach i na stepach. Robiły to kobiety i dzieci.

Mężczyźni polowali lub zajmowali się wojaczką. Nawyk zbieractwa tkwi w naszych genach. Większość ludzi i obecnie bardzo chętnie biegnie do lasu, i zbiera grzyby, jagody, poziomki, maliny, różne zioła. Pamiętam takie czasy, kiedy całe rodziny trudniły się zbieraniem płodów leśnych. Zaczynało się od poziomek, z których robiono świetne, niezwykle aromatyczne przetwory, potem



*Fot.34. Nawet krowie mordy smakowały*

szły

maliny, od czerwca do późnej jesieni zbierano grzyby, wreszcie jesienią leszczynowe orzechy.

- Dziadku, nagadaliśmy się. Od tych wiadomości aż głowa puchnie.

- Może, to się mózg lasuje.

- Dlaczego ma się lasować? W moim mózgu nie ma wapna.

- A wiadomo? Do domu wrócimy nad rzeką.



*Fot.35. Owoce czarnego bzu*

Co ty na to?

- Z wielką przyjemnością.



### III. Rzeka

Dwaj mężczyźni starszy i zupełnie młody wyszli na szosę. Przed kilku laty zwykłą leśną drogę utwardzono i położono asfalt. Wije się wiele kilometrów, przez las, łącząc Mierzvice z Klepaczewem i dalej Serpelicami. Robi wrażenie specyficznego wąwozu wyciętego w szpalerze drzew. Szosa biegnie brzegiem doliny Bugu. Zwracając się twarzą w kierunku Klepaczewa, po prawej, w głębi



Fot.36. Nadbużańska droga przed położeniem asfaltu

lasu. możemy dostrzec pas wzniesień polodowcowych tak zwaną morenę boczną. Być może jest to krawędź doliny wyciętej przez rzekę w piaszczysto-gliniastym podłożu. Po drugiej stronie rzeki mamy podobne wzniesienia opadające dość stromo w kierunku rzeki. Droga biegnie krawędzią doliny po płaskim terenie. Zapewne przed laty było tu wyrównane przez wodę dno doliny. W wyniku erozji rzeka wyłobila

głębszą dolinę pozostawiając na brzegach nieco wyniesione plato.

- Jesteśmy w pobliżu przystanku autobusowego, jeżeli trafimy na autobus to moglibyśmy podjechać do Zabuża i stamtąd przespacerować się brzegiem rzeki w kierunku Mierzvic. Jesteś wysportowanym młodym mężczyzną, to taka wycieczka nie powinna cię za bardzo zmęczyć.

- Ile to będzie kilometrów?

- Sądzę, że nie więcej, niż siedem.

- Dziadku, a ty nie boisz się tak długiego spaceru. Dzisiaj już sporo przeszliśmy.

- Wiesz, że lubię chodzić i kilkanaście kilometrów nie stanowi dla mnie żadnego problemu.

- Zadzwoń do taty, przyjedzie samochodem i podwiezie nas do Zabuża.

- Dzwoń.

Po chwili.

- Tato, jesteśmy pod wiatą na Trojanie, mógłbyś mnie z dziadkiem podrzucić do Zabuża – wołał do telefonu.

- Poczekajcie z piętnaście minut. Zaraz będę jechał do Serpelic, to was po drodze podrzucę, a jak będę wracał mogę zabrać z powrotem – zadudniło w



Fot.37. Po nałożeniu asfaltu



*sluchawce.*

- Słyszałem. Posiedzimy na ławce, niech trochę odpoczną nogi.
- Dziadku, widzę tablicę z napisem „zapraszamy na przejażdżkę promem”.
- Kiedyś jeździliśmy samochodem do Mielnika i dalej, nie pamiętasz?
- Pamiętam.

*Podjechał samochód. To tato młodzieńca. Telefon okazał się bardzo skuteczny.*

- Może was zawieźć do samego Zabuża?– *zagadnął na wstępie.*
- Nie, wysiadzimy na krzyżówce. Wyprawa nasza ma cechy wyprawy poznawczej, naukowej. Niektóre rzeczy powinniśmy poznać z autopsji, a to najlepiej się robi w bezpośrednim kontakcie.



*Fot.38. Droga biegnąca wzdłuż średniowiecznego gościńca*

- Mamy krzyżówkę.

- Dziękujemy, wysiadamy. Do zobaczenia.

*Kierowca na pożegnanie pomachał ręką wędrowcom i po chwili znikł za najbliższym zakrętem. Podróżni ruszyli w kierunku Zabuża.*

- Nie wiem czy zdajesz sobie sprawę, że wędrujemy starym gościńcem, który już w średniowieczu łączył grody w Liwie i Mielniku. W Zabużu była przeprawa przez rzekę. W dawnych czasach przeprawiano się tu puchówkami lub wykorzystywano brody, którymi przeprawiali się kupcy ze swoimi towarami. Potem przez pewien czas był tu most. Przez Mielnik szedł handel. Tędy jechali kupcy na Litwę, Ruś i z powrotem na Mazowsze i do Małopolski. Mielnik się bogacił. Potem wybudowano drugi most w okolicach Turny i ta przeprawa straciła na znaczeniu.

- Mielnik, to stara miejscowość.
- Tak, znacznie starsza niż Warszawa i Siedlce. Prawdopodobnie Rusini, którzy zawładnęli tymi ziemiami, wybudowali gród na Górze Zamkowej.
- Dziadku, droga wysadzana jest lipami?
- Właśnie, jest to ten starodawny gościniec, o którym wspominałem. Lipy posadzono znacznie później. Zabuże było przedmieściem, albo lepiej podgrodzem Mielnika.
- To też stara miejscowość.
- Rzeczywiście, bardzo stara.
- Pałac, też pamięta bardzo dawne czasy?



*Fot.39. Brzeg opadał stromą umocnioną skarpą w dół*



- Nie. Wybudowano go w połowie dziewiętnastego wieku. Okoliczne ziemie należały do dworu. Jesteśmy już nad rzeką. Widać umocnione brzegi. Tutaj, gdzieś był most.



*Fot.40. Może tu był most?*

i przejechać w pław. Takie miejsca nazywamy brodami. Dawniej brody miały wielkie znaczenie i gościńce dochodziły do rzeki właśnie w takich miejscach.

- Nie było mostów?

- Nie. Dopiero później zaczęto je budować. Most, to kosztowne przedsięwzięcie. Budowano je z drewna. Często na wiosnę, podczas ruszania lodów i wysokich stanów wód rzeka zabierała most. Podpory chroniono specjalnymi ostrogami.

Podobno w piasku można znaleźć kawałki pali wbijanych w dno rzeki.

- Chciałbym to zobaczyć?



*Fot.42. Na pływaczach tworzą się buzańskie kępy*

- Zejście do rzeki jest tu strome, zapewne i rzeka jest głęboka.

- Masz rację. Wędkarze o tym wiedzą najlepiej. Te gniazda na brzegu, które widzisz, oni zrobili. Teraz, w tym miejscu nie da się przejść w pław, jest głęboko. Zauważ, że koryto sztucznie zwężono i brzegi umocniono faszyną, i kamieniami. Jak mówiłem, był tu most. W zamierzchłych czasach rzeka płynęła inaczej, była szeroka i płytka. W lecie i w jesieni dawała się przejść,



*Fot.41. Po wojnie wybudowano stalowy most*

- Trzeba wiedzieć, gdzie je szukać. We Fronołowie tuż po przejściu frontu w 44 – tym roku wybudowano drewniany most. Dobrze go pamiętam. Po wybudowaniu stalowego, drewniany został rozebrany. Pale wbite w dno tkwią do dzisiaj i pozostaną tam jeszcze bardzo długo. Przy niskiej wodzie można je zobaczyć. Podczas ruszania lodu żołnierze rozbijali go ładunkami wybuchowymi. Musieli chronić most. Nieraz było bardzo niebezpiecznie. Nie wiem, jak chroniono mosty w

średniowieczu, kiedy nie było zbyt wysokiej techniki wojskowej i nie znano materiałów wybuchowych.

- Dziadku, od strony Mielnika brzeg jest niski, zapewne tam jest płytko?
- Pływałem tamtędy i mogłem podchodzić do samego brzegu z opuszczonym mieczem, więc było wystarczająco głęboko. Nie sądzę, że coś się zmieniło. W przewężeniach, zgodnie z zasadami fizyki, rzeka zawsze jest głębsza i nurt bystrzejszy.
- Budynki za rzeką należą już do Mielnika?
- Tak. Wiesz, że ta część miasteczka nazywa się Przedmieściem?
- Nie wiedziałem.
- Więc teraz już wiesz.
- Rzeczywiście.

- Dawniej rzeka była wielką arterią komunikacyjną i podobnie, jak las również żywiła. Teraz miasta i miasteczka odwracają się od rzeki. Z żywieniem też jest krucho, bo trudno sobie wyobrazić, że wędkarze ze swymi nędznymi połowami uzupełniają w sensowny sposób jadłospis, nawet swojej rodziny. W Mielniku był port, do którego przyływały komięgi i tratwy załadowane solą, zbożem i innymi dobrami płynącymi z żyznych ziem na południu, z Rusi, i Grodów Czerwińskich. Teraz poza wędkarzami i kajakarzami, to nie uświadczysz nikogo. Brudna i często zarażona bakteriami woda nie zachęca do kąpieli. Większe miasta, jak chociażby Brześć tylko raczą



*Ft.43. To nie resztki komięgi tylko znacznie późniejszej pychówki*

rzekę ściekami.



*Fot.44. W pełni sprawna - pychówka*

pychówki, robi się je z desek, uszczelnia pakułami i smołą, a napędza długim wiosłem odpychając się od dna. Wioślarz pracuje w pozycji stojącej. Wiosłowanie na takiej łódce jest sporą sztuką, bo często pracuje się na jednej

- Dziadku, co to są komięgi?
- Łodzie robione z jednego pnia, tak zwane dłubanki. Napędzane były wiosłami, zazwyczaj obsługiwało je sześciu, do ośmiu wioślarzy.
- Czasem spotyka się czółna stojące przy brzegu – to są komięgi?
- Mówiłem ci, że komięgi były dość duże i wydłubane z jednego pnia. Teraz trudno znaleźć tak grube drzewa. Łodzie, o których mówisz, to



burcie, a łódka płynie, jak po sznurku i to tam, gdzie chce wiosłarz. Pychówki często nazywają krypami.

- Aha! Rozumiem.

- Pychówki też powoli znikają. Na brzegach pojawiają się pękate, fabryczne, łodzie z plastiku. Napędza się je silnikiem, albo wiosłami umieszczonymi w dulkach. Wiosłujemy podobnie, jak na kajaku odpychając się piórami wiosła od wody. Wszystko się zmienia. Dulki to odpowiednie wycięcie na burtach lub widełki. Proponuję spacer wzdłuż brzegu rzeki. Po drodze będziemy mieli ciekawe widoki na Mielnik i rzekę.

- Dasz radę spacerować? Daleko mamy do domu?



*Fot.45. Krypa susząca się na brzegu*



*Fot.46. Krypy. Jedna zupełnie nowa, a druga bardzo mała*

- Oczywiście. Jestem wytrwałym piechurem, prędzej „spuchniesz” ty wnusiu, niż ja. Siedem kilometrów spaceru bardzo atrakcyjną trasą sprawi nam tylko wielką przyjemność. W razie trudności zadzwonisz po tatę. Przyjedzie samochodem na ratunek synusiowi i jego dziadkowi.

- Dziadku, jeżeli tak mówisz, to ruszamy.

- Mówiliśmy o krypach. Otóż i one. We wgłębieniu brzegu widzę trzy uwiązane do grubej

wierzby.

- Możemy je obejrzeć z bliska.

- Zobacz, jak wyglądają żebra, które wzmacniają konstrukcję w poprzek.

- To są naturalne krzywulce dębowe, tak dobrane, aby wygięte na nich burty miały symetryczny i opływowy kształt.

- Na żebra używa się twardego drewna. Doskonale nadaje się do tego celu dąb lub grab.

- Grab jest twardy?

- Chyba jeszcze bardziej, niż dąb. Trudno go szczepać. Kiedyś robiło się z niego zęby do grabi.

- Dziadku w krypach stoi woda.

- Trochę na dnie. Zapewne pozostałość po deszczu. Pychówki są szczelne. Wilgotne drewno pęcznieje i dokładnie dociska do wszelkich szpar.
- Spęczniałe deski trudno wyciągnąć ze szpar, w które zostały wciśnięte.
- Jeżeli siekiera czy młotek spada z trzonka, wystarczy dobrze namoczyć. Po kilku godzinach pęcznieje i narzędzie jest sprawne do pracy.
- Trzeba mieć sporo siły, aby taką pychówką manewrować.
- Wbrew pozorom umiejętności, to ważna rzecz. Siła nie wystarcza.
- Nie wystarcza?
- Idziemy dalej, przed nami jeszcze szmat drogi, chociaż interesujących zagadnień do omówienia nie brakuje.
- Ruszamy.
- Popatrz wnusiu na rzekę. Zapewne zauważyłeś w różnych miejscach ciągnące się na prądzie warkocze, są to tak zwane zwary. Świadczą, że pod lustrem wody jest przeszkoda, głaz lub pień zatopionego drzewa. Drewno dębu



*Fot.47. W niektórych miejscach otwierały się niezwykle ciekawe widoki na rzekę*



*Fot.48. Piaszczyste łachy dawały początek bużańskim kępom*

stromiznach podmywa i do wody wpadają drzewa, na niskich odkłada piasek. Podczas niskiej wody widać wiele żółtych łach. Z czasem zakorzeniają się na nich młode wierzby i po kilku latach w tym miejscu tworzą się kępy – wyspy, gęsto zarośnięte wierzbami i inną roślinnością. Brzegi rosną, ponieważ podczas wysokich wód odkłada się



*Fot.49. Widok na rzekę z Góry Zamkowej*



między gałkami piasek i wyspa rośnie, i do góry, i wzdłuż koryta.

- Dziadku, ciekawie opowiadasz, aż się nie chce wierzyć.



*Fot.50. Ruiny  
piętnastowiecznego kościoła w  
Mielniku*

- Zbliżamy się do miejsc, skąd bardzo dobrze widać Górę Zamkową w Mielniku. Jest to wzniesienie wystające około sześćdziesiąt metrów nad średni poziom rzeki. W średniowieczu było tu grodzisko zbudowane prawdopodobnie przez Rusinów. Jeszcze teraz widać ślady fosy oddzielającej gród od podgrodzia, gdzie mieszkali rzemieślnicy pracujący na rzecz grodu. Okolice Mielnika były zamieszkałe i wcześniej przez osadników przybyłych z Mazowsza. Nie utworzono zwartego organizmu miejskiego. Na stoku góry tuż pod szczytem znajdują się ruiny piętnastowiecznego kościoła pod wezwaniem Trójcy Świętej. Przez gałęzie drzew przeświecają kopuły cerkwi, której

poprzedniczka zbudowana została we wczesnym średniowieczu. Z Górą wiąże się legenda, która mówi, że z Góry Zamkowej prowadzą dwa lochy jeden pod korytem Bugu do Zabuża, a drugi do Drohiczyna.

- Dziadku, może wiesz, skąd wzięła się nazwa Mielnik.

- Muszę przyznać, że Mielników na świecie jest kilka. Słyszałem przynajmniej o jednym Mielniku na Ukrainie, o jednym w Czechach i o jeszcze jednym w południowej Polsce. Jeśli chodzi o historię nazwy naszego Mielnika, to znam dwie wersje. Jedna mówi, że nazwa pochodzi od młynów, które pracowały w mieście, a druga ma rodowód ruski. Ci drudzy twierdzą, że nazwa pochodzi od ruskiej nazwy kredy „miel”. Obie wersje są prawdopodobne, bo w Mielniku są pokłady kredy, które mieszkańcy znają od dawna.



*Fot.51. Góra Zamkowa w Mielniku*

- Historia jest strasznie zagmatwana – *martwił się wnuk*.

- O dawnych czasach wiemy naprawdę bardzo mało. Z różnych wykopalisk próbują coś odczytać archeolodzy. Przypomina to trochę wróżenie z fusów. Brakuje dokumentów. Na naszych ziemiach pismo zostało wprowadzone dopiero po przyjęciu chrześcijaństwa i posługiwali się nim nieliczni, nawet książęta, i królowie byli analfabetami.

- Aż trudno uwierzyć, że na Podlasiu jeszcze tysiąc lat temu nikt nie umiał pisać.
- Tysiąc lat temu nie było jeszcze Podlasia.
- Trudno uwierzyć.
- Teraz pójdziemy w kierunku Trojana. Musimy przejść przez las. Nie jest duży i rozległy. Za lasem zaczynają się łąki, które należą do Uroczyska Trojan.



*Fot.52. Uroczysko Trojan. W głębi widać ślady po starorzeczach. Ongiś tędy płynęła rzeka*

Prawdopodobnie były od bardzo dawna i nigdy nie rósł tam las. Bug musiał zmieniać koryto, bo można znaleźć stare kawałki koryta, jeszcze zabagnione. Są to, tak zwane, starorzecza. Spotykamy je w różnych miejscach uroczyska. Pójdziemy do promu. Teraz zaczynają się brzegi rzeki mocno zakrzaczone bez dostępu od strony łądu. Przez gęstwę zarośli i ścianę pokrzyw nie uda nam się dotrzeć do brzegu. Dostępu bronią jeszcze rynnowate starorzecza pełne wody, z bagnistymi brzegami, poza tym

gąszcz jest tak wielki, że bez topora nie da się go pokonać. Zwierzęta mają tu swój dom, do którego ludzie praktycznie nie mają dostępu. I dobrze.

- Dziadku, teraz tych łąk nikt nie kosi, zobacz, jaka ta trawa duża?
- Możesz sobie wyobrazić, jak wyglądały stepy, kiedy ludzie ich jeszcze nie zagospodarowali.
- Nie jestem taki mały, a z trawy ledwie głowa wygląda.



*Fot.53. Tej trawy nikt nie kosi*



*Fot.54. Przy promie*

- Te łąki należą do mielniczan. Mieszkańcy przestają się trudnić rolnictwem. Nie mają krów, więc trawa nie jest im do niczego potrzebna. Dzięki temu na te tereny wraca dzika przyroda. Nazwa miejsca – Uroczysko nie jest przypadkowa. Zresztą prom tu funkcjonował na potrzeby mielnickich rolników od dawna. Siano zebrane na Trojanie transportowano promem na drugą stronę rzeki. Zbliżamy się do



promu.

- Poznaję. Wiele razy tu byłem z rodzicami.

- Kiedyś prom był drewniany, a ten zbudowano ze stali. Wycięto w zwartej ścianie zarośli przegalinę. Do pnia grubej wierzby przymocowano grubą linę, po drugiej stronie zakotwiono ją podobnie, tylko przez specjalny kołowrót, który pozwala linę napinać lub kłaść na dnie rzeki. Podniesiona mogłaby być nieprzyjemną pułapką dla różnych łodzi pływających w okolicy. Chcę ci powiedzieć, że promu nic nie napędza podczas przeprawy, tylko prąd rzeki. Jedynie przy odbijaniu i dobijaniu do brzegu trzeba pociągnąć za linę. Sztuka



*Fot.55. Rozjeżdżona przez samochody droga gruntowa prowadzi do promu*



*Fot.56. Starorzecze na Trojanie o silnie zabagnionych brzegach*

polega na właściwym ustawieniu promu względem prądu. Do tego celu służą dwie liny ślizgające się na blokach po linie nośnej. Jeżeli dociągniemy przednią, a zwolnimy tylną, to płyniemy w jedną stronę, a przy postępowaniu odwrotnym w drugą. Prom jest jednakowy z obu stron i trudno określić, gdzie jest

przód, a gdzie tył. Zawsze płyniemy w kierunku liny dociągniętej. Jak zapewne wiesz, od granicy do Kózek nie ma żadnego mostu drogowego. Za to na tym odcinku były trzy przeprawy promowe: w Niemirowie, przy samej granicy, w Mielniku i we Fronołowie, a w zasadzie na Kolonii Mierzvice. Teraz pozostała tylko przeprawa w Mielniku.

- Z obu stron rzeki biegną dobre szosy, więc samochodem łatwo dojechać do mostu i promy nie są aż tak bardzo potrzebne.

- Z przeprawy w Mielniku korzysta wielu kierowców. Zobacz, że droga jest gruntowa, ale jak rozjeżdżona przez samochody... Idziemy dalej... Po drodze pokażę ci starorzecza – pozostałości po rzece, która płynęła tamtędy przed setkami lat. Jest ich tu naprawdę wiele.



*Fot.57. To też starorzecze na Trojanie*

-Dziadku, każda rynna czy dolinka, to starorzecze?

- Zazwyczaj starorzeczami nazywamy jeziorka pozostawione przez rzekę. Po jakimś czasie zarastają roślinnością i woda w nich wysycha, to są już tylko ślady po starorzeczach. Przy wejściu na Trojan można zobaczyć jeszcze ciągle aktywne i żywe starorzecza Bugu, raj dla zwierząt wodnych, i rybaków – wędkarzy.



*Fot.58. Czyż, to nie jest piękne?*

- Wiem. Jezioro trojańskie jest po prostu starorzeczem.

- Oczywiście, zauważ, że nie jest dostępne ze wszystkich stron. Od północnego wschodu jest strasznie zabagnione. Kiedyś, dolina Bugu też w wielu miejscach była niesamowicie zabagniona.

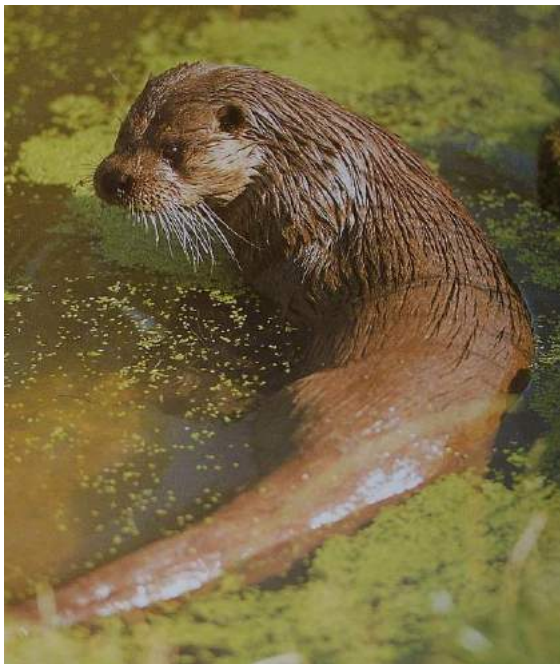
- Znam kilka miejsc trudno dostępnych. Oczka wodne otoczone gęstymi szuwarami skutecznie odstraszały poszukiwaczy przygód, a tam są bagna.

- Są, może nie tak przepastne, jakie spotykało się kiedyś, ale wokół jest wystarczająco grząsko, błotniście i nieprzyjemnie.

- Dzikie i odludne miejsca mają swój



*Fot.59. Na zakręcie*



*Fot.60. Wydra*

nieprzepartry urok. Przypominają trochę czasy i miejsca, w których nie było ludzi, tylko dzika przyroda. Wbrew pozorom, nad Bugiem możemy znaleźć naprawdę dużo uroczysk, które mogą urzec każdego miłośnika dzikiej natury i nie trzeba jeździć daleko, do krajów egzotycznych, aby przeżyć coś bardzo egzotycznego, i niepowtarzalnego. Nad Bugiem, jak się bardzo chce, to można nacieszyć się egzotyką o ile wystarczy ochoty, ma się trochę odwagi i lubi pokonywać trudności.

- Dziadku, rozmarzyłeś mnie.

- Pamiętasz ostry zakręt na Trojanie.

- Oczywiście, pamiętam.



- Za chwilę tam będziemy. W pobliżu, w czasach mojej młodości, rosły potężne, pewnie dwustuletnie, a może i starsze, dęby, potem je wycięto, i teraz rośnie nowy las. Ma z sześćdziesiąt lat. Flisacy musieli tu się natrudzić ze swoimi długimi tratwami, które nie chciały się zmieścić w ciasnym zakręcie. Zapewne kamienie też utrudniały spływ. Tutaj często spotykałem wydry. Szczególnie łatwo je zauważyć w zimie. W wodzie są niesamowicie sprawne. Obserwowałem tutaj, przed kilku tygodniami, dwie wydry, które łowiły ryby w oparzelisku. Nurkowały, aby po chwili wyjść na lód z rybą w pysku. Dosłownie wystarczała im minuta lub dwie, aby złowić rybę. Wychodziły na lód i pożerały zdobycz. Przez pół godziny ani na chwilę nie przerwały połowu. Robiłem zdjęcia. Było jednak zbyt daleko, aby dobrze wyszły, a nie miałem aparatu z teleobiektywem. Nie podchodziłem blisko. Nie chciałem spłoszyć zwierząt. Nie wiem czy wiesz, że kiedyś używano tresowanych wydr do połowu ryb.



*Fot.61. Świeże ślady po żerujących bobrach*

- Dziadku, pierwsze słyszę.

- No widzisz, o wielu rzeczach jeszcze usłyszysz pierwszy raz.

- Dziadku, oprócz wydr nad Bugiem spotyka się bobry?

- Bobry, to są gryzonie, takie, jak myszy i szczury, tylko odpowiednio większe, i prowadzące inny tryb życia. Bez przerwy rosną im zęby, więc muszą je ścierać, bo nie otworzyłyby pyska. Jedzą młode pędy: osik, topoli, wierzby, ale nie gardzą również sosnami czy dębami.



*Fot.62. Bóbr*

- Dziadku, zobacz dziwnie pocięte sosny. Pień zakończony jest jednostronnym szpikulcem.

- Oczywiście, to robota bobrów, ponieważ nie ma pnia sosny, to zapewne pociągnęli ją do wody, a może została zjedzona. Zawsze myślałem, że bobry jadają tylko młode drewno, niektórych drzew liściastych. Być może, jadają również

żywiczne sosny. Kiedyś leśni ludzie polowali na bobry dla mięsa i futra.

-Podobno najsmaczniejszy jest bobrzy ogon.

- Wydzielina gruczołów w pobliżu ogona, zwana strojem bobrowym używana była, jako cenny i skuteczny lek na różne dolegliwości. Bobrowe futro zawsze uchodziło za doskonały materiał na ubiór podróżników wyruszających na dalekie wyprawy w zimne regiony Ziemi. W dawnych czasach często szyto z niego czapy z nausznikami.

- Dziadku widziałeś, kiedy bobra na wolności?

- Tak. Parę razy spotkałem na lodzie. W lecie trudno go wypatrzeć, ponieważ prowadzi nocny tryb życia i przy dziennym świetle się nie pokazuje. Nieraz słyszałem bobry, podczas moich wypraw żeglarskich. Charakterystyczne uderzenia ogona o wodę niosły się na odległość kilkuset metrów. Spotykałem świeże ślady żerowania, ale nie spotkałem żywego. W nocy wydeptywały ścieżki tuż obok mojej „Kasiuli”, jachtu, którym posługiwałem się w swoich podróżach po rzekach Podlasia.

- Dziadku, wydry i bobry są pod ochroną?

- Tak. One o tym wiedzą i za bardzo nie uciekają od ludzi.

- Tak patrzę na rzekę i zastanawiam się? Rzeką łączy ludzi czy dzieli?

- Wydaje mi się, że dla wielu jest po prostu obojętna, dla innych groźna, jeszcze innym daje rozrywkę. W dawnych czasach rzeka żywiła. U ludów pierwotnych i dzisiaj odgrywa wielką rolę. Wielkie rzeki syberyjskie żywią tamtejszych mieszkańców, zapewne czytałeś książki, albo oglądałeś filmy znad Amazonki. Ta olbrzymia rzeka też żywi Indian. Nasz Bug też kiedyś żywił. Teraz ludzie odwrócili się od rzeki, oddają



*Fot.63. Przed dziobem widać brzeg, na którym przed stu laty budowano tratwy - binduga*



*Fot.64. Rzut oka na bindugę od strony lądu*

jej swoje brudy, ścieki. Zupełnie nie liczy się, jako arteria komunikacyjna. Kiedyś tak nie było. Bugiem spławiano tratwy, pełne towarów, sprzedawano towary i tratwy. Zaraz pokażę ci miejsce, gdzie budowano tratwy i skąd spławiano do morza. Tak było przez wiele stuleci. Miejsce, gdzie buduje się i spławia tratwy nazywamy bindugą. Przejdziemy kawałek. Nad brzegiem znajdziemy spłachetek płaskiej przestrzeni, skąd do lustra wody nie jest daleko. Koryto



bez przerwy zmienia swoje położenie, ale miejsce bindugi, jakby zastygło w pierwotnej postaci. Obserwuję je przynajmniej przez sześćdziesiąt lat. Kiedyś było porośnięte trawą, a teraz mamy kotłowisko powalonych pni, które nigdy nie były przeznaczone na tratwy, wyrosły, jako okazałe wierzby, zestarzały się i runęły przygniecione przemijaniem. Nikt tych pni nie sprząta i tak będą leżały aż do zupełnego rozkładu, albo do



*Fot.65. Jedyne kajakarze i wędkarze dotrzymują wierności rzece*

przyjścia wysokiej wody na rzece, która je zabierze ze sobą, aby potem porzucić na mieliznach. Z tego, co wiem, to ostatnie tratwy zbudowano tu na

początku dwudziestego wieku, czyli ze sto lat temu. O to tu.  
*Panowie się zatrzymali przez chwilę. Młody z ciekawością oglądał to miejsce.*

- Ciekawe czy dałoby się znaleźć jakieś ślady, na dowód, że tutaj przez wiele lat budowano tratwy?

- Sądzę, że powinna pojawić się grubsza warstwa próchnicy.

- Jak to sprawdzić?

- Należy zrobić długą wąską odkrywkę w poprzek bindugi od rzeki w kierunku lasu. Jeżeli binduga mieściła się tu przez wiele lat, to wymieszana, dość



*Fot.66. Widok z korony Wysokiego Łądu na rzekę*

głęboko, kora i wióry z piaskiem, powinny ujawnić się w postaci jaśniejszego piasku ze smugami próchnicy biegnącymi w głąb ziemi.

- Dziadku, kopjemy?

- Może innym razem. W tych krzaczorach trudno byłoby cokolwiek ukopać.

*Nieco dalej ścieżka wyraźnie wspinała się na dość wysoką górę przeciętą w połowie przez rzekę.*

- Dziadku, to jest Wysoki Łąd?

- Tak. Przed kilkudziesięciu laty rzeka

wgryzała się w wydmę i brzeg był odkryty, niezarośnięty. Teraz niewiele widać, bo erozja się skończyła, a pochylony do wody stok zarósł drzewami. Wszystko się zmienia, panta rej, jak mawiali starożytni Grecy.

- Dziadku, bolą nogi.

- Mnie nie bolą.

- Jesteś bardziej wprawiony w długich, pieszych wędrówkach, niż ja.

- Zapewne masz rację. Dobrze usiądziemy w punkcie widokowym i odpoczniemy, a przy okazji opowiem trochę o drugim ważnym grodzie zbudowanym w średniowieczu nad podlaskim Bugiem.

- Dziadku opowiadaj.

- Pamiętasz, jak mówiłem, że w Mielniku opowiadało się legendę o lochach ciągnących się pod rzeką i łączących Drohiczyn z Mielnikiem. Nikt żadnych śladów, lochów nie wykrył. Jedno jest pewne. Drohiczyn to bardzo stara osada. Okolice zamieszkałe były od ponad ośmiu tysięcy lat. Drohiczyn jest równie stary, chociaż nigdzie nic nie przeczytasz na ten temat. Tylko wykopaliska starej ceramiki, stare pochówki mówią, że osadnictwo istniało tam od bardzo dawnych czasów. Podobnie, jak w Mielniku znajdziesz tam Górę Zamkową tuż przy samej rzece, która próbuje ją rozmyć. Bronią jej umacniając brzegi rzeki. W Drohiczyńce był port, podobnie, jak w Mielniku, i rzeką płynęły tratwy z towarami, albo komiędzy. Drohiczyn, jak całe pogranicze przechodził z rąk do rąk i ciągle zmieniał przynależność państwową. Niektórzy uważają, że był stolicą Jaćwingów, a we wnętrzu Góry Zamkowej w złotej trumnie spoczywa



*Fot.67. Góra Zamkowa w Drohiczyńce*



*Fot.68. Widok współczesnego Drohiczyńca z od strony rzeki*

ostatni wódz jaćwieski Kumat pokonany przez połączone siły polsko - ruskie. Podobno w trzynastym wieku koronował się tu jedyny król ruski Daniel Romanowicz, a miasto stało się stolicą państwa. Potem, już tak dobrze nie było. W mieście zbudowano kilka kościołów katolickich i przynajmniej jedną cerkiew. W czasie potopu szwedzkiego miasto zniszczyli Szwedzi i od tamtych czasów już nie udało się odzyskać dawnej świetności. Jak zapewne wiesz, obecnie

jest stolicą diecezji. Z Mierzwic można go zobaczyć przez lornetkę. Najlepiej oglądać go rano lub wieczorem z górki za wsią. Na zachodzie na tle nieba wyraźnie widać wieżę kościoła. Wieczorem świecą światła na samym horyzoncie. Jako ciekawostkę mogę powiedzieć, że z Góry Zamkowej przed wojną widać było dąb, do którego z braćmi często odbywasz wycieczki rowerowe. Dlaczego przed wojną? Ano, dlatego, że wtedy rósł na polu i drzewa z okolicznych lasów go nie przesłaniały. Teraz już się nie da zobaczyć, ponieważ ukrył się w lesie i z daleka niczym się nie wyróżnia.

- Dziadku, odpocząłem, możemy iść do domu.

- No to idziemy.

- Chcę ci powiedzieć, że wycieczka bardzo mi się podobała.



#### IV. Ludzie

- Dziadku, skąd myśmy się wzięli?
- Jak to my?
- Nooo, nasi przodkowie?
- Ty i twoi bracia urodzili się w Siedlcach.
- Dziadku, to wiem.
- Twój tata też urodził się w Siedlcach, gdy twoja mama w Hajnówce, a więc w różnych częściach Podlasia. Jesteś Podlasiakiem.
- A babcie i dziadkowie?
- Ze strony taty urodzili się w okolicach Siedlec. Babcia Krysia w Ruskowie, a dziadek Janek w Borkach Kosiorkach, ze strony mamy babcia Krysia w



Fot.69. Włosi

Mierzwicach Nowych, a dziadek Andrzej w Starych, o wcześniejszych przodkach ze strony taty już nie wiem, ze swojej strony i babci Krysi wiem trochę więcej. Korzenie sięgają okolic Sokołowa i Korczewa, związane są z Zabuzem, Klepaczewem, Kolonią Hołowczyce i oczywiście Mierzwicami. Podejrzewam, że nasze gniazdo związane jest z Podlasiem i to od wielu pokoleń.

- A jeszcze wcześniejsi przodkowie?

- Nikt takich badań nie przeprowadził. Podejrzewam, że ze strony mamy przodkowie mają korzenie mieszane, polsko – ruskie, a ze strony taty chyba polskie. Co było w zamierzonych czasach, to nie wiemy. Uczeń próbuje dociec na podstawie cech

antropologicznych mieszkańców danej krainy.

- Antropologicznych? Nie bardzo wiem, czego to dotyczy?

- Antropologia zajmuje się badaniem cech grup ludzi i ich pochodzeniem.

Na tych ziemiach ludzie przemieszczali się z miejsca na miejsce i różne ludy mieszały się ze sobą. Prawdopodobnie w zamierzonych czasach mieszkali tu Słowianie, ale przez te ziemie przewalały się i inne ludy. Na początku Celtowie, potem Germanowie i wiele innych. Wydaje mi się, że jesteśmy najbardziej spokrewnieni ze Słowianami, chociaż w czasie ostatniej wojny Niemcy uważali mnie za Włocha.

- Dziadku, nieprawdopodobne. Skąd



Fot.70. Kobieta – charakterystyczny typ Słowianki

wywodzą się Słowianie?

- Rodowód Słowian ginie, gdzieś w mrokach dziejów. Niektórzy twierdzą, że



*Fot.71. Słowianie chętnie osiedlali się na pograniczu stepu i lasów*

zamieszkiwali okolice Środkowego Dniepru na pograniczu obszarów leśnych i obszarów stepowych. Od bardzo dawna trudnili się rolnictwem, myślistwem, zbieractwem. Pogranicze lasu i stepu sprzyjało rolnictwu. W czasach historycznych prowadzili tryb osiadły. Rolnik nie może sobie pozwolić na wieczną wędrówkę. Inni twierdzą, że od bardzo dawna zamieszkiwali krainy między Wisłą i Bugiem, a więc te tereny, gdzie teraz mieszkamy. W zamierzchłych czasach ziemie te pokrywały nieprzebyte

puszcze. Dawały one poczucie bezpieczeństwa przez izolację od innych, łatwość obrony przed nieproszonymi gośćmi i łatwość ukrycia się w razie niebezpieczeństwa. Ślady kultur przypisywanych Słowianom znajduje się i na zachód od Wisły. Wszystko, co na ten temat wiemy, jest wielką niewiadomą. Ludy pierwotne nie znały pisma, jedynymi śladami jest ceramika często bardzo charakterystyczna dla danej kultury



*Fot.73. Puszcza dawała wiele pożytków*



*Fot.72. Nie stroniłszy od przepastnych puszczy*

i określonych grup plemiennych oraz narzędzia. Szczególnie trwałe ślady dają narzędzia robione z materiałów nie ulegających korozji. Wcześniej zaczęto wyrabiać narzędzia z krzemienia. Wielkie kopalnie krzemienia znajdowały się w Górach Świętokrzyskich. Prawdopodobnie górnikami byli Celtowie. Kupcy rozwozili narzędzia po dużym obszarze. Potem zaczęto wyrabiać narzędzia z żelaza. Hutnictwo żelaza jest znane od bardzo dawna. W odróżnieniu od

czasów obecnych „huty” rozrzucone były po całej Europie. Potrzebne było do wyrobu narzędzi i broni. Ludzie zawsze byli agresywni. Jedni wytwarzali inni



zabierali. I do jednego, i do drugiego potrzebne były narzędzia, i broń. Nie wiem czy pamiętasz, jak kiedyś pokazywałem ci na Zaskiepiu wymyte przez wodę rude kawałki brzegu.

- Dziadku, pamiętam.

- To są rudy darniowe. Zawierają one minerał zwany limonitem. Stąd pozyskiwano żelazo. Słowo ruda zapewne pochodzi od zabarwienia tej skały.

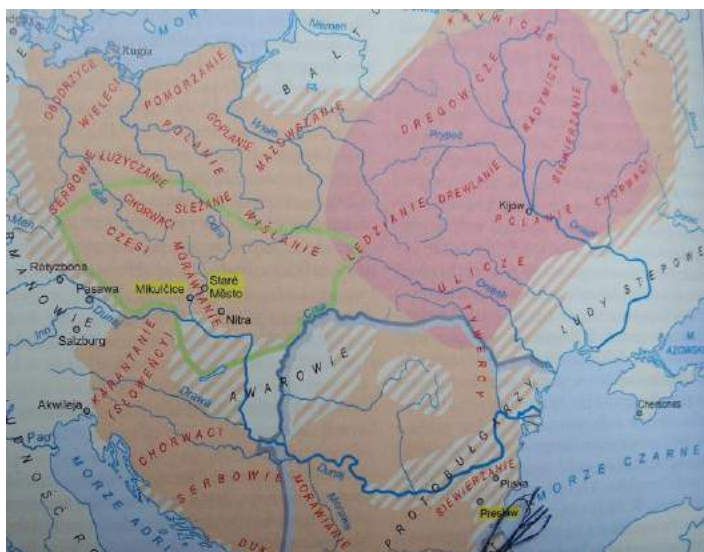
- W jaki sposób wytapiano żelazo?

- W dymarkach. Były to kopce robione z gliny i kamieni z kominem u góry. Wewnątrz umieszczano warstwami rudę darniową i węgiel drzewny. Przy pomocy miechów wdmuchiwano powietrze, które podtrzymywało palenie i wysoką temperaturę. Surówka gromadziła się na dole pieca. Potem ją wielokrotnie przekuwano otrzymując w ten sposób żelazo nadające się na narzędzia i broń.

Jak byliście na wycieczce w Górach Świętokrzyskich, to zapewne widziałeś ślady po dymarkach? Dymarki używano tylko jednorazowo. Zresztą na użytek turystów pracują tam rekonstrukcje. Jakbyśmy się bardzo uparli, to taką



*Fot.74. Rude brzegi wskazują, że tam można znaleźć rudę darniową*



*Fot. 75. Mapa siedlisk Słowian w VIII i IX wieku*

ostatnim milenium na stepy południowo europejskie przywędrowali Chazarowie – lud pochodzenia tureckiego wyznający religię mojżeszową. U ujścia Wołgi i na stepach czarnomorskich założyli dobrze zorganizowane państwo. Przez jakiś czas podporządkowywali sobie Słowian mieszkających w dorzeczach Donu i Dniepru. Chwilami mieli dość ciężką rękę i niektóre rody słowiańskie powędrowały na zachód w dorzecza Bugu. W dziesiątym wieku zostali ostatecznie rozgromieni przez Rusinów. Po nich przyszły inne ludy pochodzenia

dymarkę moglibyśmy zbudować w Mierzvicach na działce twoich rodziców. Rudę wzięlibyśmy z Zaskiepia, albo z lasu. Wiem, w którym miejscu występuje.

- Rozmawiamy trochę na inny temat. Mnie niepokoi cały czas pytanie skąd pochodzimy?

- Zapewne nigdy się nie dowiemy. Ale dobrze, że cię to interesuje. To, co ci opowiem na ten temat nie musi być prawdą, możesz zaliczyć do legendy. Przed

tureckiego, pasterskie i wojownicze przemieszczające się na zachód wzdłuż stepów czarnomorskich. Prowadzili wojny z książętami ruskimi. Początkowo byli Pieczyngowie, a od dziesiątego wieku Połowcy. Też powodowali migracje Słowian na północny zachód. Rozgromieni przez ruskich kniaziów przenieśli się na Bałkany i tam zasymilowali się z ludami miejscowymi, i Słowianami, którzy też próbowali zasiedlić te tereny. Wywodzimy się z Podlasia. To jest pewne. Gorzej z określeniem pochodzenia naszych pra, pra, pra... przodków. Osadnictwo na Podlasiu pochodziło z trzech kierunków: ze wschodu, północy i zachodu. Dwa kierunki wyznaczała rzeka. Nasz Bug. Tym ze wschodu było najłatwiej, bo z prądem rzeki dobrze



*Fot.76. Od zachodu na Podlasie napływali Mazowszanie*



*Fot.77. Z Polesia, pokonując bezdenne bagna napływała ludność ruska*

się przemieszczało, chociażby na tratwach z biegiem rzeki. Z tego kierunku napływali Rusini. Prypecią i Muchawcem przepływali przez bezdenne moczary Polesia i docierali do Doliny Bugu znajdując tu korzystne warunki osiedlenia się. Rywalizowali z osadnikami z Mazowsza. Potem te ziemie podbili Książęta Ruscy i założyli księstwo ze stolicą w Drohiczynie.

- Od zachodu i północy też napływali osadnicy.

- Zgadza się, też. Od zachodu napływali Mazowszanie. Jaćwingowie na północy byli uciążliwymi sąsiadami. Napadali na spokojnych mieszkańców pogranicza, grabili i brali niewolników, młodych mężczyzn, i kobiety. Czasami sami się osiedlali wśród miejscowych ludów. Potem po rozgromieniu Jaćwieży ich miejsce zajęli Litwini bardzo prężni w czternastym i piętnastym wieku. Litwinom udało się podbić wielkie obszary należące do Rusinów i utworzyć potężne państwo sięgające od morza Bałtyckiego, aż po morze Czarne.

- Dziadku, to skąd my jesteśmy?

- Zapewne stąd, z Podlasia. W naszych żyłach płynie krew Rusinów- to przeze mnie i twoją babcię Krysię, Polaków, to przez drugą babcię Krysię, twego tatę i przeze mnie, Jaćwingów, być może Celtów i Germanów teraz trudno to rozwikłać. Popatrz na twarze i sylwetki mieszkańców tych ziem. Spotkasz



wszystkie typy człowieka białego. Twój dziadek ma domieszkę krwi południowców, ma ciemną karnację skóry, podłużną i pociągłą twarz, a w młodości miał kruczo - czarne włosy, i znacznie ciemniejsze oczy niż obecnie, zapewne w słońcu wyblakły - *zaśmiał się starszy pan.* - Słowianie mają raczej jasne włosy, krępą sylwetkę, mocną budowę, okrągłą głowę, nieco wystające kości policzkowe. Stąd widać, że jestem wielkim mieszańcem, a ponieważ jestem twoim dziadkiem, mieszańcem jesteś również ty. I dobrze, że się mieszamy. Twoja dziewczyna ma więcej cech słowiańskich, ale też jest inna, ponieważ ma smukłą sylwetkę i długie nogi. Jeżeli zostanie twoją żoną, to mieszanie następować będzie dalej i twoje dzieci będą jeszcze bardziej wymieszane.



*Fot.78. Mazowszanie też wykorzystali rzekę w swojej podróży na wschód*



*Fot.79. Czczono święte gaje lokalizowane na górkach...*

Migrujemy, zamieszkujemy już całą Ziemię, bo nawet na Antarktydzie są ludzie.

- Dziadku rozgadałeś się. Zrozumiałem z tego, co mówisz, że w moich żyłach płynie krew pochodząca od bardzo różnych przodków. To rozróżnienie i wymieszanie ciągle postępuje, i nigdy się nie zakończy, chyba, że ludzie wymrą.

- Chciałbym jeszcze porozmawiać na temat starych wierzeń i co z tego dotrwało do dnia

dzisiejszego?

- Dziadku, coś na ten temat wiesz?

- Trochę wiem. Wiadomo, że Słowianie nie budowali świątyń, czcili raczej siły przyrody. Bardzo bali się Peruna lub Perkuna, był to nienajprzyjemniejszy bóg burzy i piorunów, przypominał trochę greckiego Zeusa. Bardzo ważnym bogiem był Wołos – Wallesa opiekun bydła i pól. Wyobrażano go sobie w postaci czarnego karła lub siwego starca z wielką brodą.



*Fot.80. ...również wielkie głazy*

Jeszcze nie tak dawno na pytanie księdza, dlaczego panna młoda w wieku sześćdziesięciu lat chce wyjść za mąż za siedemdziesięcioletniego oblubieńca

tłumaczyła, że ona ma krowę, a on ma konia i ich pola oddziela miedza, poza tym oboje mają sporo gnoju, który nadaje się do wywiezienia na pole. Ważnym



*Fot.81. Świętojańskie wieńce*

bóstwem był Dadźbóg umiejscowiony w słońcu. Dawał ciepło i światło. Z kultem jego wiązało się święto Kupały obchodzone, podczas letniego przesilenia. Do dzisiaj dzieci i młodzież w noc świętojańską puszcza wieńce na wodę. Rodem opiekował się Rod. Ofiarowano mu miód lub kaszę. Dziewanna była opiekunką lasów i zwierzyny, sprawowała również pieczę nad

łowami. Strzybóg zajmował się wiatrami.

- Dziadku, na Łysej Górze leży duży kamień czy on mógł być czczony przez mieszkańców wsi?

- Kamień może mieć wszelkie cechy „świętego” kamienia, w czasach pogańskich mógł być przedmiotem kultu. Słowianie czcili wielkie dęby, tak, jak i Bałtowie. Uważano je za siedzibę Peruna.

- Dąb stojący w Mierzwicach przy drodze też mógł być święty?



*Fot.82. Czczono „święte” dęby*



*Fot.83. Dom z chatnim drzewem*

- Raczej nie, bo on może mieć najwyżej czterysta lat, a może ma mniej. W tym, czasie pogańskich wierzeń już nie było na Podlasiu. Może nie do końca mam rację, wiele się zachowało w zabobonach i przesądach do dnia dzisiejszego. Nie wiem czy wiesz, co to jest chatnie drzewo? Na Podlasiu jeszcze w dziewiętnastym wieku chatnie drzewo pełniło ważną funkcję i pod karą wymierzoną przez dobre czy złe duchy nie należało go ścinać.

Podobno w grubym pniu mieszkały duchy opiekujące się domem i jego mieszkańcami, i chroniące, i dom, i mieszkańców przed demonami. Jako fizyk widzę pewne uzasadnienie, otóż chatnie drzewo mogło pełnić funkcje pewnego



rodzaju piorunochronu, bo pioruny częściej uderzały w drzewo, ponieważ było wyższe i korzenie zapuszczało głębiej niż chata. Oczywiście, chata nie miała korzeni, ale najczęściej stała na kamiennym fundamencie wkopanym w ziemię.

- Dawniej wierzono w wiele bóstw.

- Tak. Rodem, który zamieszkiwał osadę opiekowały się dobre bóstwa zwane rodzienicami. Chatami - chatnie bóstwa i skrzaty, które gnieździły się w różnych zakamarkach izby. Pozostawiano im pożywienie, z czego miały wielką uciechę myszy. Teraz skrzaty pozostały tylko w bajkach, podobnie jak krasnoludki.

- Skrzaty były uznawane za dobre duchy. Obok nich funkcjonowały bardzo przychylne ludziom bożęta domowe.

- Puszcza, bagna i wody wypełnione były demonami i złymi duchami. Należały do nich rusalki - boginie lub nimfy. Z upodobaniem wabiły młodych mężczyzn na bagna, tonie jezior lub rzek, aby potem ich utopić.

Podobnie do rusalek zachowywały się wodnice. Na północy wodami rządziły ondyny. Bardzo wrednie zachowywały się wiły i południce, tylko czyhały, aby komu zrobić coś nieprzyjemnego.

- Według wierzeń pierwotnych mieszkańców Podlasia puszcze i wody jawiły się, jako bardzo niebezpieczne miejsca, pełne złośliwych, i nieprzyjaznych duchów.

- Strzygi były wrednymi czarownicami odbierającymi mleko krowom, płaczące wełnę owcom, zaplatające ogony koniom, odmieniające dzieci matkom,



*Fot.85. Strzygi lubiły rozwalać płoty i było puszczać w szkodę*



*Ft.84. Na bagnach plątały się wiły i południce*

rzucające uroki, wytwarzające kołtuny we włosach dzieci i kobiet. Bały się czerwonego. Pamiętam, jak, niektórzy gospodarze zdobili swoje baty czerwonymi wypustkami na odczynianie uroków. W mojej młodości zdarzały się kołtuny na głowach, niektórych mieszkańców. Nie można było ich obcinać, ponieważ uważano, że taka operacja na pewno zakończy się nieszczęśliwie.

Gdy higiena ogólna się poprawiła, znikły kołtuny.

- Właściwie nie wiem, co to jest ten kołtun?

- Splątane i poklejone wydzieloną włosy nie dające się rozczesać. Strzygi żywiły się ludzką krwią. Krew uwielbiały wampiry. Można się przed nimi łatwo obronić, bowiem nie znosiły zapachu czosnku. Nie rzucały cienia, wręcz nie znosiły światła dziennego, które je zabijało. Bez słońca trudno rozprawić się z wampirami. Jedynym ratunkiem był osinowy kołek wbity w serce wampira. Lasy roily się od wilkołaków, stworów ziejących krwawą paszczą. Przed wilkołakiem trudno się obronić. Były to istoty bezwzględne. Wilk zamieniał się w wilkołaka, gdy w wilka wstępował duch zmarłego człowieka.



*Fot.86. Czyżby to był wilkołak?*

- Dziadku, teraz wilkołaki występują tylko w bajkach i to bardzo starych.

- Dawne strachy pozostały wśród ludzi w postaci zabobonów i przesądów. Przytoczę tylko kilka. Otóż niedobrze jest wstać lewą nogą z łóżka. Nie wiem, dlaczego? Złe, jeżeli czarny kot przestąpi drogę. Lepiej nie robić zakupów w poniedziałek, bo nie będą nas się trzymały pieniądze i wiele innych. Wydawało się, że przesądów nie będzie, jeżeli technika pójdzie do przodu. Wiara w tajemną moc wróżby, w sny, w tarota i inne bzdury, niektóre usankcjonowano



*Fot.87. Cerkiew o złotych kopułach zbudowana na Górze Uszeście w Mielniku. Zgodnie z legendą zapadła się w głąb góry, podczas napadu Tatarów*

autorytetem wysokich urzędników ministerialnych trwa nadal. No cóż ludzka głupota nie ma granic, a istniała od zawsze. kiedyś, określano takich ludzi, jako ciemnych i zabobonnych. Teraz, jeżeli pokaże się ich w telewizji, to należą do współczesnej kultury, która jest, jak najbardziej trendy. Poniosło mnie. Wracam do historii.

- Dziadku pismo pojawiło się na tych ziemiach wraz z chrześcijaństwem?

- Najwcześniej ochrzciła się Polska, potem Ruś, a najpóźniej Litwa. Jaćwingowie wyginęli zanim przyjęli chrzest. Na Podlasiu chrześcijaństwo szło ze wschodu. Szybciej. Nieco później zawędrowało z zachodu. Wschodnie, obrządku bizantyjskiego przywędrowało wraz z Rusią. W



Mielniku podobno na Górze Uszeście zbudowano cerkiew o złotych kopułach. Podczas najazdu Tatarów, w trzynastym wieku, zapadła się w głąb góry i tam podobno tkwi do dzisiaj. Jeżeli przyłożymy ucho do stoku, to możemy usłyszeć dzwony. Prawosławni Rusini osadzani byli przez ruskich kniaziów. Powstawało wiele wsi zasiedlonych przez Rusinów. Do dzisiaj można osadnictwo ruskie dostrzec w nazwach: Boratyniec Ruski i dla odróżnienia Boratyniec Lacki, czyli polski, Stok Ruski i Stok Lacki, Hołubla, to po rusku gołębnik, hołub, to gołęb. Dalej mamy: Rusków, Horoszki – Groszki, Hołowczyce Huszlew, Hruszniew – Gruszkowo. Od zachodu napływali katolicycy - Mazowszanie, a potem Polacy. W okresie najazdów tatarskich ziemie wyludniły się, ponieważ napastnicy niszczyli wszystko, co napotkali na swojej drodze. Został zniszczony Mielnik i Drohiczyn ludność wyrżnięta lub wzięta w jasyr. Okoliczne wsie popalone.



*Fot.88. Boratyniec Lacki, widok współczesny*

Część ludności wiejskiej ukryła się w przepastnych lasach. Potem ziemiami zainteresowali się Litwini. Ich państwo gwałtownie rozszerzało się na wschód i południe kosztem ziem ruskich. Podlasie znalazło się pod wpływami Litwinów. O Podlasiu toczyły się nieustanne walki. Początkowo między Polakami a Rusinami. Ze zmiennym szczęściem raz te ziemie dostawały się pod panowanie polskie, raz pod panowanie ruskie. W czternastym wieku zawładnęła nimi Litwa. Pod koniec wieku Litwini przyjęli chrześcijaństwo z Polski, a więc według obrządku łacińskiego i zostali katolikami. Dopiero po zawarciu Unii Polsko – Litewskiej i powołaniu Władysława Jagiełły na króla Korony i Litwy sytuacja się ustabilizowała, i na Podlasiu zapanował względny pokój. Podzielono je między Litwę a Koronę. Tak naprawdę nigdy nie zostały dokładnie rozgraniczone ziemie podlaskie.

- Co się stało z prawosławnymi?

Część ludności wiejskiej ukryła się w przepastnych lasach. Potem ziemiami zainteresowali się Litwini. Ich państwo gwałtownie rozszerzało się na wschód i południe kosztem ziem ruskich. Podlasie znalazło się pod wpływami Litwinów. O Podlasiu toczyły się nieustanne walki. Początkowo między Polakami a



*Fot.89. Cerkiew unicka w Bublu*

Na terenach Wielkiego Księstwa Litewskiego zawarto unię między kościołem wschodnim, a zachodnim i pojawili się unicy. Zachowali swój obrządek, język cerkiewny, małżeństwa podstawowego kleru i swoistą liturgię. Przyjęli dogmaty wiary katolickiej i uznali prymat papieża.

- A co, dziadku, wiesz o Mierzvicach?

- Z przykrością muszę stwierdzić, że bardzo niewiele. Można przypuszczać, że w zaraniu dziejów wieś została zasiedlona przez Rusinów, podczas przynależności Podlasia do Rusi Halickiej. Żadnych dokumentów z tego czasu nigdzie prawdopodobnie nie ma. Wiadomo, że wieś ulokowana była na bużańskiej skarpie, a więc znacznie bliżej krawędzi doliny, niż obecnie. Mieszkańcy wykonywali różne powinności na rzecz grodu w Mielniku, a może i w Drohiczynie. W lasach pracowali smolarze i węglarze. Węgiel pozyskiwano w olbrzymich kopcach ziemnych. Potrzebny był do wytopu żelaza z rudy darniowej. W okolicach Mielnika powinny być dymarki, ponieważ surowca w okolicy było sporo, a drewna pod dostatkiem. Być może smolarnię zlokalizowano na końcu wsi nad ciekim wodnym wypływającym z pobliskiego lasu. Woda wyrzeźbiła dość głęboką dolinę. W okresach intensywniejszych opadów wody w strumieniu było znacznie więcej, niż w czasach obecnych, kiedy są lata, gdy strumień całkowicie wysycha. Z prawej strony strumienia jest dość wysokie plato o dużej miąższości próchnicy drzewnej, co wskazywałoby, że, to miejsce było wykorzystywane, jako smolarnia przez wiele długich lat. W mniejszym stopniu zajmowano się bartnictwem i syceniem miodów. Królewski spis wymieniał piwowarów. Bug należał do bardzo rybnych rzek i stąd zdobywano ryby na potrzeby grodu, i własne. Prawdopodobnie były kuźnie. Zastępowały walcownie, bowiem uzyskana z darniówki surówka zawierała bardzo dużo żużla. Żużle zazwyczaj oddzielano od surówki, a do obróbki brano tylko dolną, najcięższą część wytopu gromadzącego się na dnie dymarki, dopiero długotrwałe kucie zmieniało strukturę materiału. Mieszkańcy zajmowali się myślistwem. Być może, niektórzy pełnili funkcje strażników, bowiem już w dawnych wiekach ograniczano swobodne polowania w puszczech należących do księcia, króla czy możnowładców. W 1533 roku dokonano inwentaryzacji dóbr królewskich. W inwentarzu figurowały takie nazwy, jak: Sarnaki, Chybów, Mierzejewice lub Mierzwina. Inwentarz mówił, że we wsi istniały chaty dymne i kurne. Obok właścicieli byli komornicy mieszkający na tak zwanych komorach. Komornicy nie mieli własnych mieszkań. Ludność była rusińska, bo kilka imion czy przezwiska miało wyraźnie ruski charakter. Zapamiętałem dwa: Hryćko i Maksym. We wsi była karczma, kuźnia, pracowali kołodzieje. Urzędował żupnik – człowiek, który zajmował się dystrybucją soli. Wieś miała charakter osady leśnej.

- Dziadku, to, co powiedziałeś jest świętą prawdą?

- Wnusię nie traktuj tego, co opowiedziałem, ze śmiertelną powagą, oczywiście, tak mogło być, ale może było zupełnie inaczej. Tego nikt nie wie.



## V. Skąd my?

Dziadku mówiłeś, że u swoich początków prawdopodobnie Mierzvice zamieszkiwali Rusini.

- Tak mi się wydaje. Niektóre fakty na to wskazywałyby. Chodzi mi o osadnictwo po wyludnieniu tych ziem przez najazdy Tatarów i wcześniej Jaćwingów. Nie ma żadnych dokumentów wskazujących na lokację, czyli utworzenie wsi. Najprawdopodobniej powstała, jako osada leśna. Mieszkańcy jeszcze długo kultywowali pogańskie wierzenia i obyczaje. Na przełomie



*Fot.90. Drewniany kościół w Sarnakach. Wygląd współczesny*

czternastego i piętnastego wieku na zachód od Mierzvic została założona osada – Sarnaki - przez Sarnickich przybyłych z Mazowsza. Wraz z nimi napłynęła drobna szlachta mazowiecka zasiedlając wioski wokół Sarnak, jak Chybowo, Rozwadowo, Grzybowo. Nad Bugiem już była Mierzwinia zamieszkała przez Rusinów, którzy zdołali się wymieszać z miejscowymi. Mazowszanie

wyznawali już ugruntowaną wiarę chrześcijańską, byli katolikami lub,

jak wtedy ich nazywano, łacinnikami. W Sarnakach powstała parafia katolicka z kościołem ufundowanym przez założycieli Sarnak. W tym czasie już istniała parafia katolicka z kościołem i siedzibą w Mielniku. Wcześniej, za rządów księcia Daniela powstała parafia prawosławna. Zapewne jeszcze wcześniej zbudowano cerkiew na górze Uszeście.

- Dziadku, ziemie mierzwickie należały do Mielnika?

- Prawdopodobnie tak. W spisie wsi z siedemnastego wieku należących do parafii Sarnaki nie wymienia się Mierzwiny, Mierzejewic, ani Mierzvic, więc należy podejrzewać, że one nie należały do parafii sarnackiej. Z bliższych miejscowości do parafii należało jedynie Rozwadowo. Ludność Rusińska najprawdopodobniej należała do parafii prawosławnej, albo greko-katolickiej. Cerkiew musiała być w Mielniku

- Istniały jakieś majątki ziemskie w okolicy?

- Tak. Największy obejmował Sarnaki i przyległe grunty. Majątek istniał w Zabuzu, Klepaczewie. Stosunkowo niewielki w Mierzvicach. Dwór mieścił się w zabudowaniach stojących ze dwieście metrów od głównej drogi na niewielkim wzniesieniu. Z zabudowań dworskich pamiętających koniec dziewiętnastego wieku pozostał budynek, który teraz pełni funkcję budynku mieszkalnego. Kiedyś w nim mieszkała służba. Posiadłości ziemskie ciągnęły się szerokim pasem nadbużańskim do samej Bużki. W większości ziemie były

słabe i majątek nie przynosił nadzwyczajnych dochodów. Do majątku należało uroczysko Trojan w części nie należącej do Mielnika. Znaczną część majątności stanowiły lasy. Mierzvice leżały na skraju lasu, który ciągnął się do Rozwadowa. Chłopi pracowali na ziemi dworskiej odrabiając pańszczyznę. Do dyspozycji mieli splotki ziemi, którą uprawiali na własne potrzeby. W zasadzie okoliczne ziemie były własnością królewską. Królowie za zasługi oddane królestwu, obdarzali możnowładców urzędami z przypisaną urzędowi ziemią. Majątki ziemskie wymierzano we włókach ziemskich, a ziemię przypisaną miastom i wsiom, na których osadzano mieszczan, i chłopów włókami osiadłymi. Włóki osiadłe nie były własnością mieszkańców, tylko mieszkańcy byli własnością właścicieli wsi czy miast. Włóka miała około siedemnastu hektarów, co odpowiadało trzydziestu morgom. Jeszcze w czasach mojego dzieciństwa łąki, lasy, grunty orne wymierzano we włókach i morgach. Pamiętam, jak niejedynemu właścicielowi powiedziałem proszę pana na Trojanie mam morg doskonałej łąki. O bogatym mówiło się, że ma dużo morg. Marzeniem każdego rolnika było posiadanie, jak największej ilości morg. W morgach wymierzało się posagi, w morgach wymierzano wartość pojmanej na żonę dziewczyny czy pojmanego na męża chłopaka. Nazwę morga zapożyczyliśmy od Niemców. Podobno obszar odpowiadający morgowi był równy obszarowi, jaki młody parobek był w stanie zaorać przed południem. Samo słowo wzięło się z niemieckiego Morgen, co znaczy po prostu rano.

- Dziadku, kiedy powstały Nowe Mierzvice.

- Nic na ten temat nie wiadomo. Wieś zapewne nie miała stosownej lokacji, chociaż, to trochę dziwne, bo wsi nadawano tak zwane włóki osiadłe. Wydaje mi się, że powstanie jej można przyjąć na początek wieku dziewiętnastego lub pod koniec wieku osiemnastego. Był to czas, kiedy tworzyły się wsie z dodatkiem nowy. W spisach parafialnych z początku dziewiętnastego wieku jeszcze takie nazwy nie figurują. Być może łączono je pod jedną nazwą, bo ciągle spisów nie prowadzono zbyt dokładnie. Według podziału administracyjnego w drugiej połowie dziewiętnastego wieku pojawiły się nazwy z dodatkiem nowe, gdy starym miejscowości przypisano przymiotnik stary. W ten sposób pojawiły się miejscowości Litewniki Nowe. Tutaj można zauważyć niejako dwa sposoby powstawania nowych wsi. Pierwszy, to dobudowanie wielu budynków do istniejącej wsi i przypisanie im określonych ziem. Tak powstały Nowe Hołowczyce położone bliżej Mierzwic, a



*Fot.91. Nowe Mierzvice wjazd od strony szosy Mierzvice - Sarnaki – widok współczesny*



dalej Nowe Horoszki. Między Nowymi, a Starymi Hołowczycami trudno znaleźć granicę, ponieważ między jedną, a drugą wsią nie ma żadnej przerwy. Obie leżą przy jednej szosie – ulicy. Inne, jak Nowe Litewniki, Nowe Mierzvice leżą w pewnym oddaleniu od wsi z przymiotnikami stare i mają odrębne ulice. Wszystkie wymienione wsie mają charakter ulicówek. To znaczy, że zbudowano je wzdłuż ulicy, dom, obok domu stojący w stosunkowo niewielkiej odległości. Często dom stoi po jednej stronie ulicy, a budynki gospodarcze pod drugiej. Nic nie wiem, skąd się wieś wzięła i na czyje życzenie powstała. Za to dość dokładnie wiem, kiedy powstały takie miejscowości, jak Kolonie Mierzvice, Fronołów, Kolonie Hołowczyce. Otóż kolonie powstały po reformie rolnej, kiedy rozparcelowano wiele majątków ziemskich na terenie



*Fot.92. Wiata na przystanku we Fronoławie – widok współczesny*

Prawdopodobnie był głównym inżynierem prowadzącym budowę linii kolejowej, w tym również żelaznego mostu na Bugu, który zniszczyli, uciekający na zachód Niemcy w 1944 roku. We Fronoławie był tartak szczególnie intensywnie pracujący podczas pierwszej wojny światowej i kaplica. Z domów, to istniał tak zwany „biały dworek”. Po odzyskaniu niepodległości tereny przylegające do stacji częściowo należały do państwa, a częściowo do PCK - Polskiego Czerwonego Krzyża. Ziemie były bardzo słabe. Nawet las nie chciał rosnąć. Żywiczne i czyste powietrze tego miejsca znane było nawet w Warszawie. Dobre połączenie kolejowe ze światem przyciągało letników z Warszawy i Siedlec. Zastanawiano się czy tu nie należałoby zbudować sanatorium przeciwgruźliczego.

ia.  
ołów – to nowa miejscowość?

Powstała prawdopodobnie w 1905 czyli ma nieco ponad sto lat. Wtedy rano kolej z Siedlec do Czeremchy. było żadnych maszyn wszystko ywano ręcznie. Nasypy kolejowe, akurat we Fronoławie są bardzo ie usypywano ręcznie, a wowym środkiem transportu były wozy. Twoi pra, pradiadowie przy nej pracowali, bo mężczyźni z okolicznych wsi czynnie uczestniczyli w budowie kolei. Nazwa stacji kolejowej, która powstała, pochodzi od nazwiska carskiego inżyniera, który nazywał się Fronołów.



*Fot.93. Kolonie Mierzvice. Widok tuż po parcelacji i wybudowaniu zabudowań*

- A co z Koloniami Mierzvice?
- Powstały za życia moich rodziców. Po parcelacji majątku w latach dwudziestych, pojawili się nowi osadnicy. Pochodzili ze wsi Mierzvice Stare. Ziemie otrzymywało się z reformy rolnej, ale należało za nią zapłacić. W owym czasie wieś odczuwała coś, co nazywano głodem ziemi. Każdy odłożony grosz zamieniano na dokupywane skrzętnie morgi. Liczył się ten, kto miał najwięcej morgów, chociaż, to nie znaczyło, że prowadził wystawny tryb życia i nie miał kłopotów z tak zwanym przednówkiem.
- Dziadku, co to znaczy przednówek?
- Przednówek przypadał zazwyczaj na miesiące wiosenne i letnie. Był to okres po zużyciu się zapasów z zeszłorocznych zbiorów przed tegorocznymi żniwami, kiedy z nowego zboża można było zrobić mąkę i najeść się do syta chleba. Na przednówku wielu mieszkańcom wsi brakowało jedzenia. Ludzie ci nie mieli pieniędzy, aby dokupić zboża czy ziemniaków od tych, którzy je mieli.
- Na wsi się nie żyło się zbyt dostatnio?
- No, nie.



*Fot.94. Wiele informacji o naszych przodkach można zdobyć na cmentarzach*

- Dziadku, ciągle nurtuje mnie myśl skąd pochodzimy. Dokumentów prawie nie ma więc nic pewnego nie wiemy. Ale poszukiwanie swojej przeszłości jest zwykle pasjonujące.

Człowiek, który nie ma swojej historii czuje się bardzo niepewnie. Teraz wyszła moda na poszukiwanie swoich przodków. Wiele ciekawych informacji można znaleźć na cmentarzach. Dawne groby rozsypały się w proch i nikt nie wie, gdzie zostały ulokowane. Dopiero przypadkowe znaleziska coś mówią. Po większości cmentarzy nie pozostał żaden ślad i w ziemi też niczego znaleźć nie można. Do grobów składano przedmioty nietrwałe,

które po czasie rozsypywały się w proch zgodnie z biblijnym określeniem materialnego losu człowieka "z prochu powstałeś i w proch się obrócisz".

- Dużo się już dowiedziałem. Dziadku, jak myślisz, są jeszcze jakieś źródła, z których można coś wyczytać.
- Według mnie są. Bardzo się zdziwisz, jeżeli powiem ci, jakie to są źródła?
- Jestem bardzo ciekawy? Jakże to źródła?
- Nazwiska.
- Nazwiska? Co ciekawego można wyczytać z nazwisk?
- Okazuje się, że wiele. Nazwisko łączy się z rodziną.
- Imię też jest nadzwyczaj ważne.



- Oczywiście, ale imię ma wymiar jednostkowy, indywidualny. Jest rzeczą niezwykle ciekawą, że imiona nadawano od zarania dziejów. Robili to również poganie. Zawsze odbywało się, to podczas specjalnych obrzędów. U chrześcijan imię nadaje się, podczas chrztu. Imię zawsze coś znaczy. Szczególnie te stare imiona mają ciekawe znaczenia. Zdarzają się, zwłaszcza współcześnie, że rodzice upierają się, aby na chrzcie nadawać bardzo dziwne imiona. Czasem ksiądz nie chce tak ochrzcić. W czasach szalejącego ateizmu i obojętności religijnej możemy spotkać najdziwniejsze imiona, chociażby Rewolucja, Isaura, Violetta. Z reguły do dyspozycji mamy katalog imion, z którego wybierają rodzice imię dla swojej pociechy, nawet wtedy, gdy dziecko nie jest chrzczone, a zapisywane w urzędzie, zgodnie z wolą rodziców. Stare imiona coś znaczą, Weźmy dla przykładu imiona pochodzenia słowiańskiego: Bożydar – dar Boży; Mirosław – sławiący pokój, czyniący pokój; Mieczysław – sława oręża; Dobrosława – sławiąca dobro; Bronisław – broniący sławy – dzielny. I tak można wymieniać prawie bez końca. Ciekawe, że powtarza się to w różnych kulturach i religiach. Jeszcze niedawno można było spotkać wśród starych ludzi zamieszkujących Mierzvice i okolice takie rzadkie imiona jak: Polikarp, Teodor, Teofila, Bazyli, Petronela. Iwan, Karp, Kiryło, Maksym, Daniło, Hryćko, Eliaz. Imię wiąże się z określonym człowiekiem i tak długo funkcjonuje, jak długo istnieje dany osobnik, i ludzie, którzy go pamiętają. Jeszcze jedno jest ściśle związane z danym człowiekiem, to przezwisko, przydomek, które funkcjonuje tylko w dość zamkniętych hermetycznie społecznościach. Taką społecznością była do niedawna wieś. Ze starych przydomków pamiętam kilka, które przypisywano całym rodzinom to były: Klimy, Gubernatory, Chapieje. Kale. Kowale, Stelmachy, Kornię, Wilki, Chomiki. W dawnych czasach przydomek czy przezwisko mógł się stać nazwiskiem, jeżeli zostało urzędowo zatwierdzone w odpowiednich księgach przez odpowiednich urzędników.

- Co z przydomkiem czy przydomków można wywnioskować?

- Jeżeli są stare, to bardzo wiele. Na przykład Klimy przezwisko czy przydomek pochodzenia ruskiego, bowiem Klim, to imię ruskie. Podobnie ma się z Korniałami, Bazylczukami. Zdarzają się przydomki jednego sezonu, które znikają wraz z człowiekiem zmieniającym swoje miejsce zamieszkania. W lokalnych społecznościach wręcz przezywanie innych staje się koniecznością. Niektórzy reagują bardzo źle na przydomki, zwłaszcza wtedy, gdy są wyraźne



*Fot.95. Chrzcziny w Kościele Katolickim*

złośliwe i powstają wbrew woli zainteresowanego. Inne są akceptowane i pełnią funkcję nieoficjalnego nazwiska, są rodzajem ksywki.

- Dziadku, a co jest z nazwiskami?

Nazwiska, to wymysł dość późny naszej cywilizacji. Najwcześniej obdarzano nazwiskami ludzi znanych, majątnych. Właściciele wielkich posiadłości ziemskich. Wtedy powstawały nazwiska związane z miejscowością. Wyrzykowski – mieszkaniec, lepiej właściciel Wyrzykowa. Karwacki – właściciel Karwi. Szymański, właściciel - Szymanowa, Jasiński – Jasienia.



*Fot.96. Tutaj doskonale koegzystują ze sobą: Szymańscy, Karwaccy, Radzikowscy, Truskowscy, Jasińscy, Sokołowscy, Bobińscy, Hackiewicz, Wojtulewicz, Dacewicz, Daniluki, Maksymiuki, Mikiciuki, Szewczuki, Rybaczuki, Demianiuki, Sobczuki, Wawryniuki*

W tym czasie nie powstały nazwiska szlacheckie. Wiele nazwisk za nazwisko posłużyły znaki, symbole, herby, jak: Ciołek, Trąba, Cholewa. W powiatach i parafiach było kilkanaście rodzin posiadających nazwiska kończące się na cki, owski, owski, Truskowski, Szymański, Jasiński. Ludzie mieszkający na terenach mający takie nazwiska bardzo uważali się za Polaków i byli Polakami. Oczywiście specjalnych reguł nie

należy się w tym dopatrywać, bowiem wśród nich często zdarzali się prawosławni. Szlachta, nawet ta szaraczkowa, łanowa nie mieszała się z chłopami, lub robiła to bardzo niechętnie, przeważnie z posmakiem skandalu. Bardzo często rodzina nie chciała zaakceptować mezaliansu. Między wsiami włościańskimi, a szlacheckimi panowały animozje i w dawnych czasach rzadko zdarzało się, że szlachcic poślubiłby nieszlachciankę, a prawie niemożliwe było, aby nieszlachcic poślubił szlachciankę.

Zatem w zamierzchłych czasach nie było koligacji między wsiami szlacheckimi a włościańskimi. Szlachcic nieraz biedniejszy i mniej wykształcony, niż jego sąsiad nieszlachcic, pieczołowicie przechowywał dokumenty świadczące o jego szlacheckości, chociaż często nie potrafił ich przeczytać, bo liczba analfabetów wśród drobnej szlachty często była ni mniejsza, niż wśród pogardzanych wieśniaków. Nie wiem czy pamiętasz z historii w czasie bitwy pod Raławicami wyróżnił się Bartosz. Miał tylko imię. W nagrodę za męstwo otrzymał nobilitację i nazwisko Głowacki.

- Dziadku, to rodziny posiadające typowo polskie nazwiska nie musiały być pochodzenia szlacheckiego?

- Nie musiały, chociaż w pewnym okresie dziejów, nie bardzo można było sobie zafundować nazwisko ze znamionami szlacheckości. Sprawy te trudno



rozsądzić.

- Wśród mieszkańców Mierzwic i okolic wyróżniają się dość charakterystyczne nazwiska kończące się icz.

- Podejrzewam, że należą do ludzi pochodzenia ruskiego, być może spokrewnionych z ruską arystokracją, bojarami. Na wschodzie obok imienia od bardzo dawna używa się tak zwanego otieczestwa, jest to fragment nazwiska utworzony od imienia ojca. Jeżeli ojciec miał na imię Andrzej, to jego syn obok imienia własnego używał słowa Andrejewicz dla podkreślenia, że jest synem Andrzeja, po rusku Andrieja. Kobieta też używa otieczestwa i w przypadku ojca Andrzeja byłaby, to Andrejewna. Łatwo zauważyć, że część nazwisk pochodzi od otieczestwa. Hackiewicz, Wojtulewicz, Dacewicz. Oczywiście nie każde nazwisko na icz musi pochodzić od otieczestwa i mieć ruski rodowód. Nie jestem językoznawcą i mam niewielką wiedzę na ten temat. To, o czym mówię, wiem z zasłyszania, z przeczytania jakichś materiałów, a reszta, to intuicja, która nie musi prowadzić do prawdy.

- Dziadku twoje nazwisko kończy się na uk. Jak myślisz skąd pochodzi?

- Podobno w dziewiętnastym wieku pojawiły się różne ukazy, zarządzenia władz rozbiorowych, nakazujące nadanie nazwisk chłopom. Do tej pory większość mieszkańców wsi, poza szlachtą, nie miała nazwisk. Na Podlasiu w znacznym stopniu zamieszkałym przez ludność pochodzenia ruskiego wiele nazwisk powstało od imion ojców. Syn Daniła, to był Daniłuk, albo Daniluk z akcentem na u, czyli mały Daniło. Synowie Iwana zostali Iwaniukami, Marcina - Marciniukami, Jędrzeja - Jędrzejukami, Karpa - Karpiukami, Maksyma - Maksymiukami, Bazyla - Bazylukami lub Bazylczukami, Osipa - Osipiukami lub bardziej spolszczone Osypiukami. Na tej samej zasadzie wiele nazwisk powstawało na podstawie zawodu wykonywanego przez ojca. I tak z kowala powstał Kowaluk lub jeszcze mniejszy kowaluk - Kowalczuk, szewca - Szewczuk, rybaka - Rybaczuk, stolarza - Stolarzuk. Końcówka uk jest charakterystyczna językowi białoruskiemu i związanymi z nim gwarami lub z językiem ukraińskim i jego gwarami.

- Jakiego języka używali mieszkańcy Mierzwic?



*Fot.97. Na nadbużańskich błoniach młodzież z zabużańskiego Osłowa i okolicznych Mierzwic spotykała się na okolicznościowych zabawach. Do II-iej Wojny Światowej było to powszechne zjawisko, potem wszystko się popsulo*

- Z dzieciństwa pamiętam, jak rozmawiał mój dziadek Michał ze swoim ciotecznym bratem Laszem, czyli Eliaszem. Była to gwara białoruska. Język



*Fot.98. Te kobiety mają bardzo słowiańskie rysy twarzy*

nazywano językiem prostym a rozmawiało się po prostemu. Nie przypisywano języka do żadnej określonej narodowości. Zupełnie dobrze gwarą posługiwała się prababcia Frania. Gdy chodziłem do swojej Krysi, przyszłej twojej babci Krysi, to nigdy nie słyszałem, aby ktokolwiek w domu w ten sposób mówił. Prawdopodobnie w dziewiętnastym wieku i wcześniej używano tu języka prostego, języka

ludzi niewykształconych. Można go jeszcze usłyszeć za Bugiem. On już też zanika zastępowany literackim, polskim. Zdaje mi się, że przynależność do określonej narodowości nie była zrozumiała większości tutejszych mieszkańców. Jeszcze pamiętam swoje spotkania z autochtonami w Wólce Terechowskiej na granicy z ówczesnym Sojuzem, w pobliżu Czeremchy. Sam kiedyś pytałem starego dziadka, który prawie nie potrafił mówić po polsku, posługiwał się tylko białoruską gwarą. Kim on jest? Odpowiadał, że on jest tutejszy, a jakiego wyznania - prawosławny. Wtedy dopiero uznał, że on jest Ruski. Narodowość na tych ziemiach wiązała się z wyznaniem. Polacy byli katolikami, Ruscy, to prawosławni. Była jeszcze Unia, czyli kościół grekokatolicki. Po ukazie tolerancyjnym z 1905 roku, unicy masowo przechodzili na rzymski katolicyzm i zadeklarowali swoją przynależność do polskości, nawet ci, których zmuszono do przejścia na prawosławie przechodzili do kościoła katolickiego.

.-Dziadku. kim jesteśmy?

- Oczywiście, Polakami.

- Skąd nasz ród?

- Z Podlasia.

- W naszych żyłach płynie krew ruska i polska?

- Zapewne jest wiele jeszcze innej. Nie wykluczam krwi jaćwieskiej, litewskiej, tatarskiej, germańskiej, celtyckiej i wielu innych. Różne ludy przewalały się przez te ziemie i różne ludy ją zamieszkiwały. Wszystko się mieszało i z tej mieszanki wyłoniliśmy się my, ludzie współczesnej Polski, czyli Polacy. Nieważne, gdzie się, kto urodził, ważne, za kogo się uważa.



## VI. Wiara

-Dziadku, wiem, że ludność pochodzenia rusińskiego wyznawała chrześcijaństwo według obrządku wschodniego, a ludność pochodzenia polskiego chrześcijaństwo obrządku łacińskiego.

- Tak, masz rację.

- Nie było kłopotów? Sąsiedzi różnych wyznań chrześcijańskich żyli obok siebie zgodnie?



*Fot.99. Stara drewniana cerkiew na cmentarzu prawosławnym w Mielniku*

- Nie słyszałem, aby dzieliła ich w jakiś sposób religia. Obok siebie mieszkali prawosławni Rusini i katolicy Polacy. Podejrzewam, że dla wielu mieszkańców przynależność do określonej nacji nie była czymś ważnym. Jedni i drudzy uważali się za tutejszych, często porozumiewali się takim samym językiem. Zapewne większą świadomość przynależności do Rusi czy Polski mieli mieszkańcy wsi szlacheckich, wszak oni wywodzili się ze stanu rycerskiego.

- W Mierzwicach była cerkiew?

- Nie, nigdy tu nie było cerkwi.

- Ludzie nie chodzili do kościoła, nie

modlili się?

- Chodzili, może nie tak często, jak teraz, zwłaszcza ze wsi położonych daleko od cerkwi czy kościoła. Chrztili dzieci, obchodzili święta Wielkanocy, Bożego Narodzenia, modlili się, podczas odpustów, brali śluby, i rozstawali się z tym światem. Zmarłych grzebano na cmentarzach w pobliżu cerkwi i kościołów.

- Gdzie była najbliższa cerkiew?

- W Mielniku.

- Nie dzielił Bug?

- Były okresy, że dzielił. Szczególnie na wiosnę, kiedy ruszyły lody i potem woda była bardzo wysoka, że zalewała całą dolinę. W lecie i zimie Bug nie był przeszkodą. Przeszkodą mogły być zasypane śniegiem, pełne niebotycznych zasp drogi, przez które nie dało się przebrnąć. W zimie ludzie za bardzo nie wyjeżdżali ze



*Fot.100. Podczas zimy rzekę przejeżdżało się po lodzie*

swoich domów. Pracowali i świętowali w domu, w pobliżu swoich obejść. Pamiętaj, że w Zabuzu był most.

- Daleko mieli do świątyni.

- W dawnych czasach wszędzie było daleko. Lud prosty chodził na piechotę. Opowiadała mi moja mama, jak kiedyś jej mama musiała załatwić jakąś sprawę w Łosicach. Potrafiła zająć tam i wrócić w jednym dniu, i to na piechotę. Wyobraź sobie, że przeszła ponad pięćdziesiąt kilometrów, to prawie tak daleko, jak z Mierzwic do Siedlec.

- Nie do wiary. Nie było autobusów?

- Dobrze wiesz, że nie było. Autobusy, to wynalazek współczesny. W zimie jeżdżono saniami w zaprzęgach konnych. Rzeka zamarzała, bowiem zimy były srogie. Pamiętam, że do Osłowa jeszcze w czasach mojego dzieciństwa i młodości ludzie jeździli sankami w poprzek rzeki. W różnych miejscach były takie przeprawy.



*Fot.101. Ruszanie lodów na rzece – to niezapomniane przeżycie*

- Lód mógł się załamać.

- Mógł, ale zdarzało się to bardzo rzadko. Wybierano takie miejsca, gdzie lód był mocny i gruby, bez oparzelisk. Ludzie wiedzieli, gdzie to mogło być. Pamiętam, jak podczas

topnienia lodów, rzeką płynęły takie lodowe mosty wyjeżdżone przez zaprzęgi konne. Nawet ładnie to wyglądało.

- Widziałeś, to wszystko?

- Zdarzało się, że widziałem. Moment ruszania lodów na Bugu, to wydarzenie, którego nie da się zapomnieć.

- I zmarłych też grzebano w Mielniku?

- Nie wiem. Sądzę, że nie. Cmentarz musiał być po tej samej stronie rzeki, co Mierzvice, tylko, nie wiem gdzie? Jest dużo miejsc, które nazywano mogiłkami. Tam musiały odbywać się pochówki. Podejrzewam, że powstawały, podczas epidemii, których w dawnych czasach nie brakowało. Zapewne znasz inwokację często zamieszczaną na przydrożnych krzyżach „Od powietrza, ognia i wojny, zachowaj nas Panie”. Oczywiście, chodzi tu o tak zwane morowe powietrze, którym nazywano dawniej zarazy. Z epidemiami i teraz mamy do czynienia, nie są tak groźne,



*Fot.102. Tu dawniej stał kościół*



jak dawniej i podczas nich ludzie nie umierają masowo.

- Prawie każdego roku nawiedzają nas epidemie grypy.
- Chociażby.
- Dziadku, dawniej katolicy też mieli swój kościół i parafię w Mielniku?
- Tak, ale to się dość szybko zmieniło i parafia katolicka znalazła się w Sarnakach. Do Sarnak było poręczniej i bliżej. Tylko siedem kilometrów.



*Fot.103. Dzwonnica przy kościele parafialnym w Sarnakach*

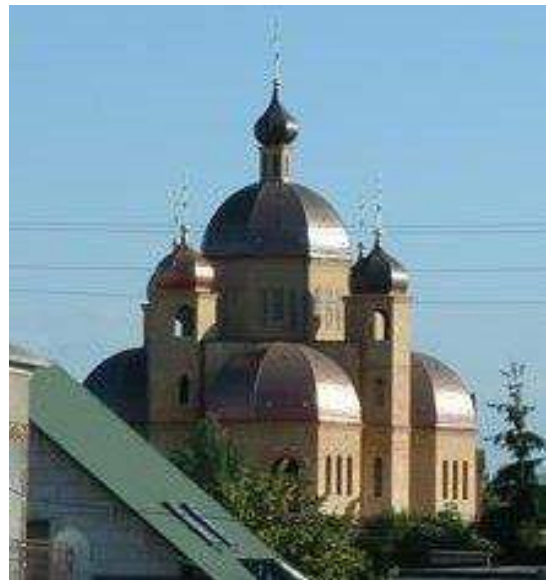
- Obecny kościół pamięta tamte czasy?

- Kościół jest drewniany, ale stosunkowo młody. Na samym początku wybudowano świątynię po drugiej stronie drogi. Nie ma tam żadnego śladu po kościelnym budynku. Ufundował go założyciel Sarnak. Jeszcze niedawno mieścił się na jego miejscu zadbany ogród. Drzewa się zestarzały i sad został wycięty. Teraz mamy tam łąkę. Być może parafianie zbudują tu nowy kościół murowany, bo

podobno ma się zacząć budowa.

- Gdzie jeszcze w pobliżu Mierzwic były cerkwie i kościoły.

- O Mielniku już mówiliśmy, podobnie było w Drohiczynie, ale to już bardzo daleko. Z Mierzwic, to około trzydziestu kilometrów, kościół i cerkiew była w Siemiatyczach, to też spory kawałek, około dwunastu kilometrów. Kościół i cerkiew były w Konstantynowie. A więc znowu daleko. Dopiero później zaczęto budować świątynie bliżej. Już po wojnie wybudowano kościół na Stacji Siemiatycze, zresztą bardzo ładny. Zdaje mi się, że po wojnie wybudowano drewniany kościół w Serpelicach. Nie wiem czy wcześniej była tam jakaś świątynia. Również po wojnie wybudowano kaplicę w Mierzwicach na działce dziadka Staśka i babci Frani. Z budowaniem kościołów często bywały kłopoty. Car nie pozwalał na budowanie kościołów katolickich, bo przeszkadzały mu w rusyfikacji zagrabionych ziem, potem komuniści przeszkadzali ze względów



*Fot.104. Nowa cerkiew w Siemiatyczach*

ideologicznych i prawie zawsze było, jak to się mówi, pod górkę. Najczęściej brakło pieniędzy, bo parafianie byli biedni i nie było zasobnego fundatora.

- Dziadku, podobno pra prababcia Juliśka była unitką. O unitach sporo słyszałem. Mógłbyś mi powiedzieć coś ciekawego na ten temat.

- Spróbuję. Jest to dość trudny problem. Jak wiesz z historii w jedenastym wieku



*Fot.105. Drewniana cerkiew  
wybudowana w Mielniku*

doszło do tak zwanej wielkiej schizmy. Chrześcijaństwo podzieliło się na dwa wielkie, główne odłamy. Na chrześcijaństwo związane z językiem łacińskim i z następcą świętego Piotra rezydującym przeważnie w Rzymie, oraz z patriarchą mającym swoją siedzibę w Konstantynopolu i językiem greckim. Oba odłamy różniły się językiem i charakterem obrzędów. Wzajemnie rzucone klątwy wiele narobiły złego w świecie chrześcijańskim. W zaciętrzewieniu nie bardzo zwracano uwagę na nauczanie

Chrystusa domagającego się miłości i jedności. Rządziła polityka i umiłowanie władzy. Do rządzenia było wielu chętnych. Czarny zacierał z radości kopytka i dalej jątrzył. Miłość zamieniono w

nienawiść. Słowian wschodnich i południowych nawracali misjonarze z Salonik: Cyryl i Metody. Działo się to jeszcze przed rozłamem na chrześcijaństwo wschodnie i zachodnie. Zasługą ich jest chryścianizacja Rusi i większości Słowian. Wymyślili alfabet zwany od imienia Cyryla cyrylicą, którym zaczęła posługiwać się cerkiew, a potem Rusini i jeszcze kilka innych narodowości. W świecie



*Fot.106. Drewniany kościół w  
Serpelicach*

prawosławnym alfabet ten obowiązuje do dziś, zapisano w nim

Święte Księgi chrześcijaństwa. W odróżnieniu od greki i łaciny był zrozumiały dla nowych wyznawców Chrystusa. W ten sposób w liturgii pojawił się trzeci język, który obecnie nazywamy starocerkiewnym. W piętnastym wieku pod ciosami Turków padło Bizancjum. Centrum prawosławia zostało opanowane przez nieprzyjaznych chrześcijanom muzułmanów. Kościoły prawosławne nie były tak scentralizowane, jak katolickie. Patriarcha z Konstantynopola nie miał takiej władzy w cerkwi, jak papież – następca Świętego Piotra w kościele



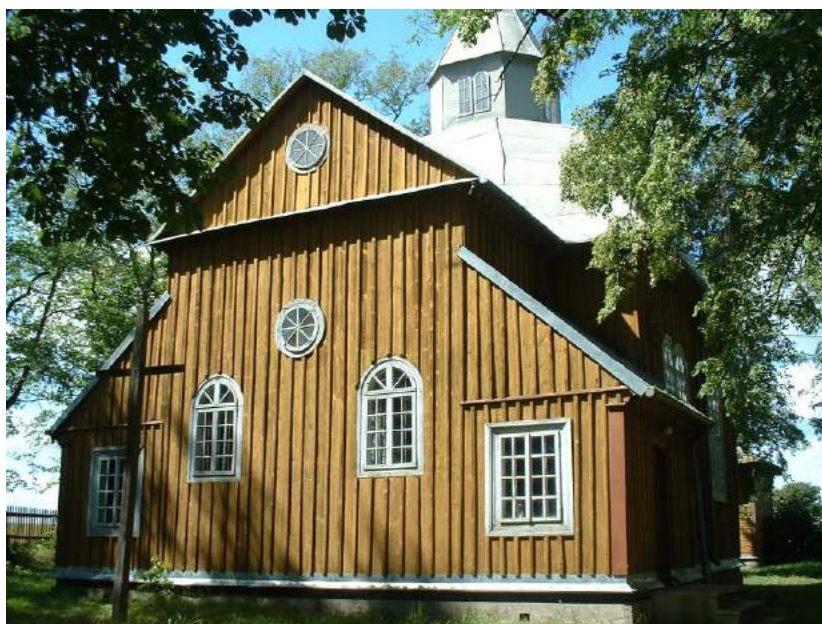
katolickim. W kościele wschodnim zaczęły się tworzyć tak zwane autokefalie. Na czele każdej stał patriarcha obdarzony niezależnością i dużą władzą.

- No tak, to wszystko działo się, jakby na zewnątrz Polski i Podlasia.

- Oczywiście, ale wraz z królem Jagiełłą pod jednym władcą znalazły się ziemie ruskie, których mieszkańcy wyznawali wiarę w Chrystusa według rytu wschodniego popularnie zwani prawosławnymi. Jak wiesz, Władysław Jagiełło ochrzcił się w kościele katolickim, a za nim poszli Litwini. Na terenie olbrzymiego królestwa znaleźli się wyznawcy Chrystusa znajdujący się w kościołach, w których wielbiono pana według dwóch różnych rytów.

- A co z Unią?

- Carowie moskiewscy po upadku Bizancjum rościli sobie prawo do zwierzchnictwa nad wszystkimi wyznawcami prawosławia uważając, że Moskwa będzie drugim Rzymem. Kościół wschodni był podporządkowany władzy świeckiej i w zasadzie zwierzchnikiem jego był cesarz, a później rosyjski car. Dla spójności królestwa wielce wskazane było stworzenie również pewnej jedności religijnej. Pod koniec szesnastego w wieku zawarto w Brześciu Unię łączącą kościół wschodni z zachodnim z uznaniem prymatu papieża. Biskupi prawosławni uzyskali te same prawa, co katolicy i mieli dostęp do



*Fot.107. Cerkiew unicka*

urzędów. Wielu z nich zostało

senatorami

Rzeczypospolitej.

Zachowano

dotychczasową

liturgię. Księża

mogli się żenić. Tak,

jak to było

praktykowane

dotychczas. Na

Podlasiu pojawił się

kościół unicki. Z

początku było sporo

oporów, szczególnie

wśród wiernych i

niższego kleru. W

pierwszej fazie

uznano tylko prymat papieża, potem kościół unicki zaczął przejmować coraz więcej zwyczajów od kościoła katolickiego. Unicy w swoich cerkwiach zainstalowali organy, potem wprowadzono ławki i wierni mogli, niektóre modlitwy odmawiać w pozycji siedzącej, wprowadzono do cerkwi konfesjonały. Spowiedź stała się bardziej intymna. W kościele prawosławnym spowiednik i spowiadający się stali obok siebie przykryci tylko specjalną kapą. Księża zaczęli odprawiać codzienną Mszę Świętą, a Najświętszy Sakrament przechowywać na

ołtarzu, w tabernakulum. Wprowadzono procesje eucharystyczne i monstrancję służącą do przenoszenia Najświętszego Sakramentu, podczas procesji. Wreszcie w procesjach zaczęto nosić chorągwie, feretrony, używać dzwonek. Zewnętrzna część liturgii upodobiła się coraz bardziej do liturgii łacińskiej, w dalszym ciągu używano języka starocerkiewnego, ale wiele modlitw odmawiano w języku polskim.

- Unicy szybko się polonizowali?

- Przyszedł rok 1875; rok niezwykle ciężki dla Unitów Podlaskich. Miłościwie panujący samodzierżca Aleksander Drugi ogłosił ukaz nakazujący unitom przejście do cerkwi prawosławnej w pełni podporządkowanej Rosji. Ich cerkwie miały być zamienione na cerkwie prawosławne. Na początku zażądano wydania organów. Bez większych oporów unicy oddali instrumenty. Potem zaczęto zmuszać do innych zmian, które wyróżniały cerkwie unickie od cerkwi prawosławnych. Z głębi Rosji przysyłano popów nie tyle duchownych, co carskich urzędników, którzy mieli zastąpić duchownych unickich. Państwo carów nigdy nie było łaskawe dla swoich obywateli. Od dziesiątków lat na tronie zasiadali ludzie bezwzględni, dla których obywatele zawsze byli uciążliwym dodatkiem, a w zasadzie bezimienną masą roboczą zmuszaną do bezwzględnego posłuszeństwa wobec tak zwanej władzy. Zresztą państwo to, nigdy nie miało obywateli, zawsze to byli poddani. Miejscowi urzędnicy ze zdumieniem zauważyli, że lud podlaski jest innego zdania, niż ich władca - car. Perswadowano, perswazje nie pomagały. Ci prości ludzie przywiązali się do wiary swoich ojców i nie chcieli oddać cerkwi w ręce nasyłanych popów. Zaczęły się prześladowania, jakich w Europie od dawna nie było.

- Dziadku, i tu w Mierzwicach też prześladowano unitów?

- Tak. Nie było cerkwi, to się nie objawiało w tak drastyczny sposób, jak w miejscowościach, gdzie one były. Ale wielu mieszkańców nie chciało przejść na prawosławie. Popy nie były w stanie nic zrobić, więc głównymi ewangelizatorami zostali kozacy, a głównym narzędziem ewangelizacyjnym nahaja. W wielu wsiach unickich stacjonowało wojsko, które musiało jeść i pić. Miłościwie panujący car doszedł do wniosku, że miejscowi powinni wyżywić carskich żołdaków. Wsie były i tak bardzo biedne, i zawsze brakło jedzenia.



*Fot.186. Ten ponad dwustuletni krzyż widział zapewne wiele nabożeństw unickich odprawianych podczas nocy*



Dodatkowe gęby do wyżywienia jeszcze bardziej uszczupliły zapasy. Po wsiach zapanował głód. Wieśniacy przed dziesięciu laty zostali uwłaszczeni, pańszczyzna zniesiona. Pracowali na swoim. Teraz, ciężko wypracowaną krwawicę odbierali zakwaterowani kozacy. Było głodno, nawet bardzo głodno. Dzieci i starsi umierali. Dochodziły prześladowania fizyczne, znęcano się nad starszymi. Próbowano odbierać dzieci i chrzcic je u prawosławnych popów. Rozpoczęła się wojna o katolickie pogrzeby, śluby, msze, spowiedzi. Cerkwie unickie zabrano. Usunięto z nich wszystkie zewnętrzne oznaki katolicyzmu. Część ludzi poddała się potężnej presji, ale w zdecydowanej większości lud trwał w wierze swoich ojców. Z przejściem do cerkwi prawosławnych wiązała się rusyfikacja. Lud podlaski, który nie miał poczucia wyraźnej przynależności narodowej wbrew zamiarom carów polonizował się.

- Co się stało z naszymi pra, pra, pradziadami?



*Fot.109. Unicy gromadzili się na modlitwy w głębi lasów*

- Trwali twardo przy swojej wierze. Kościół unicki zszedł do podziemia. Z nabożeństwami przenieśli się do głębokich lasów. Duchownych unickich, których nie udało się złamać, wysyłano na zesłanie, mordowano, więziono. Kapłani katolicycy mieli zakaz świadczenia jakichkolwiek usług religijnych unitom. Zresztą kościół katolicki uznany za ostoję polskości nigdy nie cieszył się nadzwyczajnymi swobodami w państwie carów.

- Dziadku, a co było z pogrzebami, tego nie dało się ukryć przed kozakami i nasłanymi popami?

- Zmarłych chowano czasem na cmentarzach katolickich, co też było surowo zabronione. Na szczęście po pochówku już nie odkopywano nieboszczyków. Często pochówek musiał odbyć się w rycie prawosławnym. I tu rozgrywały się największe tragedie. Na

cmentarzach księża katolicycy lub unicy po nocach, potajemnie święcili mogiły zmarłych i chowanych według rytu prawosławnego. Nie dawało się tego zrobić regularnie. Od czasu do czasu wiernych odwiedzał potajemnie wędrowny ksiądz unicki lub katolicki i wtedy święcił groby, spowiadał, udzielał chrztów. Oczywiście, w wielkiej tajemnicy przed kozakami i popami.

- Skąd oni się brali?

- Niektórym duchownym unickim udało się ukryć i oni od czasu do czasu odwiedzali w odludnych, i ukrytych miejscach wiernych, którzy tam się gromadzili. Zauważ, że większość duchownych unickich miało swoje własne

rodziny, które też musiały coś jeść. Wielu kapłanów przeszło potajemnie granice z tak zwanej Galicji i oni pełnili posługę wśród unitów. Również, w miarę swoich możliwości, wspierali unitów miejscowi kapłani katoliccy, narażając się na surowe represje carskich „uradników”.

- A co było z chrztami?

- Też chrzczono potajemnie. Nieraz chrzest był podwójny, bo kozacy porywali dzieci, aby ochrzcić je w cerkwi. Nieraz dochodziło do tragedii. Rodzice bronili swoich dzieci przed niechcianym i wymuszonym obrzędem. Znane były przypadki samospalenia.

- Dziadku, aż trudno w to uwierzyć.

- Pamiętasz, dąb z krzyżem stojący przy drodze w głębi lasu?

- Ten, do którego czasem z braćmi jeździmy rowerami?

- Ten. Miejsce, w którym on stoi, nazywano Przechręściem po polsku lub Perechręściem po prostemu. Już



*Fot.111. Babcia Teofila - unitka*

w nazwie tkwi informacja, co tu się działo? W tym miejscu od czasu do czasu pojawiali się kapłani katoliccy lub unicy. Odbywały się nabożeństwa. Odprawiano msze święte, udzielano sakramentów. Chrzczono dzieci, nieraz trzeba je było ochrzcić ponownie, bowiem kozacy wcześniej ochrzcili dziecko w cerkwi. Więc odbywało się ponowne chrzczenie, a w zasadzie przechrzczenie w wiarę ojców. Za to nakładano wysokie kary cielesne na rodzinę. Batożenie należało do codziennego chleba, jakim kozacy obdarowywali mieszkańców. Nie robiło im żadnej różnicy czy to był mężczyzna, czy też kobieta. Życie w państwie carów nie miało wielkiej wartości. Zabierano ostatnie zapasy ziarna, ziemniaków skazując rodzinę na głód. Nierzadko osadzano w więzieniach, wysyłano na Sybir. Jeżeli komu udało się powrócić z zesłania, to stawał się przedmiotem podziwu, a nawet pewnej zazdrości, że mógł cierpieć za wiarę. W wielu przypadkach unitom pomagali prawosławni sąsiedzi, chociaż groziły im za to również ciężkie kary. Takie rzeczy działy się za Bugiem, gdzie obok unitów mieszkało również sporo prawosławnych. Oni byli prawosławnymi od zawsze.

- Babcia Juliśka była unitką?



*Fot.110. Babcia Juliśka - unitka*

Życie w państwie carów nie miało wielkiej wartości. Zabierano ostatnie zapasy ziarna, ziemniaków skazując rodzinę na głód. Nierzadko osadzano w więzieniach, wysyłano na Sybir. Jeżeli komu udało się powrócić z zesłania, to stawał się przedmiotem podziwu, a nawet pewnej zazdrości, że mógł cierpieć za wiarę. W wielu przypadkach unitom pomagali prawosławni sąsiedzi, chociaż groziły im za to również ciężkie kary. Takie rzeczy działy się za Bugiem, gdzie obok unitów mieszkało również sporo prawosławnych. Oni byli prawosławnymi od zawsze.



*Fot.112. Dziadek Michał - unita*



- Tak, właściwie wszyscy nasi przodkowie ze strony dziadka Andrzeja i babci Krysi byli unitami. Co prawda mąż babci Teofili był katolikiem, do Mierzwic przybył z okolic Sokołowa, we dworze pracował, jako mechanik. Właściciele dworu, to też katolicy i Polacy. Pamiętam, jak opowiadała babcia Julianna babci Krysi, jak chodziła na pielgrzymkę do Częstochowy ze swoim przyszłym mężem i tam wzięła ślub katolicki. Wielu unitów brało tak zwane śluby krakowskie, wymagało to sporo wyrzeczenia i pieniędzy. Czyniono to za granicą albo u księży potajemnie przyjeżdżających z zaboru austriackiego. Te śluby też nazywano krakowskimi.

- Dziadku, prześladowania unitów zakończyły się w 1905 roku?



*Fot.113. Kościół parafialny w Sarnakach*

- Tak, w tym czasie car Mikołaj Drugi wydał, tak zwany, ukaz tolerancyjny kończący prześladowania. Muszę przyznać, że dzięki tępym urzędnikom carskim udało się Rusinów, jakimi byli Podlasiacy zamienić w całkiem przyzwoitych Polaków. Unicy nie wrócili już do unii, a w momencie odzyskania swobody wyznania masowo przeszli do kościoła katolickiego. W Mierzwicach została tylko jedna rodzina prawosławna od imienia głowy rodu nazwana Mitrofanami. Natomiast wszyscy pozostali przeszli na katolicyzm, nie

dając wiary w stałość carskich intencji. Mierzvice Stare i Nowe stały się częścią parafii Sarnaki. Ostatnie, co powiedziałem nie jest do końca prawdziwe, bowiem obie wsie należały do parafii sarnackiej już od początku dziewiętnastego wieku. Oczywiście, dotyczyło to katolików, których tu nie było zbyt wielu. Teraz do sarnackiej parafii należeli prawie wszyscy mieszkańcy tych dwu wsi. Carscy biurokraci musieli być bardzo przykro zaskoczeni. Tyle zabiegów, łotrostwa i przemocy poszło na marne.

- Co się wydarzyło dalej?

- Jak wiesz, wybuchła Pierwsza Wojna Światowa. Przez Podlasie fronty

przewalały się kilkakrotnie niszcząc wiele budynków. Na Podlasiu budowano z drewna, dachy kryto strzechą. W 1916 roku spłonęła połowa wsi Mierzvice



*Fot.114. Na Podlasiu budynki budowano z drewna, a dachy najczęściej kryto słomą*

Stare. W dwa lata później przyszła upragniona wolność. Wybuchła Polska. Resztki prawosławnych, którzy się jeszcze ostali po 1905 roku, przeszła na katolicyzm lub wyjechała. Przy prawosławiu pozostały chyba tylko dwie lub trzy osoby z kilku rodzin. Wyjechali w okolice Brześcia. Tam założyli rodziny, których potomkowie dzisiaj już nie posługują się polskim. Ta część rodziny, która pozostała w Mierzwicach całkowicie się spolonizowała. Podlasie jeszcze przeżyło jedną nawałę. W 1920 roku przez te ziemie przetoczył się front polsko



*Fot.115. Zapłonęły znicze*

-sowiecki i to dwukrotnie. Prowadzono walki osłonowe. W okolicy zginęło kilku polskich żołnierzy. Oddali swe młode życie za ojczyznę, która znalazła się znowu w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Ich ciała spoczywają na małym leśnym cmentarzyku, a groby otoczone są opieką żyjących w Mierzwicach Podlasiaków, jak również przyjezdnych.

- Dziadku, zostały jakieś pamiątki po unitach w Mierzwicach?

- Ci, którzy stykali się jeszcze z żywymi unitami już przeważnie nie żyją. Też jestem stary. Jedna babcia zmarła, gdy miałem niecałe cztery lata, druga pięć lat. Byłem zbyt młody, aby cokolwiek z tego, co mówiły zapamiętać. Może, gdzieś na strychu zaplatały się stare książki do nabożeństwa, stare śpiewniki, kantyczki. Musisz porozmawiać z ciocią Marylą. Być może udało jej się coś zachować po babci Juliście. W wielu miejscach stoją stare krzyże, między innymi ten, który zachował się w lesie, pod dębem. Jeszcze, z tamtych czasów, stoi jeden krzyż. Skrzętnie ukryty wśród budynków przy drodze prowadzącej do Buga. To też jest krzyż z czasów unitów. Kiedyś stał na polu. Nowi właściciele uszanowali go i pozostawili tam, gdzie stoi od dawna i chwala im za to.

- Dziadku zaciekałeś mnie, będę poszukiwał pamiątek po naszych rodzinnych unitach.



*Fot.116. Ten krzyż też powinien pamiętać czasy unitów*



## VII. Zajęcia

- Dziadku, czym zajmowali się nasi przodkowie?
- Wnusi, tak, jak wszyscy ludzie, musieli zdobyć pożywienie, ubrania i mieszkanie. Podejrzewam, że najwcześniejszym zajęciem było zbieractwo. Puszcza i stepy dawały jedzenie. Zbierano grzyby, leśne owoce, orzechy i nasiona różnych jadalnych roślin.
- Nie przepadam za zbieraniem grzybów czy jagód.
- Wiem. Jesteś już dorosłym mężczyzną.
- Będąc dzieckiem też nie lubiłem zbierania grzybów.



*Fot.117. Najwyżej ceniono prawdziwki, czyli borowiki*

- No cóż, widocznie taką masz naturę. Od urodzenia miałeś wiele cech dorosłego. Mężczyźni polowali, wojowali, ty też nigdy nie rozstawałeś się z kijem. Zbieractwem zajmowały się kobiety i dzieci. Do dzisiaj nam to pozostało. Większość ludzi, nawet zatwardziałych mieszczuchów, w okresie grzybobrania wyjeżdża do lasu, nieraz całymi rodzinami. Dawniej zbierano borowiki, przez miejscowych nazywane prawdziwkami. Uznawano je za najbardziej szlachetne grzyby.

Nie gardzono czerwoniakami, które zapewne znasz pod nazwą kraśniaków lub grzybów czerwonych. Zbierano maślaki, siniaki, które od jakiegoś czasu zostały nobilitowane i nazywają się teraz podgrzybkami, koźlaki, kanie, kurki, zielonki, te ostatnie w atlasach figurują pod nazwą - gąski. Twoja prababcia zbierała jeszcze mnóstwo bedłek, też uważano je za jadalne, chociażby takie, jak: krowie mordy, pończoszki, siwe zielonki, pomarańczowe bedłki, olszówki. Te ostatnie straciły uznanie, jako grzyby jadalne. Teraz uważa się je za trujące i nie poleca się do jedzenia. Zbierała jeszcze wiele innych, których nazwy zatarły mi się w pamięci. Gotowano z nich zupy, różne sosy, robiono farsz do bułeczek, pierożków i przyrządzano na wiele różnych sposobów. Nieraz w puszczy ratowały wędrowców od głodu.



*Fot.118. Niektóre prezentowały się naprawdę okazale*

- Dziadku podobno zbierano też czerwone muchomory.
- Tak, do jedzenia się nie nadawały, za to nieźle tępiły muchy. Kapelusze

rozkładano w płaskich naczyniach polewając je mlekiem. Rzeczywiście muchy od nich ginęły. Nie musiały być bardzo trujące, bo kiedyś mój kolega po ciemku najadł się muchomorów przyrządzonych na muchy przez swoją matkę. Na szczęście nic się nie stało tylko trochę dokuczał mu brzuch.

- Mierzwiczanie znali dużo odmian grzybów?



*Fot.119. Muchomorzy też znajdowały zastosowanie*

- Oczywiście, uczyli się tego od dziecka. Niektóre grzyby wykorzystywano do rozpalania ognia. Suszono huby, grzyby, które rosły na żywych drzewach. Mając krzesiwo i hubkę rozpalano ogień. Kiedyś rozpalanie ognia nie było takie proste, jak teraz, chociaż nieraz denerwujemy się, że trzeba zużyć cztery zapałki, aby osiągnąć właściwy skutek. Mając hubkę i krzesiwo też nie jest łatwo rozpalić ogień.

- Dziadku, co to jest krzesiwo?

- Kawałek metalu i krzemień, taki

błyszczący kamień, który zapewne nieraz spotkałeś na żwirowni czy gdzieś na polu. Uderzając żelazem w krzemień pojawiały się iskry. Jeżeli iskra padła na suchą hubkę, to zaczynała się tlić. Teraz należało tylko umiejętnie rozdmuchać tłącego się grzyba, zetknąć go z czymś łatwopalnym. Mógł, to być cieniutki listek zewnętrznej części kory z brzozy i ogień gotowy.



*Fot.120. Nie wiem czy te grzyby nadawały się na hubkę*

- Dziadku, rozpalałeś, kiedy tak ognisko?

- Tak nie, ale korzystałem z cieniutkiej kory brzozowej. Podpałka idealna i pali się nawet po największej ulewie.

- Dziadku, co jeszcze zbierano w lesie?

- Mam nadzieję, że wiesz. Przede wszystkim: poziomki, czarną jagodę, kamianki, maliny, na bagnach żurawinę i jeżyny. Owoce zjadano na surowo lub suszono na zimę.

- Do słoików nie wkładano?

- Nie. Po prostu nie było słoików i cukier też nie należał do produktów powszechnych. Jest to produkt wynaleziony dość późno. Podlasiacy nie mieli pieniędzy, a cukier należał do rarytasów. Wcześniej słodzono miodem. Zresztą, lud odżywiał się bardzo prosto. W lasach rosły krzaki leszczyny, które dawniej obficie owocowały, więc orzechów było w bród.

- Co zbierano na łąkach?



- Szczaw. Barszcz ze szczawiu należał do bardzo popularnych dań. Jadało się go na śniadanie, na obiad i na kolację, zawsze z chlebem. Zanim zaczęto uprawiać zboża, to na stepach zbierano nasiona, niektórych traw, rozgniatano je między kamieniami i z takiej mąki wypiekano na kamieniach placki.
- Chyba potrawa nie należała do najsmaczniejszych?
- W dawnych czasach ludzie nie byli wybredni. Jadali bardzo skromnie



*Fot.121. Zbierano różne owoce leśne*

- Mówiłeś dziadku, że zanim poznano cukier słodzono miodem, bo pszczoły znano?

- Tak i to dość dawno. Zawód bartnika, czyli leśnego pszczelarza należał do bardzo starych zawodów. W lasach zakładano barcie, ponieważ pszczoły chętnie gnieździły się w lesie. Ich gniazda kryły się w spróchniałych pniach starych drzew. Na samym początku, ktoś znalazł dzikie pszczoły. Potem nauczono się

je hodować. Robiono sztuczne ule, dłubane w kłodzie lub w starych stojących drzewach dziuplastych i wypróchniałych. Bartnicy poznali życie pszczół i pilnowali, aby im się nie wyroiły. Podczas rojenia młoda matka opuszcza starą barć i szuka nowego miejsca na gniazdo z nią wylatuje część pszczół - robotnic.

Bartnik musiał mieć przygotowaną nową barć, w której umieszczał młodą matkę. Powstawało nowe gniazdo. Wielkimi amatorami miodu były niedźwiedzie. Bartnicy musieli chronić barcie przed nieproszonymi gośćmi. Robiono różne zabezpieczenia. Najczęściej przed wejściem do barci wieszano wielką kłodę. Miś wyczuwał miód i próbował dostać się do gniazda. Odpychał kłodę. Niestety miś nie znał fizyki i zgodnie z zasadą zachowania energii kłoda wracała, i waliła misia po głowie. Zwierz denerwował się i popychał kłodę jeszcze gwałtowniej. Skutek był jeszcze bardziej opłakany.

Wreszcie biedak spadał na dół i już nie próbował dostać się do miodu. Oczywiście, barcie robiono bardzo wysoko na pniach drzew. Dopiero znacznie



*Fot.122. Ten dąb mógł być drzewem bartnym*

później zaczęto hodować pszczoły w ulach, a zaczęli to robić zakonnicy z zakonu Świętego Benedykta, ci od „ora et labora”, to znaczy módl się i pracuj.

- Na Podlasiu zakładano barcie?

- Oczywiście. Bartnicy musieli dostarczać miód do grodu, jako daninę.

- Zawód bartnika znikł bezpowrotnie.



*Fot.123. Bez pszczół nie ma owoców*

- Zapewne tak. Zastąpił go zawód pszczelarza, ale to zupełnie inna historia.

- W Mierzwicach są pszczelarze?

- Pszczelarzy nie ma. No, jest jeden. Przecież widziałeś pasiekę u sąsiadów twoich rodziców.

- Rzeczywiście, nie pomyślałem o niej.

-Dzięki tym pszczołom w sadzie jest trochę owoców, są niezbędne do zapylania kwitnących drzew.

- Czym zajmowali się mieszkańcy Mierzwic i Kolonii?

- Mogę odpowiedzieć jednym słowem - rolnictwem. Do ukazu carskiego o uwłaszczeniu odrabiali pańszczyznę i pracowali na niewielkich splachetkach ziemi. Po uwłaszczeniu każda rodzina dostała włókę ziemi, często już dawniej uprawianą. Niestety krzaczastą i kamienistą. Nie wszystkie rodziny dostały odpowiednie nadziały, byli i bezrolni.

Rozpoczęło się wielkie karczowanie. Ziemia okazała się dość słaba i kamienista. Kilka rodzin już wcześniej posiadało własną działkę. Od początku jesieni do zimy mieszkańcy spędzali czas na swoich polkach zbierając tysiące kamieni. Powstawały „kamienice”, czyli stosy głazów różnych wielkości i kształtów. W owych czasach nie trzymano zbyt wiele zwierząt i obornika było mało, a bez tego nie dało się użyźnić dość słabych gruntów. Stosowano tak



*Fot.124. Żeńcy. Zauważ sierpy w dłoniach stojących z lewej strony*

zwaną trójpolówkę. Jedna trzecia ziemi ornej ugorowała. Wypasano tam zwierzęta. Mimo wszystko nawet zamożniejsi gospodarze nie mieli wielkich zbiorów. W dziewiętnastym i w pierwszej połowie dwudziestego wieku przynajmniej do Drugiej Wojny Światowej na chłopskich polkach zboża żęto sierpem. W dzieciństwie też to praktykowałem. Mam nawet ślad w postaci podciętego małego palca u lewej dłoni. Pomagałem mamusi ściąć owies i w pewnym momencie sierp zamiast po owsie przejechał się po moim palcu. Sierpy wyrabiali kowale. W Mierzwicach za skrzyżowaniem i kapliczką stała kuźnia.



W tej chwili nie ma po niej najmniejszego śladu. W miejscu dawnej kuźni stoi murowany budynek spadkobierców kowala. Żniwa trwały długo, zazwyczaj kilka tygodni. Były bardzo męczące. Snopy wiązało się przy pomocy specjalnego, zaostzonego kołka zwanego kneblem, albo knyblem. Były bardzo ciężkie, ale słoma równa i gładka. Gotowe snopy ustawiało się w sztygi kłosami



*Fot.125. Sztyga*

do góry. Każda kupka musiała być wypieszczona, tak, że największy wiatr nie miał prawa jej przewrócić, a najsilniejszy deszcz przemoczyć. Często na szczyt kupki wkładano rozczapierzony snopek kłosami do dołu.

- Dziadku, nie używano kosiarek?

- Nie używano kosiarek, a nawet kos. Kosa znacznie przyspieszała żniwa, ale wielu uważało, że podczas koszenia wysypywało się ziarno z kłosów. Przywiązanie do tradycji było

bardzo silne. Kosy służyły jedynie do koszenia trawy. Pamiętam, jeszcze długo po wojnie, gdy byłem już młodzieńcem, miejscowy kowal w czerwcu i na początku lipca ciężko pracował. Ten okres nazywał sierpówką. W tym czasie robił sierpy ze stali. Nabywcy rekrutowali się z za Buga. I było ich naprawdę wielu. Oni tam jeszcze zboża żęli sierpami, nawet w latach pięćdziesiątych dwudziestego wieku.

Narzędzia wypróbowywano na pobliskim łanie żyta. Właściciel cieszył się, ponieważ zżęto mu połowę łanu w ramach sprawdzania użyteczności wyklepanych sierpów. W Mierzvicach, po wojnie kosa zaczęła gościć na łanach zbóż już dość wcześnie. Najpierw zaczęło się koszenie żyta i pszenicy. Owies ciągle żęto sierpami.



*Fot.126. Żniwa. Z przodu szedł kośnik, za nim odbieraczka, a na końcu wiązacz*

To zboże rzeczywiście miało tendencję do wysypywania się z wiech. Powoli jednak kosa wchodziła i na łany owsa. Musiała być tylko w specjalny sposób oporzędzona. Trawy się kosiło gołą kosą. Do zbóż potrzebne było odpowiednie oporzędzenie kosiska, aby podczas koszenia ścięte zboże dało się kłaść na ścianę, czyli na rosnące zboże. Za kośnikiem postępowała odbieraczka, która zbierała ścięte zboże, formowała obrzemki, układała na pasy i wiązała. Czasem pomocnik robił pasy i wiązał odebrane garście. W ten sposób powstawały snopy. Już nie były tak wypieszczone, jak podczas żęcia. Przed zakończeniem

prac snopy ustawiało się w kupki. Ostatnie źdźbła, żyta czy pszenicy zdobiono polnymi kwiatami i pozostawiano na polu. Był to dożynek, czasem nazywany przepiórką. Oddzielnie wybierało się najpiękniejsze kłosa różnych zbóż, wiązało w zgrabną wiązanekę i w uroczystość Matki Boskiej Zielnej niosło do kościoła. Po poświęceniu zawieszało w izbie w najważniejszym miejscu, gdzieś nad świętymi obrazami.

- Dziadku, dawniej mieszkańcy wsi byli bardziej związani z naturą i bliżej Pana Boga.



*Fot.127. Stodola. Miejsce pracy gospodarzy zimą*

- Widzisz wnusiu, staram się. Idziemy dalej. Po wysuszeniu, ładowano zboże na drabiniaste wozy i wieziono do stodoły, gdzie układało się gotowe snopy w stronie. Układanie należało do umiejętności wyższego rzędu, chodziło o to, żeby zboże leżało ciasno ułożone, aby utrudnić żerowanie myszom. Jak zapewne się domyślasz koty miały tu sporo roboty i żywiły się własnym przemysłem, trudniąc się nieustannym polowaniem.

- Dziadku, jak dawniej wyglądało młócenie?

- Młócenie, to podstawowe zajęcie rolników w czasie zimowych miesięcy.

Najważniejszym narzędziem był cep. Składał się z bijaka zamocowanego przegubowo przy pomocy rzemiennych „zawiasów” do rękojeści. Urządzenie bardzo proste, ale tak przemyślnie zrobione, że bijak mógł obracać się w trzech płaszczyznach. Wiązanie przypominało coś w rodzaju starożytnego kardana.

- Prawda, każdą poważniejszą czynność rozpoczynało się od przeżegnania się, a często stosownej modlitwy. Podczas siewu na zasianych zagonach wysypywano z plew lub krótkiej słomy krzyż.

- Dziadku, opowiadaj dalej. Wszystko jest takie ciekawe. Jeszcze trochę i nie będzie komu opowiedzieć o dawnych zwyczajach.



*Fot.128. Spichrz. Na ścianie pod okapem wisi: kosisko, przyrząd do wyrabiania strzeszniaków i głowaczy, cep*



- Dziadku, tak się składa, że nie wiem, co to jest kardan?
- Nie martw się. Mało, kto wie, co to jest? Posłuchaj, przy okazji wyjaśnię ci, o co chodzi? Otóż kardan, a lepiej zawieszenie kardanowskie, na statku, utrzymuje miskę kompasu zawsze w położeniu poziomym bez względu na to, jak się ustawi podstawa. Składa się z dwu kół i kompasu połączonych przy pomocy łożysk. Koła i kompas mogą obracać się w płaszczyznach wzajemnie prostopadłych.
- Trochę to skomplikowanie wygląda, założmy, że zrozumiałem. Wróćmy jednak do młócenia.
- Na klepisku, najczęściej ubitym z gliny, rozkładało się rozwiązane snopy, kłosami do środka, a potem młócarz jeden lub dwóch walili bijakiem cepa w rozścielone zboże. Po wsi, z każdego gospodarstwa, niosły się charakterystyczne



*Fot.129. Fragment pokrywy naczynia wykonany ze słomy*

stuki cepa o klepisko. Łupu cupu, łupu cupu, łupu cupu. Potem zboże odwracano, wytrząsano i ziarno zmieszane z plewami, i obłamanym kłosami zgarniało się na bok klepiska tworząc pryzmę. Gdy nazbierało się tego dużo, zabierano się za czyszczenie. Używano młynków, potem weszły do użytku wydajniejsze - fabryczne wialnie. Do młócenia wystarczał jeden człowiek, ale przy czyszczeniu musiało być dwóch. Jeden kręcił korbą poruszając specjalny wiatrak, który robił wiatr wydmuchujący lekkie plewy i kurz na zewnątrz.

Ciężkie ziarna pozostawały. Spadały do specjalnych przegródek, którymi zsuwały się na klepisko. Najcięższe ziarna oddzielały się od lżejszych, a na końcu z ostatniej przegródki zbierało się ziarna połamane, niewyrośnięte, tak zwany poślad. Gospodarze oddawali go swoim żonom do karmienia drobiu. Najpiękniejsze ziarna przeznaczano na siew, a trochę gorsze na chleb. Wymłócone zboże przechowywano w oddzielnych budynkach, sporządzonych z ciosanych bali, krytych kopianymi strzechami, w beczkach zrobionych też ze słomy. Na materiał wybierało się słomę z najwcześniejszego żęcia, kiedy zboże jeszcze nie było dojrzałe, ale słoma najmocniejsza. Pleciono specjalne warkocze, które zszywano witkami wyciętymi z wikliny. Były bardzo



*Fot.130. Naczynia ze słomy były bardzo praktyczne i ładne*

praktyczne, bo myszy nie potrafiły sforsować ścian i nie wygryzały w nich dziur, ziarno zawsze było suche, a więc nie pleśniało.

- Dziadku dawniej nie było traktorów, jak przygotowywano glebę do siewu?

- Na wsi nie trzymano zbyt wiele zwierząt. Hodowano dwie, trzy krowy w gospodarstwie, a najczęściej jedną. Mleko zużywano na własne potrzeby, zazwyczaj w chlewiku szwendało się kilka świnek. Świnie karmiono bardzo długo. Były długowieczne. Zabijano nie wcześniej, jak po półtorarocznym



*Fot.131. Orka*

chowiu. Na początku karmiono zielskiem. Ulubioną potrawą świń była pokrzywa, którą zbierały dzieci. Po półrocznej diecie pokrzywowej zaczynało karmienie ziemniakami kraszonymi osypką pozyskiwaną z ziarna zbóż, podczas mielenia mąki. Preferowano tłuste zwierzęta i grubą słoninę. Słonina na całą dłoń należała do najwyborniejszych. Czasem zdarzały się dwie trzy owce w gospodarstwie i koń. Od wiosny do

jesieni krowy pasły się na nadbużańskich łąkach w Mierzwicach Starych i na wygonie i Błotach w Mierzwicach Nowych. Pastwiska były dość liche w szczególności te w Mierzwicach Starych. Po ukazie uwłaszczeniowym powstało trochę wspólnot. Wspólnotą było pastwisko pokryte rachityczną trawą. W Mierzwicach Starych bydła doglądał specjalnie wynajmowany przez wieś pastuch. Na pastwisko gnał zwierzęta wczesnym rankiem, rano budził śpiochów śpiewnym „wyganiaaaaj”. Przypędzał wieczorem, sam się nie odzywał tylko bydło głośnym muu zawiadamiało gospodarzy o swoim przybyciu. Miał pomocnika zwanego podszutką. Podczas sezonu żywił się kolejno u właścicieli zwierząt, które wypasał, oni również byli zobowiązani w tym czasie zapewnić stosowną podszutkę. Podczas południowej sjesty bydło wchodziło do rzeki na stójło. Na zakolach, w części wypukłej, były płytkie miejsca. Tam zatrzymywały się zwierzęta z rozkoszą mocząc się w wodzie. Muchy tu mniej dokuczały. Jesienią lub wiosną obornik roztrząsano na polach. Zazwyczaj używano go pod ziemniaki i pszenicę. Roztrząsano zawsze ręcznie przy pomocy narzędzia zwanego widłami. Orkę wykonywano pługiem zaprzężonym w jednego konia. Pług bywał najczęściej dziełem kowala.

- Dziadku, jakimi innymi narzędziami się jeszcze się posługiwano?

- W zależności od czasów, o których mówimy. Pług musiał być żelazny, znacznie wcześniej używano sochy, o której zapewne słyszałeś. Zawierała wiele elementów drewnianych tylko sosznik był żelazny.

- Co to był sosznik?

- Główna część sochy spulchniająca ziemię. Ta nazwa została później



przeniesiona do pługa, socha nie miała odkładni. Odkładnia, to odpowiednio wygięta część grubej blachy odwracająca skibę podczas orki. Po zaoraniu należało powierzchnię gruntu wyrównać. Do tego używano brony. W czasach swojej młodości widziałem stare brony wiszące na poddaszach wykonane z drewna. Były to misterne plecionki z wikliny z zębami wykonanymi z grabu – bardzo twardego drewna. Brona była bardzo lekka, więc obciążano ją, podczas pracy ciężkim kamieniem. W czasie bronowania specjalnym kołkiem poruszało się ją tak, że zęby zakreślały wężyki. Było to szczególnie ważne po zasianiu poletka. W ten sposób przykrywało się wysiane zboże. Rolnicy sieli z płachty. Wglądało to, mniej więcej tak: do przewieszanej przez ramię płachty nasypywano ziarna, które siewca idąc wolno wzdłuż pola rozrzucił charakterystycznym ruchem.



*Fot.132. Pole przygotowane pod ziemniaki*

Okazało się, że nie każdy posiadał tę sztukę, bo ważną rzeczą było zrobienie tego równomiernie. Twoja prababcia była specjalistką od dobrego siewu i czasem ją zapraszali sąsiedzi do siania pszenicy, albo gryki. Takie zboże też uprawiano. Ziemniaki sadzono pod pług. Za oraczem szła kobieta z koszem sadzeniaków i rzuciła w brzdę bulwy, co kilkanaście centymetrów. Oracz następnym kursem przykrywał kartofle. Ziemniaki wrzucało się, do, co drugiej bruzdy. Potem należało je oborać przy pomocy specjalnego narzędzia zwanego radełkiem. Często używano radła również do sadzenia pędzając rzadki.

- Jakie zboża i rośliny dawniej uprawiano?



*Fot.133. Łąka*

- Oprócz dobrze ci znanych zbóż, jak: żyto, pszenicę i owies uprawiano jęczmień, proso, grykę, groch, a z pasz: seradele, łubin, koniczynę, pelucę, bobik, wykę.

- Dużo tego było.

- Z mąki żytniej wypiekano chleb, robiła to każda gospodyni u siebie w domu. Ciasto rozczyniano w dzieży na specjalnym zakwasie. Zakwas ciągle tam był. Jeżeli, któraś zapomniała go zrobić,

to pożyczła od sąsiadów. Potem pieczono chleb w piecach chlebowych w specjalnych blaszkach lub na trzanie na liściach chrzanowych, na podsypce z otrąb. W każdej chacie poczesne miejsce zajmował duży piec przeznaczony do pieczenia chleba. Paliło się w nim grubymi szczapami. Gospodynie były

specjalistkami. Wiedzę przekazywała matka córce. Wielkie bochny chleba zachowywały długo świeżość. Często wypieki robiono, co dwa tygodnie. Chleb należał do najważniejszych pokarmów. Mąki pszennej używano na kluski, pierożki, placki. Wypiekano z niej bułki, czasem wielkie, jak bochny chleba, nazywało się je również pierogami. Byłbyś zdziwiony, gdybyś zobaczył taki wypiek. Pieczono również małe bułeczki nadziewane kapustą, soczewicą, grzybami, kapustą z grzybami. Czasem mieszano ciasto z tartymi burakami lub, marchwią wypiekając bułeczki zwane marchwiankami lub buraczankami. Owies wykorzystywano na paszę, w szczególności dla koni, ale z owsianej mąki robiło się kisiel, którego nie znosiłem. Z jęczmienia wyrabiano różne kasze, podobnie z gryki. Proso ubijano na kaszę w stępach – to takie naczynia drażone z jednego pnia wierzby – przy pomocy stęporów. Najczęściej robiło się jaglaną. Z mąki gryczanej wypiekano gryczanniki.

- Dziadku, skąd ty to wszystko wiesz?

- W czasach mojego dzieciństwa widziałem, jak, to się robiło. Pamiętam, że bardzo lubiłem kaszę gryczaną gotowaną na półgęsto. Była to jedna z nielicznych potraw, która mi smakowała. Teraz takiej kaszy nie ma. - Wspomniałeś, że dawniej kosą koszono tylko trawy.

- Tak. Siano było ważną paszą, którą gromadzono na zimę dla zwierząt. Trawę koszono kosami wczesnym rankiem, kiedy było dużo rosy i łatwiej ją się ścinało. Kiedyś sianokosy bardzo lubiłem. Wczesnym rankiem słychać było na łąkach charakterystyczne dźwięki ostrzonych kos. Kośnik odkładał pokos w postaci wysokiego wału skoszonej trawy. Potem dzieci rozbiły pokos rozściełając równo po całej łące skoszoną trawę. Słońce ją suszyło. Trzeba było mu pomóc, aby suszenie przebiegało sprawniej. Więc podsuszoną trawę przewracało się grabiami, potem zgrabiało w trzany, w których też bez przerwy obracało się podsuszone siano. Pod wieczór zgrabiano je i układano w kopianki. Następnego dnia kopianki trzeba było rozrzucić i dalej suszyć, aż do skutku. Bardzo przeszkadzały deszcze, a w szczególności burze. Po wyschnięciu ładowano siano na drabiniaste wozy, przyciskano grubym drągiem zwanym pawężą, podwiązując go łańcuchami do wozu. Jako dziecko bardzo lubiłem jeździć na szczycie wysokiej fury. To zajęcie nie należało do najbezpieczniejszych, ponieważ zdarzało się, że fura wywracała się. Podczas zwózki na drogach, zamiast samochodów, sunęły ładowne fury ciągnięte przez konie. Teraz takich widoków nie zauważysz. Na drogach pełno samochodów przewożących powietrze z jednego końca kraju w drugi. Samochody, to straszne marnotrawstwo tlenu i energii.

- Dziadku, chyba nie lubisz samochodów.

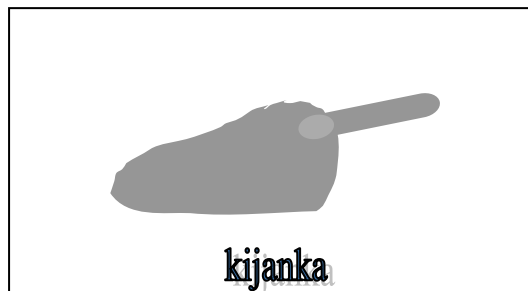
- Nie lubię, ale bez nich też źle żyć. Teraz wszędzie pełno sklepów i wszystko można kupić. Dawniej na wsi ludzie robili wiele rzeczy sami. Dużo czasu zajmowało przygotowanie materiałów na ubrania. Siał się len. Piękną roślinkę kwitnącą niebiesko. Nie wiem czy widziałeś, gdzie rosnący na polu len.

- Widziałem w skansenie w Ciechanowcu.



- Otóż, dawniej każda szanująca się gospodyni siała zagon lub więcej lnu. Na początku młode roślinki trzeba było pielnić. Od rana do wieczora na zagonach bieleły chustki pracujących kobiet. Potem, gdy len dojrzał należało go wyrwać.

Lnu się nie ścinało. Potem się suszyło. Po wyschnięciu rozścielano na zagonie dużą płachtę, na nią kładziono grubą dechę i kijanką obijało nasiona zwane siemieniem. Kijanka, to kawał grubego drewna odpowiednio wyprofilowany z rączką do trzymania. Potem słomę wiązano w wielkie snopy i przez kilka tygodni moczo w jakimś bajorku. Potem wyciągano len z



*Fot.134. Kółko. Na nim powstawały nici z lnu, kłaków i wełny*

gawęd, opowiadań, wspomnień ludzi, którzy tu żyli i już odeszli do wieczności. Palce i nogi przędły, a języki przypominały nieboszczki i nieboszczyków, czyli ludzi, którzy tu kiedyś żyli i pracowali. Lubiałem przysłuchiwać się opowiadaniom o niezwykłych wydarzeniach, jakie opowiadająca przeżyła, albo od kogoś usłyszała. Ze szpulek zwijano nici w motki przy pomocy prostego przyrządu - talki. Motki prano, a po wysuszeniu na wituchach zwijano w kłębki. Ażeby otrzymać tkaninę należało nastawić krosna i tkaninę utkać. To była już cała manufaktura. Krosna nastawiano w zimie, tak, aby do Wielkiejnocy ukończyć prace. Dobre prządki potrafiły uprząść cienkie nici, z których, potem wyrabiano tkaniny na koszule, kalesony a także pościel. Takie tkaniny nazywano zgrzebnymi w odróżnieniu od kramnych wykonanych fabrycznie i kupionych w kramie.

wody i rozścielano na łące do wyschnięcia i wybielenia. Też to trwało kilka tygodni. Po zebraniu należało oddzielić włókno od bezużytecznej łodygi. W łamaczce łamało się go, a w przecieraczce przecierało, wreszcie cesało. Te prace miały za zadanie oddzielenie włókna od bezużytecznych paździerzy. Podczas czesania oddzielano pełnowartościowe włókno od kłaków. W zimowe wieczory kobiety przędły len na, kółkach, podczas „posiedzinek”. Był to czas spotkań przy naftowej lampie pełen



*Fot.135. Szpula wyjęta z kółka z uprzedzonymi nićmi*

- Dziadku nasi przodkowie musieli dużo i ciężko pracować.
- Prawda, ale w owych czasach nie było elektryczności, radia, telewizji i innych złodziei czasu. Teraz trudno sobie wyobrazić życie bez elektryczności. Cóż byś biedaku zrobił bez swojej ukochanej komórki, komputera, internetu. Wszystko zależy od przyzwyczajenia. W okresie letnim próbuję obyć się bez tych przyjemności na wyprawach w dzikie ostępy nadbużańskich łągów. Doskonale się czuję i świetnie wypoczywam.



*Fot.136. Stelmach wyrabiał drewniane części wozu*

zależy od przyzwyczajenia. W okresie letnim próbuję obyć się bez tych przyjemności na wyprawach w dzikie ostępy nadbużańskich łągów. Doskonale się czuję i świetnie wypoczywam.

- Mieszkańcy Podlasia byli przede wszystkim rolnikami. Jakie inne zawody uprawiali.
- W Mierzwicach mieszkał stelmach.
- Co robił stelmach?
- Stelmach wyrabiał drewniane części do wozów, ponadto robił różne domowe sprzęty. Do wyrabiania ciasta z pszennej mąki potrzebne były kopańki różnych rozmiarów. Wydłubywano je z jednego pnia grubego drzewa. Dobrym materiałem na kopańki okazała się wierzba.

Drewno miała miękkie, a więc łatwe do obróbki i nie pękała, więc naczynia były trwałe.

- Jak wyglądała kopańka?
- W starej kopańce mama posadziła kwiaty. Odszukaj ją przed domem i będziesz widział, jak wygląda. Stelmach potrafił zrobić szufle do zboża, małe szufelki robione z jednego kawałka drewna. Stelmach potrafił też zrobić kółko do przędzenia nici.

- Beczki też robił?

- Nie beczkami zajmował się bednarz wyrabiał je z klepek, a ścisnął bednarką. Początkowo bednarki wyrabiano z gałęzi

wikliny odpowiednio profilowane, a potem z blachy zwanej bednarką. Można jeszcze, gdzieś spotkać poza beczkami, cebry - to takie drewniane wiadra, skobki - coś w rodzaju większych kubków, ćwierci - naczynia, w których przygotowywało się obrok, czyli jedzenie dla koni. Tłuczki do wyrobu masła. Aby konia przyczepić do wozu potrzebna była uprząż. Rymarze wyrabiali ją z



*Fot.137. Uprząż wyrabiał rymarz*



rzemienia, który sami wytwarzali ze skór zwierzęcych. Uprząż konia pociągowego składała się z chomąta z użwami, do których przymocowywano hołoble – drągi widoczne po bokach konia na fotografii powyżej. Czasem używano drewnianego kabłąka sterczącego nad szyją konia zwanego dugą. Woźnica kierował koniem za pomocą lejców, które mocował do kantara – to te



*Fot.138. Te bale wyciosał toporem cieśla*

paski skórzane zamocowane na głowie konia. Każdy fragment uprząży miał swoją nazwę. Można zauważyć siodełko, podogonie i wiele innych szczegółów.

- Dziadku, podobno koła kiedyś wyrabiali kołodzieje. Znasz zapewne legendę o Piaście - Kołodzieju?

- Oczywiście, znam. Wiele starych zawodów znikło bezpowrotnie, inne znikają na naszych oczach. Ongiś prawie w każdej większej miejscowości był kowal. Teraz kowali prawie nie ma. Tak samo dzieje się zawodem wozivody, katarzyniarza i wielu innych. Ciekawe czy wiesz, czym zajmował się szczytnik?

- Pierwsze słyszę, że taki zawód kiedyś istniał.

- Widzisz, szczytnik wyrabiał tarcze dla wojów i rycerzy. W staropolskim szczyt znaczyło tyle, co

tarcza. Chcę jeszcze powiedzieć o jednym zawodzie, mianowicie o traczach.

- Czym zajmowali się tracze?

- Na Nowych Mierzwicach jeszcze po ostatniej wojnie mieszkał tracz o imieniu Stanisław przez sąsiadów i okolicznych mieszkańców dźwięcznie zwany Stasiulo. Zajmował się, jak sama nazwa wskazuje, traczką.

- Dziadku, mówisz całkiem niezrozumiale.

- Tracze wycinali z kłoców, bale, deski, opoły.

- Nie robili tego cieśle?

- Cieśle ciosali toporami cieńsze kłocze na belki, na belkach wyraźnie widać ślady toporów. Wióry były odpadami, jakie pojawiały się tam, gdzie pracowali cieśle. Tracze pracowali piłą, spod której sypały się grube trociny, zazwyczaj we trzech. Na specjalnych stołkach



*Fot.139. Bale na ścianach tego domu wyszły spod rąk traczy*

umieszczało się pnie przy pomocy kołowrotu umieszczonego na trzech wysokich drągach. Na początku podnoszono jedną stronę kłoca, a potem drugą. Klinowano na szczycie i stanowisko pracy było gotowe. Jeszcze

obsznurowywano miejsca cięcia. Piła była dość długa, u góry węższa, u dołu szersza. Wysoko na klocu stawał jeden tracz, w zasadzie najsilniejszy, albo najzręczniejszy. To stanowisko było najważniejsze. Od jego umiejętności zależała jakość wyciętych belek. Na dole pracowało dwóch traczy. Piłowano wzdłuż kłoca po wytyczonych liniach. Z brzegów odcinano opoły, które potem były wykorzystywane na stropy.



*Fot.140. Dach wieńczyła kopulasta strzecha*

- Oni przygotowywali drewno do budowy domów?

- Potem budowę zajmowali się cieśle. W Mierzvicach domy budowało się z bali. A kryło wysoką strzechą. Na początku trzeba postawić krokwie, potem przybić w poprzek łąty – ostrugane żerdzie. Dawniej oszczędzano gwoździ, często robionych przez kowala i wszystko mocowano na drewniane kołki.

- Na kołki? Jak to robili?

- Bardzo prosto. Wiertłem nawiercano otwór w łącie i krokwi, a następnie wbijano dopasowany kołek z twardego drewna. Trzymał nie gorzej, niż mocowanie gwoździami. Taką łątę jeszcze trudniej oderwać od krokwi, niż przybitą gwoździami. Do łąt przywiązywano specjalnie uformowane snopki



*Fot.141. Węgła robiono na zakładkę*

ze słomy. Budownic

zowie nie mieli desek, więc szczyty też robiono w postaci strzechy. Wróble miały uciechę, bowiem strzecha doskonale nadawała się na ukrycie gniazda. Na ścianach bale nacinano i nakładano na zakładkę w postaci węgła i też wzmacniano kołkami.

- Dziadku, płoty też starano się tak robić, aby nie używać sztachet i gwoździ.

- Ludzie nie mieli pieniędzy. Gwoździe

były drogie. Cięcie sztachet sprawiało kłopoty. Nie znano pił tarczowych, nie było elektryczności.

- Tartaków też nie było?



*Fot.142. Płoty też robiono bez użycia gwoździ*



- Raczej nie. Na początku pierwszej Wojny Światowej Niemcy wybudowali tartak we Fronoławie. Podobno zaczął pracować pełną parą od piętnastego roku. Trak napędzany był maszyną parową, pod kotłami palono trocinami. Dla potrzeb tartaku zbudowano „biały dworek”, w którym mieszkał zarząd tartaku, czyli Niemcy. Z Fronołowa, aż do lasów hołowczyckich prowadziła konna kolejka, którą przewożono bale. Wagony ciągały konie. Kolejka biegła przez pola na Nowych Mierzwicach i Starych. Pamiętam, że część pola moich rodziców nazywało się przed kolejką, a część za kolejką. Rozebrano ją w okresie międzywojennym, tylko na polu pozostał ślad po nasypie. W lesie w okolicach Fronołowa można jeszcze zobaczyć nasyp. Wzdłuż dawnych torów dzisiaj biegnie leśna droga. Drugą drogą, którą przewożono kłocę był Bug. Z góry rzeki spławiano je tratwami. W okolicach dzisiejszego mostu była binduga,



*Fot.143.Koźlak*

gdzie wyławiano bale, i ładowano na wagoniki, które konie przeciągały do tartaku. Gotowe deski i bale pociągami wywożono do Niemiec. Miejscowi nie korzystali z usług tartaku.

- Podobno mieszkańcy powszechnie trudnili się spławem drewna.

- Tak. Powiem coś więcej na ten temat za chwilę. Chciałbym jeszcze powiedzieć parę zdań o tym, jak z ziarna robiono mąkę. Bardzo często narzędziem, z którego korzystano były żarna. Otrzymywano mąkę ciemną i grubą, tak zwaną razówkę, z której gospodynie wypiekały czarny razowiec. W okolicy było kilka młynów. Najpospoliciej występowały wiatraki. W Mierzwicach w różnych okresach były nawet

trzy wiatraki. Najwcześniej powstał wiatrak obracany na szynach przy drodze prowadzącej do Bugu. Doskonale pamiętam ten wiatrak. Twoja mama też powinna go pamiętać. W tej chwili jest tam dom. W okolicy było wiele młynów. W Buszce na Sarence stał młyn wodny, w Chlebczynie były wiatraki, chyba nawet dwa. W Sarnakach młyn parowy. W różnych miejscach naszego Podlasia widać było w pejzażu wiatraki. Niestety, zginęły bezpowrotnie. W młynach oprócz mąki razowej robiono mąkę pytlową. Pamiętam, bardzo mi smakował chleb pytłowy. Był biały i miał taki bardzo przyjemny smak. W młynach z pszenicy robiono mąkę, a z jęczmienia kaszę.



*Fot.144. W mleczarni*

- Podobno na rozstajnych drogach stały karczmy.
- Może nie na rozstajnych drogach, ale przy drogach. W okolicy były, co najmniej dwie karczmy. Jedna w pobliżu Nowych Mierzwic, tam, gdzie teraz jest przystanek autobusowy. W Mierzwicach Starych również była karczma na skraju posiadłości ziemskiej. Właścicielami karczem byli posiadacze ziemscy. Oddawano je w pacht Żydom.



*Fot.145. Opowiadał pradziadek Stasiek*

- Podobno Żydzi przywędrowali na Podlasie w siedemnastym wieku.
- Chyba tak. Raczej na przełomie siedemnastego i osiemnastego wieku. Zajmowali się handlem, rzemiosłem, byli karczmarzami, bankierami. Zdaje mi się, że przed ostatnią wojną mieszkały we wsi dwie rodziny żydowskie, a może jedna. Mieli mleczarnię. Właścicielem był Ejnoch. Pracowała w niej twoja prababcia.
- Dziadku miałeś mi opowiedzieć o flisakach.
- Miałem. Dobrze, że mnie pilnujesz. W dawnych

czasach wielu ludzi trudniło się spławem drewna. Między innymi twój praprapradziadek ze strony mojej żony, a twojej babci. O tym, jak to było, opowiadał pradziadek Stasiek. Dzieciństwo spędził w Zabuzu. Wiele razy widział oryli i tratwy płynące do Gdańska. Na początku woziły zboże, i inne towary, potem drewno i przetwory uzyskiwane z drewna, jak: smołę dziegieć, terpentynę, węgiel drzewny. Niektóre zatrzymywały się w Mielniku. W dawnych czasach tratwy były ważnym środkiem transportowym. Wożono nimi wszystko. Wzdłuż rzeki biegły ścieżki holownicze, bo oprócz tratw pływały wodą szkuty, krypy, komięgi. Często w górę rzeki ciągnęły je konie lub woły, albo najzwyczajniej burłaczono.

- Dziadku, nie wiem, na czym polega burłaczenie, to chyba niepolski wyraz?
- Masz rację. Jest to najzwyczajniejszy rusycyzm. Burłak, to taki człowiek, który siłą własnych mięśni ciągnie łódź w górę rzeki. Samą czynność nazywamy burłaczeniem.
- No tak. Zrozumiałem. Dziadku, opowiadaj dalej.



*Fot.146. Mąż prapraprababci Juliśki też był orylem*



- Oprócz ścieżek brzegami wiły się, tak zwane, gościńce powrotne. Nieraz odbiegały od brzegu rzeki na znaczne odległości omijając nadbrzeżne bagna i zabagnione doliny dopływów Bugu. Wracali nimi do domu flisacy, czyli oryle. Najczęściej piechotą, zdarzało się, że konno, a w czasach, gdy pojawiły się



*Fot.147. Tutaj u podnóża Góry Zamkowej, w Drohiczyńce często zatrzymywały się tratwy*

koleje, pociągiem. W dzieciństwie, o którym opowiadał pradziadek Stasiak najczęściej spławiano drewno. Tratwy budowano na bindugach. Z lasu wozacy ściągali przy pomocy koni pnie ściętych sosen czy dębów na oczyszczony brzeg rzeki. Długie kłocce staczali do wody i budowali tratwy wiążąc pnie powrozami, lub zbijając żerdziami. Trzeba było bardzo uważać, aby prąd nie porwał pojedynczych kłoców. Na środku tratwy budowało się ze słomy i gałęzi szałas, w którym, podczas spławu

nocowali oryle. Oczywiście, na noc zatrzymywano się w znanych miejscach. Jeszcze warto powiedzieć o jednym bardzo ważnym urządzeniu. Otóż z dala od słomianego szałasu na tratwie układano polepę z gliny i cegieł na specjalnej plecionce lub platformie zbitej z desek. Tam płonęło ognisko, na którym oryle gotowali strawę, suszyli ubrania, ogrzewali się. Czasem to robili na brzegu. Zazwyczaj w ciągu roku odbywały się dwa takie spławy. Każdy trwał około trzech miesięcy. Drewno spławiano też znacznie bliżej. Do tartaków, które sytuowano na brzegach rzeki. Wspominałem, że taki tartak funkcjonował we Fronołowie, podczas Pierwszej Wojny Światowej.

- Orelka musiała być fascynującym zajęciem.

- Owszem zwiedzało się wiele ciekawych krain, ale spław należał do bardzo ciężkich zajęć. Dzień i noc oryl musiał przebywać na rzece bez względu na pogodę. Bywało zimno i mokro, czasem gorąco, i sucho. Dmuchało i przechodziły burze, waliły pioruny. W dodatku ówczesni ludzie wierzyli w różne złe moce, dobre i złe duchy, które mogły dokuczyć, albo skrzywdzić, podczas podróży. Bug zawsze był rzeką dziką, pełną mielizn, piaszczystych łach i



*Fot.148. W wielu miejscach Bug rozlewał się szeroko*

nieprzyjemnych niespodzianek. W korycie nie brakło zatopionych kamieni i pni drzew. Rzeka kręciła. Niektóre zakręty były bardzo ostre i tratwy z trudem mieściły się w korycie. Zazwyczaj z tratw robiono pociągi składające się z kilku połączonych jedna za drugą. Sterowanie takim zestawem było naprawdę dużą sztuką. Do odpychania się od dna i sterowania używano długich tyczek



*Fot.149. Widoki spotykane wzdłuż rzeki mogły urzezać tamtych ludzi*

zrobionych z mocnego drewna. Tratwę obsługiwało kilku oryli ustawionych na dziobie, czyli początku tratwy i na końcu, czyli rufie. Flisacy musieli dobrze znać rzekę, aby przewidzieć miejsca, gdzie spotkają ich trudności. Doświadczenie zdobywali przez praktykę. Młodzi uczyli się rzemiosła flisackiego od starych, doświadczonych oryli. W obu wsiach wielu ludzi zajmowało się orelką. Nawet się bogacili. Zapłatę zamieniano w złoto lub zaoszczędzone pieniądze przeznaczano

na powiększanie gospodarstw. Mówiło się, że wieśniacy byli bardzo przywiązani do ziemi, łaknęli własnej.

- Dziadku, na brzegach było dużo bindug?

- Sporo. Powstawały tam, gdzie formowano tratwy, oraz tam, gdzie tratwy rozbierano. Za Kózkami, jadąc szosą w dół rzeki, spotkałbyś miejscowość o nazwie Binduga. Zapewne naprzeciw, nad brzegiem Bugu w dawnych czasach była binduga. I tutaj też formowano tratwy. Nazwa dawnego miejsca pracy ukryła się w nazwie wsi. Może zamieszkiwali ją ongiś oryle. Teraz wieś należy do zagłębia owocowego razem z Klimczycami tworzy jedno z większych zagłębi sadowniczych na Podlasiu.

- Dziadku, chyba się zmęczyłeś? Dzisiaj długo gawędziliśmy.

- Jestem przyzwyczajony o do opowiadania, chciałbym, aby w tobie coś pozostało, abyś chciał przekazać innym historię o życiu i pracy tych ludzi, którzy zamieszkiwali tę ziemię, którzy są twoimi przodkami.

- Dziadku, postaram się zapamiętać to, o czym mówiłeś i przekazać dalej.



*Fot.150. Powrót do domu zawsze sprawiał wiele radości*



### VIII. Mierzvice, Fronolów, Kolonie

- Dziadku, już rozmawialiśmy na temat, skąd się wzięliśmy? Skąd się wzięła wieś, jakiego pochodzenia są mieszkańcy?

- Jest dość pewne, że najstarszą osadą w naszej okolicy są Mierzvice posadowione ongiś na skraju skarpy bużańskiej. Kiedyś nazywała się inaczej. Przymiotnik Stare, to nabytek znacznie późniejszy. Spotkałem się z kilkoma



*Fot.151. Ludzie chętnie osiedlali się nad wodami*

nazwami, jak Mierwice, Mierzwina, Mierzejewice.

- Dziadku, prowadzono jakieś rejestry?

- W średniowieczu nie przywiązywano do tego wielkiej wagi. Oczywiście istniały spisy wsi i osad królewskich, książęcych, wielkich właścicieli ziemskich. Często nie określono dokładnie przynależności terytorialnej, która się zmieniała. Wiesz, że Podlasie, to nazwa też późniejsza, a ziemie te

przechodziły z rąk do rąk. Nazwa miejscowości zapewne pochodzi od miejsca, gdzie została posadowiona, na przykład na mierzei, nadbużańskim wale.

Przypuszczam, że raczej wywodzi się stąd? Można myśleć inaczej. Nie sądzę, że wywodzi się od mierzwy, czyli rodzaju nawozu. Dawniej nazwy własne pisano dość dowolnie. Ty tego zapewne tak bardzo nie odczuwasz, ale mieszkańcy zamieszkujący jakąś okolicę nadawali różnym częściom swojej krainy nazwy własne, które były zrozumiałe miejscowym, a nie zawsze rozpoznawane przez osoby zewnętrzne. Kilka nazw własnych



*Fot.152. Kto jeszcze wie, że kiedyś tu było Zadębinie?*

znasz chociażby takie, jak: Trojan, Zaskiepi, Łysa Góra, Łózka. I tu mam kłopot z pisownią słowa Łózka, a może to się pisze Łóska. Nazwa na pewno pochodzi od łożyny, a nie od nazwy gilzy pocisku, czyli łuski. Kiedyś było ich znacznie więcej. Czasem miały krótki żywot i umierały razem z ludźmi, którzy ich używali. Pamiętam, że fragment Zaskiepia nazywał się Zadębinem. Teraz już nie znajdziemy człowieka, który pokazałby, gdzie to jest, między innymi dlatego, że rzeka już zabrała Zadębinie i tam gdzie ono ongiś było jest koryto. Rybacy mieli tu swój raj. W brzegu i w korycie rzeki zalegało mnóstwo starych

zakopanych w mule pni, prawdopodobnie grubych, powalonych i zatopionych przez wodę dębów. Dobrze pamiętam to kłębowisko. Jeszcze lepiej znał je mój brat, który uwielbiał łowienie ryb, gdy mnie zajęcie to zupełnie nie interesowało. Inwentarze sporządzali urzędnicy księcia, właściciela, króla, nie zawsze fatygując się do osobistego odwiedzenia spisywanej miejscowości. W



*Fot.153. Mierzvice ponownie, powoli przesuwały się nad skarpe*

dawnych czasach podróżowanie też było kłopotliwe. Umiejętność pisania nie należała do zjawisk powszechnych. Były problemy czysto gramatyczne, pisownię nazw dopiero tworzono. Rzeka była gościńcem, którym najłatwiej ludzie się przemieszczali. Osadnictwo szło wzdłuż rzek. Na początku ludzie najchętniej osiedlali się nad rzekami. W całej Europie powstawały grody, zamki, osiedla właśnie nad rzekami,

dopiero później zaczęto przesuwać się w głąb lądu. Często przemieszczali się wzdłuż dopływów większej rzeki.

- Można przyjąć, że historia Mierzwic zaczyna się dopiero w szesnastym wieku?

- Tak, w różnych dokumentach wieś ta pod różnymi nazwami jest wymieniana.

Jak już wcześniej mówiłem prawdopodobnie zamieszkała była przez Rusinów.

W Mielniku, przy istniejących tam cerkwiach kształtowały się parafie prawosławne. Prawdopodobnie Mierzvice znalazły się w zasięgu oddziaływania parafii przyporządkowanej cerkwi prawosławnej pod wezwaniem Zmartwychwstania Pańskiego. Podobno znalazły się w rejestrze pomiaru włócznej z 1560 roku.

- Co to jest ta pomiaru włóczna?

- Na rzecz cerkwi pewne powinności zagwarantowane w akcie fundacyjnym powinien spełniać fundator lub jego spadkobiercy. Zazwyczaj z cerkwią związane były pewne dobra, z których dochody przeznaczone były na utrzymanie popa i jego rodziny oraz samej świątyni. Prawdopodobnie dochody czerpano z posiadania młynów, karczem, opłat za posługi duszpasterskie, ze skupszczyzny.

- Dziadku czym była skupszczyzna?



*Fot.154. Trojan prawdopodobnie był wyspą*



- Rodzajem dziesięciny płaconej na rzecz cerkwi. Prawosławny parafianin powinien w ciągu roku oddać duchownemu prawosławnemu od połowy do jednej kopy snopów żyta od łąnu, co było pewnym rodzajem dziesięciny. Przypominam, bo może udało ci się zapomnieć, że kopa, to sześćdziesiąt sztuk. Wysokość jej zależała od ilości włók, czyli powierzchni gruntów, łąk i lasów, przypisanej dla danej wsi. Mierwice należały w tym czasie do królewszczyzn, czyli były własnością królewską. Skupszczyzny spowodowały, że zaczęto rejestrować wsie w różnych spisach. W parafiach katolickich była lepsza



*Fot.155. Mała, drewniana cerkiew*

organizacja wynikająca z większej centralizacji i tam takie rejestry powstawały wcześniej. W parafiach prawosławnych panował znacznie większy rozgardiasz i zaczęto je sporządzać znacznie później. W tym czasie istniała już parafia katolicka w Sarnakach, ale w tamtejszych dokumentach nie ma żadnej wzmianki o przynależności Mierzwic do parafii sarnackiej. Można przypuszczać, że mieszkańcy byli wiernymi prawosławnymi.

- Kontakt z Mielnikiem musiał być bardzo utrudniony.

- Nie, w Zabuzu istniał most. W owym czasie Bug prawdopodobnie bardzo się rozwidłał i między prawym korytem, a lewym znajdowała się wyspa o szerokości półtora i długości cztery, i pół kilometra.

Obecny Trojan prawdopodobnie znajdował

się na wyspie. Most był dwuczęściowy. Za lewą część odpowiadali mieszczanie łośnicy, a za prawą mielnicy. Oni też byli odpowiedzialni za jego budowę.

Most był ważnym elementem gościńca biegnącego na Ruś i Litwę. Kupcy musieli płacić myto za przeprawę przez rzekę. Do Mielnika przywożono zboże z Podlasia, które ładowano tu na tratwy i szkuty, i spławiano w dół rzeki przede wszystkim do Gdańska

- Dziadku, Mierzvice zamieszkiwali włościanie?

- Nie była, to nigdy wieś szlachecka, chociaż wokół takie wsie istniały. Mogli we wsi



*Fot.156. Na mostach pobierano myto*

pojawić się bojarzy putni, ruscy odpowiednicy polskiej szlachty zagrodowej, bądź szaraczkowej. Jeszcze w szesnastym wieku Podlasie było ruskie. Zmiany następowały szybko, gdy się na tych terenach wzmogło osadnictwo polskie rekrutujące się głównie z Mazowsza. Z rejestrów kościelnych i cerkiewnych



*Fot.157. „Tutejszy”.  
Mieszkaniec wsi  
Mierzvice Nowe*

wynika, że Mierzvice były prawosławne, a więc ruskie. Osadnictwo polskie zmieniało powoli układ demograficzny. Najwcześniej polonizowała się rusińska szlachta. Dość wcześnie bojarów zrównano w prawach ze szlachtą polską. Zaczęły powstawać małżeństwa mieszane zawierane między młodymi pochodzenia szlacheckiego i bojarskiego. Potem zaczęły polonizować się mieszczanie, ponieważ kontakty z Polakami stawały się coraz częstsze, a wśród nich osadzało się wielu mieszczan pochodzenia polskiego i katolickiej wiary. Przynależność do kościoła czy cerkwi określała wyraźnie przynależność do Polaków czy Rusinów. Wśród tak zwanego prostego ludu takiej świadomości nie było. Włościanie nie uważali się, ani za Polaków, ani za Rusinów. Oni zawsze byli tutejsi. Podejrzewam, że w szesnastym wieku mierzwiczanie też byli tutejsi.

- Dziadku, z dawnych czasów mało zachowało się

dokumentów, z których można było się coś dowiedzieć o Mierzwicach.

-Niestety mało. W dokumentach dotyczących rozgraniczenia ziem drohickich i mielnickich wymienia się Mierzvice, jako wieś graniczną należącą do powiatu mielnickiego. Są pewne przesłanki mówiące, że Mierzvice należą do wsi starych. Według rejestru sporządzonego przez dworzanina królewskiego Krzysztofa Jurewicza Zawiszę zaliczane są do starych osad, ponieważ we wsi posługują się jeszcze starym, już w ówczesnych czasach nigdzie nie używanym poza Podlasiem, podziałem gruntów opartym na dziesiątkach. W czasach Jurewicza powszechnie stosowano podział ziemi we włókach.



*Fot.158. W owych czasach ziemię  
wymierzano we włókach a nie  
dziesiątkach*

- Dziadku, z czym wiązało się określenie charakteru wsi i jej zamożności?

- W pierwszej połowie szesnastego wieku w królewszczynach dokonano



reformy rolnej przechodząc na system trójpolówki. Działości zostały zamienione na włóki. Przy czym, tamtejsza włóka liczyła 33 morgi, to znaczy około 23,5 ha lub 30 morgów, czyli 21,3 ha. Prawdopodobnie wtedy zmieniła się nieco lokalizacja wsi. Jedną z trzech działek przeznaczono na, tak zwane,



*Fot.159. Mierzvice Stare – zdjęcie satelitarne*

pole sadybne, gdzie ulokowano budynki mieszkalne i gospodarcze. Wprowadzono klasyfikację jakości gruntów, od których naliczano podatki i daniny. Grunty podzielono na dobre, średnie, podłe i przepodłe. Mierzvice otrzymały dwadzieścia sześć włók, a wieś miała 48 dymów, to znaczy domów z kominami, więc, jak na owe czasy były dość dużą wsią. Takie Hołowczyce liczyły sto dymów. Jako dalszy ciąg

reformy zostały połączone luźne parcele w wieś ulicówkę z dobrze wytyczoną drogą i zgromadzeniem mieszkańców w jeden zwarty organizm wiejski. Na czele wsi stał sołtys mający przyznaną na własność jedną włókę. Pozostali żadnej własności nie posiadali. W 1560 roku rejestr gruntów we wsi Mierzvice opiewał na czterdzieści włók ziemi średniej, podłej i przepodłej.

- Dziadku mam wrażenie, że szesnasty wiek sprzyjał rozwojowi Mierzvic.

- Przez kilkadziesiąt lat panował tu spokój, więc Podlasie się rozwijało. Jak na ówczesne czasy kraina ta była ludna. Pod koniec szesnastego wieku Podlasie w zdecydowanej większości przyjęło unię i większość istniejących cerkwi przekształciło się w cerkwie unickie. Mierzvice prawdopodobnie znalazły się obszarze, który w zdecydowanej większości opowiedział się z unią. Prości ludzie nie bardzo zdawali sobie sprawę, o co chodzi? Unitami zostali wyżsi duchowni prawosławni i część duchownych niższego szczebla, razem z nimi unitami stawali się ich wierni poddani. W siedemnastym wieku Mierzvice należały do unickiej parafii pod wezwaniem Narodzenia Najświętszej Maryi Panny ulokowanej w Mielniku.



*Fot.160. W siedemnastym wieku i później Mierzvice należały do unickiej parafii w Mielniku*

- Dziadku. Jak Podlasie przeżyło okres wojen w siedemnastym wieku?
- Różne źródła podają, że ten okres był bardzo ciężki dla mieszkańców Podlasia. Liczba ludności zmalała więcej niż o połowę. Rabacje przechodzących wojsk, zarazy przywleczone przez obcych dziesiątkowały ludność, Zapanowała nędza i



*Fot.161. Wojny bardzo zniszczyły Podlasie i Mierzvice*

powszechne ubóstwo. Wiele ziemi królewskiej przeszło w ręce prywatne. Już w siedemnastym wieku Mierzvice stały się wsią prywatną. Nie wiem, ile gruntów było własnością włościan. Chłopi uprawiali ziemię, ale nie byli jej właścicielami. Według wykazu miejscowości w Ziemi Mielnickiej z 1674 roku Mierzvice stanowiły własność szlachecką i właścicielem ich był Zbigniew Ossoliński starosta drohicki. Wieś liczyła dziewięćdziesięciu poddanych. Prawdopodobnie status własności zmienił się na przełomie szesnastego i siedemnastego wieku. Starosta był właścicielem 12 wsi, czterech dworów i dwóch folwarków z 740 poddanymi. Przypuszczam, że do poddanych zaliczano tylko dorosłych mężczyzn.

- Dziadku, jak wyglądała pańszczyzna?

- Kultura rolna na Podlasiu była bardzo niska. Nie stosowano płodozmianu. Trójpółówka w

niewielkim stopniu poprawiała sytuację. Chłopi od uprawianego zagonu musieli świadczyć daniny w naturze i płacić podatki na rzecz starosty. Przez dwa, trzy dni w tygodniu powinni bezpłatnie pracować na pańskim. Ziemie dworskie były wyższej klasy. Na polu nie było kamieni. W wielu miejscach rosła pszenica. Najsłabsze grunty oddano w użytkowanie chłopom lub zalesiono. Ziemie uprawiane przez chłopów na własny użytek były kamieniste i niskiej jakości.



*Fot.162. Grunty użytkowane przez chłopów były niskiej jakości*

Gdzieś zdarzały się łąki lepszych gruntów. Chłopi do swojej dyspozycji mieli mało ziemi. Kilka rodzin pracowało na swoim, być może były to rodziny



pochodzenia szlacheckiego, które w wyniku jakichś zdarzeń schłopiały. Nosiły one polskie nazwiska. Prawdopodobnie do nich należały rodziny Jasińskich, Jeżeskich, Sokołowskich.

- Dziadku, na początku dziewiętnastego wieku wprowadzono jakieś regulacje?  
- Kodeks Napoleona wprowadzony w Księstwie Warszawskim, pozbawiał chłopów prawa do jakiegokolwiek własności. Uprawiane przez chłopów pola były wymieszane z pańskimi. Regulacje polegały na przesiedleniu wieśniaków na peryferyjne ziemie majątków, z reguły najśłabsze. Robili to właściciele majątków. Wielu wieśniaków pozbawiano w ogóle ziemi. Mierzvice miały kilkadziesiąt włók w swoim użytkowaniu. Gleby te były niskiej jakości, piaszczyste, gdzieśgdzie gliniaste, a miejscami bagniste. Orki wykonywano drewnianymi sochami ciągniętymi przez woły lub konie. Zdarzało się, że zaprzęgano krowy. Jedynie soszniki kuto żelazem. Zalegające w ziemi kamienie specjalnie nie przeszkadzały narzędziom stosowanym do uprawy. Soszniki nie zaczepiały się o głązy ukryte w ziemi. Do zbiorów zbóż nie używano kos tylko sierpy. Pańszczyźniani chłopci obok pracy na własnym zobowiązani byli do pracy na pańskim własnym sprzętem i własnymi zwierzętami. Wydajność pracy pańszczyźnianych musiała być niska. Podczas pracy pilnowali ich ekonomi stosując różne środki zmuszające do wydajniejszej pracy. Ze statystyk wynikało, że przeciętnie z jednego ziarna żyta otrzymywano cztery do pięciu ziaren.



*Fot.163. Po zżętym zbożu pozostawało wysokie ściernisko*



*Fot.164. Nowe Mierzvice*

Pszenicy i jęczmienia prawie nie uprawiano. Siano jeszcze owies. Na chłopskich działkach musiało być jeszcze gorzej. Szerzyło się pijaństwo. Chłopi byli zobowiązani do korzystania z karczmy oddanej w arendę starozakonnemu, ale będącej własnością dworską. Z przydrożnych karczm nie wolno było korzystać. Niepokornym groziły kary. Prawdopodobnie ziemie chłopskie użytkowane przez rolników nie podlegały rugom.

- Dziadku, być może w tym czasie powstały Nowe Mierzvice?

- Tak mi się wydaje. Ziemie użytkowane przez nowomierzwiczian są w przeważającej części słabej jakości, według dawnej klasyfikacji przeważnie były podle i przepodłe. Niewielka ilość dawała się zakwalifikować jako średnie. Trochę ziem było pochodzenia bagiennego, w tak zwanych Kruszynach i w Użyku. Przez środek nowomierzwickich pól płynęła zabagniona rzeczka, która ginęła gdzieś na Błotach. W rejestrach parafii Sarnaki pojawiły się dopiero w drugiej połowie dziewiętnastego wieku, gdy Mierzvice, które potem przyjęły nazwę Mierzvice Stare już sygnalizowano pod koniec osiemnastego i na początku dziewiętnastego wieku. Sądzę, że wiąże się to z pojawieniem się katolików. Nie wiem, skąd przywędrowali Radzikowscy. Od pokoleń byli kowalami, być może pojawili się we wsi, jako rzemieślnicy. Szeroko rozgałęziony ród Karwackich też musiał osiedlić się już dawniej. Karwaccy reprezentowani byli przez liczne odgałęzienia rodzinne, ale majątności wielkiej nie posiadali. Na Nowych Mierzwicach skądś pojawili się Bobińscy, Stefańscy i Kuleszowie. Być może są to przypadki późniejsze. Brak jakichkolwiek danych rodzi tylko spekulacje.

- Dziadku, skąd się wziął cmentarz na końcu Mierzwic Starych, który nazywałeś Mogiłkami?



*Fot.165. Ta chałupa może pamiętać czasy, kiedy powstawała wieś Nowe Mierzvice*



*Fot.166. Za słupem aż do białej obory ciągnął się cmentarz choleryczny zwany mogiłkami. Obecnie został zabudowany budynkami rekreacyjnymi. Gdyby kopano głębsze fundamenty na pewno znaleziono by kości ofiar cholery*

- Prawdopodobnie, w 1831 roku na Podlasiu pojawiła się cholera, która dziesiątkowała mieszkańców. Nie spotkałem się z żadnymi przekazami na ten temat. Widziałem kilka zapisów opisujących zarazę tego czasu szalejącą w Kornicy. Podobno ludzie umierali, jak muchy, nawet na polach, podczas pracy. Wychodziło na pole dwudziestu ludzi, a wracała połowa. Podobno w Mierzwicach tak dużo ludzi umierało, że nie nadążono wywozić na cmentarz pod Grzybowem. Zresztą nie było komu wozić. Słyszałem jeszcze inną wersję, mianowicie, na Podlasiu miała gościć zaraza cholery w drugiej



połowie dziewiętnastego wieku, gdzieś w latach siedemdziesiątych. Nigdzie nie znalazłem potwierdzenia tej wersji.

- Dziadku, dawniej prześladowały epidemie mieszkańców Mierzwic.

- Nie tylko epidemie, choroby były częstym gościem pod dachem mierzwiczian. Rodziło się bardzo dużo dzieci, ale większość umierała nie dożywszy pierwszego roku. Śmiertelność wśród niemowląt była bardzo duża. Do wsi często zaglądała ospa. Też wywoływała epidemie. Ci, którym udało się przeżyć, potem obnosili twarze pełne dołków przypominające plaster miodu. Panoszyła się gruźlica. Wymierały na nią całe rodziny. Dyfteryt, krwawa dyzenteria, czyli czerwonka, świerzb też zbierały obfite żniwo.

- Dziadku czy coś wiesz, jak wyglądały Mierzvice w dziewiętnastym wieku?

- Za bardzo nie wiem. Zapewne obie wsie były tak zlokalizowane, jak to teraz widzimy. Tworzyły ulicówkę posadowioną wzdłuż piaszczystej, pełnej wykrotów drogi. Po każdym deszczu na ulicy tworzyły się potężne kałuże, a koła wozów grzęzły w przepastnym błocie. Wzdłuż ulicy stały drewniane chaty z



*Fot.167. Wiejska chałupa w zimowej szacie*

malutkimi okienkami nierzadko zakryte błonami ze świńskich pęcherzy. Potem coraz częściej w oknach pojawiały się szyby z prawdziwego szkła. Wszystkie kryte kopiałymi strzechami ze słomy. Ze środka dachu sterczały kominy.



*Fot.168. W takich naczyniach przechowywano mleko*

Zabudowania gospodarcze były bardzo podobne. Na zimę ściany mieszkań gacono igliwem lub słomą. Na środku prawie każdej chaty stał olbrzymi piec zajmujący połowę mieszkania. W części mieścił się piec chlebowy. Nad nim, między sklepieniem, a sufitem znajdowała się wnęka, w której podczas zimy spały dzieci i dziadkowie. Było to najcieplejsze miejsce w izbie. Na środku stał duży masywny stół zrobiony z ciosanych toporem grubych desek. Podczas posiłku na środku ustawiano wielką glinianą miskę. Gospodyni wkładała do niej gotowane ziemniaki lekko okraszone tłuszczem lub postne bez omasty w mundurkach. Czasem w misce był żur, jakiś barszcz. Jadało się go z

chlebem kopystkami wystruganym z drewna. Rodzina siadała dokoła. Wszyscy jedli z jednego gara. Czasem pierwszy jadł ojciec, a potem reszta. Nieodzownym meblem w każdej izbie była duża pleciona z wikliny kobiałka, podczepiona powrozami do specjalnych haków wbitych w belki sufitowe. Prawie zawsze można w niej było spotkać niemowlę lub małe

dziecko, którym opiekowało się starsze rodzeństwo, albo stara babcia. To tak przedstawiały się chałupy. Gościniec do Sarnak nie różnił się niczym od drogi prowadzonej przez wieś. Tylko wyboje były głębsze. Wieśniacy odpowiadali za stan drogi. Różnie z tym bywało. Dużo zależało od wójta, który zarządzał gminą. Po powstaniu listopadowym Sarnaki utraciły prawa miejskie i gminę przeniesiono do Chlebczyna, wówczas Mierzvice Stare i Nowe przypisano do gminy Chlebczyn.

- Dziadku, dziewiętnasty wiek nie był najbardziej sprzyjający Podlasiu i jego mieszkańcom?

- Tak, w czasie powstania listopadowego wiele bitew rozegrało się na Podlasiu. Potem carskie wojska pacyfikowały ludność. W wielu wsiach stacjonowały ponad dwa lata. Mieszkańcy musieli je utrzymywać własnym sumptem. Aktywnym uczestnikom powstania odbierano majątki przekazując oficerom carskiej armii zasłużonym w pacyfikacji powstania. Powstawały, tak zwane, majoraty, czyli majątki będące we władaniu Rosjan. Mierzvice też były zniszczone. Zaraza panosząca się przez kilka lat dopełniła reszty. Miejscowy majątek został zamieniony na majorat. Nie wiem, kto był właścicielem. Być



*Fot.170. Na tych gruntach powstały gospodarstwa należące do gospodarzy zamieszkujących Mierzvice Stare*



*Fot.169. Gościniec zimą*

może został przejęty, jako niezbyt atrakcyjny, przez państwo rosyjskie. Za karę wszystkie miasta w okolicy straciły prawa miejskie. Przez kilkadziesiąt lat w starostwie konstantynowskim nie było żadnego miasta. Mierzvice przez jakiś czas należały do tego starostwa. Podział administracyjny Podlasia szybko się zmieniał. Ziemie te zostały przewidziane do szybkiej rusyfikacji. Powstanie styczniowe również odcisnęło tutaj swe piętno. Doszło do dalszych

przejęć majątków szlacheckich. W Rosji zniesiono pańszczyznę już w 1861



roku. W guberniach na terenie Podlasia dopiero pod koniec 1864 roku, kiedy pojawił się ukaz carski likwidujący pańszczyznę w całym cesarstwie. W 1867 roku car ogłosił ukaz uwłaszczeniowy. Chłopi osadzeni i uprawiający ziemię otrzymywali wólkę na rodzinę. Pozostało wiele rodzin poza uwłaszczeniem. Oni tworzyli grupę komorników i bezrolnych. Z nich rekrutowali się fornale zatrudniani w majątkach szlacheckich i majoratach. Przy okazji uwłaszczenia doszło do scalenia gruntów. Nie do końca. We wsiach Mierzvice Stare i Nowe podzielono ziemię mniej więcej równo, dając wólkę rodzinie. Do podziału zostały jeszcze niewielkie okrawki na Reskach, Gnoiskach, Ogródkach, Zaskiepiu. Tam pojawiły się wąskie paski przypisane poszczególnym gospodarstwom. Podczas uwłaszczenia wydzielono działkę szkolną w Mierzwicach Starych i działkę kowalską na gruntach należących do Mierzwic Nowych.

- Rusyfikację na dużą skalę zaczęto od zlikwidowania Unii i włączenia unitów do cerkwi prawosławnej całkowicie podporządkowanej caratowi.

- No tak. Przy okazji okazało się, że unicy są bardzo przywiązani do wiary swoich ojców. Jak wiesz, stawili bierny opór.

- Co się działo po uwłaszczeniu?

- Przede wszystkim formalne załatwianie spraw zajęło trochę czasu. Wydaje mi się, że ziemię otrzymali chłopi przed rozpoczęciem prześladowań unitów, bowiem z dokumentów wynika iż kozacy niszczyli własność chłopską, co nie byłoby możliwe przed uwłaszczeniem.



*Fot.172. Na mierzwickich polach nigdy nie brakło kamieni. Całe pokolenia pracowały nad ich usunięciem*

takie charakterystyczne dla mierzwickich pól. Nie było tego na polach



*Fot.171. Ogródki zarosły lasem i teraz tak wyglądają*

- Podobno gospodarze po otrzymaniu kamienistych działek na własność zaczęli pracę od zbierania kamieni?

- Nie wiem dokładnie, kiedy na polach zaczęto budować kamienice. Wydaje mi się, że jeszcze w dziewiętnastym wieku zaczęto porządkować pola. Po kopaniu zazwyczaj całe rodziny zbierały kamienie na fury, którymi zwożono je na jedno miejsce, gdzie układano, tak zwane, kamienice. Rzeczywiście, jeszcze w czasach mojego dzieciństwa, na polach spotykało się na każdym kroku olbrzymie kupy kamieni. To było

nowomierzwickich. Były równie piaszczyste, jak w Mierzwicach Starych, ale leżało na nich mniej kamieni. Na samym początku po uwłaszczeniu zaczęto budować miedze układając je z kamieni, oczywiście, z tych bardzo dużych. Wkopane na granicy nijak nie dawały się ruszyć i stanowiły trwałe znak rozgraniczający jedno gospodarstwo od drugiego.

- Dziadku, teraz ich nigdzie nie widać?

- Po ostatniej komasacji wszystkie miedze rozebrano. Kamienice likwidowano już wcześniej, bo było duże zapotrzebowanie na kamienie, które zużywano na drogi. Jako dziecko siadywałem na płachcie pod gruszą, zazwyczaj przy jakiejś kamienicy lub na miedzy. Trawa, która rosła na miedzach skrzętnie wyrywana i wynoszona przez gospodynie w płachtach służyła za karmę dla krów.

- Dziadku, podobno w każdej wsi była karczma?

- Z tego, co wiem, to karczmy miały charakter piwny bądź gorzelany. W piwnych sprzedawano piwo, a w gorzelanych gorzałkę pędzoną w gorzelniach, w majątkach dworskich. Podobno karczma piwna stała przy trakcie prowadzącym do Sarnak i do



*Fot.173. Krzaki kwitnącej tarniny są śladem po dawnej miedzy*

Mierzwic naprzeciw Nowych Mierzwic za obecnym przystankiem autobusowym. Druga karczma, karczma gorzelana stała przy drodze prowadzącej do Buga, jakieś sto metrów od drogi wiodącej przez Stare Mierzvice. Dalej na działce szkolnej stała szkoła. Dzieci uczyły się w niej cztery lata, niestety, tylko po rosyjsku. Pamiętam, jak w moim dzieciństwie na polu mojej matki wyorywało się jeszcze kamienie, które tworzyły fundament. Matka nie pamiętała tej szkoły, chociaż, gdzieś przy niej się urodziła. Pamiętała, że brat jej matki z żoną pracowali w niej, jako woźni. Palili w piecach i sprząkali.



*Fot.174. To też dawna szkoła, wybudowana na działce szkolnej tylko znacznie później*

Prawdopodobnie przy szkole było mieszkanie nauczyciela, a sama szkoła była kryta gontem lub dachówką. Za życia mojej matki, a twojej prababci już nie było karczmy i nie było szkoły.

- Dziadku, kto chodził do szkoły?



- Chyba nie zmuszano rodziców do posyłania dzieci do szkoły, bo wiele osób we wsi nie potrafiło, ani czytać, ani pisać. Niektórzy nie umieli pisać, a potrafili czytać, ponieważ uczyli się czytania na książeczkach do nabożeństwa, które pisane były po polsku. Niektórzy nie chcieli uczyć się w ruskiej szkole i też nie chodzili. Może to była tylko szkoła jednoklasowa. Dobrze nie wiem. Moja babcia umiała czytać drukowane litery, a nie potrafiła pisać. Córki nauczyły ją jedynie podpisywać się. Analfabeci pod dokumentami wymagającymi podpisu stawiali zwykle dwa krzyżyki. Dawne książeczki do nabożeństwa były grube i pisane dużym drukiem. Na pierwszych stronach zamieszczano informacje o panujących carach i ich rodzinie, za których należało się modlić. Bardzo często dzieci chodziły do szkoły tylko w zimie, ponieważ w lecie potrzebne były do prac w gospodarstwie, do pilnowania młodszego rodzeństwa, do pasienia zwierząt. Jeżeli zapytano starszego człowieka ile klas skończył, najczęściej odpowiadał, że do szkoły chodził dwie zimy, cztery zimy. Pamiętam takich ludzi. Byłem dzieckiem, gdy oni byli już sędziwymi starcami czy kobietami.

- Dziadku, mówiłeś, że w Mierzwicach był majorat.

- Zdaje mi się, że była to sprawa dość skomplikowana. Z akt moich dziadków wynika, że Trojan, który nabywali pochodził z majątku hołowczyckiego. Ktoś zapewne dzierżawił część mierzwicką, bo w Mierzwicach wybudowano budynki dworskie z małym dworem, a w miejscu, gdzie teraz znajduje się remiza strażacka stały dwa czworaki kryte słomą, w których mieszkało, co najmniej osiem rodzin. Były to rodziny fernali zatrudnionych we dworze.

- Dziadku, interesują mnie Nowe Mierzvice, miejsce urodzenia babci.

- Zbyt wiele nie mogę ci opowiedzieć o tej wsi. Tylko tyle, ile zapamiętałem z opowiadań starych ludzi. Na górze, w tej chwili zarośniętej lasem, stał

bardzo stary domek, który już był stary przed Pierwszą Wojną Światową, mieszkała w nim stara kobieta, miała krowę i małą obórkę. Własnej ziemi,



*Fot.175. Uczennice*



*Fot.176. Kohebrica. Tu przed stu laty stał mały domek, w którym mieszkała babuleńka uważana przez niektórych za czarownicę*

chyba ta babcia nie posiadała. Znała się na ziołach, które zbierała po okolicznych łąkach, lasach i ugorach. Podobno pod sufitem izdebki wszędzie wisiały wiązanki z suszonego zioła, którymi pachniała izdebka. Krowę pasła na poboczach gościńca będącego własnością gminy i nikt nie rościł pretensji do jego wyłącznego użytkowania. To miejsce nazywano Kohebicą, niektórzy uważali ją za czarownicę, ponieważ pomagała ludziom w różnych chorobach, to musiała być dobrą czarownicą. Podobno przez jakiś czas, na tej górcie, pojawiały się dziwne stwory, nawet wtedy, gdy po domku wszelki ślad zagań. Wieś zabudowana była bardzo gęsto. Dom stał przy domu, stodoła przy stodole. Stwarzało to duże niebezpieczeństwo pożarów, które niestety, od czasu do czasu, pustoszyły obie wsie. Szczególnie niebezpieczne były burze, bowiem od pioruna często zapalały się budynki. Od ognia bardzo pomocny okazał się święty Florian. Jego wizerunki często gościły na parapetach okien, podczas deszczu z wyładowaniami atmosferycznymi. Ciekawe, ale pioruny częściej były w budynki gospodarcze niż w domy. Całkiem nieźle zapewne je chroniły chatnie drzewa, o których już ci mówiłem. A tu tradycja związana z chatnimi drzewami ciągle była żywa. Z drugiej strony wsi na wygonie stał inny stary dom kryty strzechą. Tam też mieszkali ludzie. Własnej ziemi nie posiadali. Prawdopodobnie pracowali w lesie i z tego żyli. Ponadto las dawał im utrzymanie, ponieważ zbierali grzyby, jagody. Między wojnami w Mierzwicach Starych i we



*Fot.177. Wygon*

Fronołowie pojawili się letnicy, którzy chętnie kupowali zebrane runo leśne. Sami nie zajmowali się zbieractwem uważając, że robić tego nie powinni. Na letnisko przyjeżdżali ludzie bogaci. Miejscowi nazywali ich panami. Dalej w lesie stała gajówka. Budynek, który spotkasz idąc drogą w kierunku Fronołowa, wybudowany był znacznie później na miejscu, gdzie stała stara. Jako jedna z nielicznych dach miała zrobiony z



*Fot.178. Leśniczówka*

gontów. Gonty, to takie specjalne deseczki strugane z drewna opałowego ze specjalną szparą zwaną licem i drugą krawędzią cienko wystruganą nazywaną palcem. Podczas przybijania gontów do łat, tak je układano, aby palec wchodził w lico. Gonty wyrabiano w specjalnym urządzeniu zwanym gonciarką. Lica wycinało się strugiem z wąskim, zaokrąglonym ostrzem. Widziałem, jak je się



robiło, bo mój sąsiad trudnił się wyrabianiem gontów, a jego ojciec, którego nie pamiętam też to robił. Sąsiad był stary, gdy jeszcze byłem dzieckiem.

- Dziadku, skąd czerpano wodę?

- Na środku Nowych Mierzwic za stodołami znajdowały się stawy. Wykorzystywano je do pojenia bydła i innych zwierząt gospodarskich, a także do prania. Stawy nie były zwyczajne,

ponieważ znajdowały się w nich źródła i wypływająca woda była naprawdę smaczna. Od czasu do czasu mieszkańcy korzystający z wody czyścili źródła i w ten sposób urodziły się stawy. Niedaleko gospodarstwa twojej praprababci płynęła rzeczka. Żywot jej kończył się, gdzieś w rynsztoku. Ale podczas wilgotniejszych lat woda dopływała do samego wygonu. Żeby strumyk nie zabagniał wiejskiej drogi pilnowano, aby płynął uregulowanym korytem. W niektórych sadzawkach urządzono pralnie.



*Fot.179. Stara, drewniana, dawno nieużywana studnia*



*Fot.180. Studnia bardziej nowoczesna z kołowrotem z betonową cembrowiną też już dawno nie używana*

Gospodynie przynosiły tu różne rzeczy przeznaczone do prania. Najczęściej były to worki, duże sztuki bielizny, przykrycia, robocze ubrania. Podstawowym narzędziem okazała się kijanka, którą wybijało się zamoczone sztuki na specjalnym kamieniu lub podstawionym stołku. Podczas jednego takiego prania, omal nie doszło do tragedii. Babcia Krysia towarzyszyła swojej cioci, jako zupełnie mała dziewczynka. Kobieta zajęta pracą, od czasu do czasu, spoglądała

na małą siostrzenicę. W pewnym momencie mała, gdzieś znikła. Dobrze, że szybko zorientowała się, iż na dnie sadzawki leży jakiś kolorowy przedmiot, przypominający ubranie. Wskoczyła do wody i po chwili wyciągnęła niedoszlą topielicę z bajorka. Kilka porządnych klapsów w pupinkę przywróciło przytomność dziewczynce. Na szczęście, wszystko skończyło się na strachu, ale babcia miała zakaz wstępu w pobliże zdradliwych sadzawek. Budowano również studnie. Wody zalegały płytko pod powierzchnią ziemi.



*Fot.181. Krzyż na Wygonie*

Były to, wody zaskórne często będące źródłem nieprzyjemnych chorób, jak dur brzuszny, czerwonka czy wiele innych dolegliwości pochodzących od zakażonej wody. W starych studniach cembrowinę robiono z drewna, co jeszcze bardziej czyniło wodę niezdatną do picia. Dopiero później, już w czasach nam współczesnych zaczęto budować studnie ocembrowane betonowymi kręgami.

Mierzvice Nowe miały przeważnie wodę zaskórą niezbyt zdrową i niezbyt



*Fot.182. Figurka Świętego Jana Niepomucena na skrzyżowaniu dróg w Mierzvicach Starych*

smaczną. W Mierzvicach Starych, było kilka studni czerpiących wodę z większych głębokości: smaczną, zdrową i gruntową. Doskonałym sprawdzianem jakości wody była grochówka, która wyróżniała się szczególną wrażliwością na jej jakość. Potem doszła jeszcze herbata. Zaparzona wodą, z niektórych studni nie nadawała się do picia. Wiele studni zbudowano również na ciekach zaskórnych. Stamtąd zaczynały się różne groźne dla mieszkańców epidemie. Pamiętam tuż po wojnie epidemię czerwonki. Mieszkańcy czerpiący wodę z płytkich studni masowo zapadali na tę chorobę, gdy ci, którzy mieli wodę zdrową nie chorowali. Na szczęście poza jednym zgonem dziecka wszyscy z choroby wyszli.

- Dziadku, zauważyłem, że na początku i końcu wsi są krzyże.

- Jesteś dobrym obserwatorem. Kiedyś krzyże stawiano na rozstajnych drogach i na początku i końcu wsi, również wzdłuż traktów. Miały

chronić mieszkańców przed nieszczęściami. Stawiano krzyże z różnych okazji, jako: przebłagalne, dziękczynne, wotywnie. Zamiast krzyży mogły, to być figurki. Najczęściej spotyka się niepomuki, czyli figurki świętego Jana Niepomucena.

- Dziadku z twego opowiadania wynikało, że przez wieś biegły ulice piaszczyste, błotniste, a teraz w Mierzvicach Starych jest asfalt, a w Nowych „kocie łby”?

- Ulice w obu wsiach wybrukowano jeszcze przed wojną. Asfalt w Mierzvicach



*Fot.183. Most kolejowy we Fronołowie*



Starych leży już kilkanaście lat, jest to zupełnie nowa nawierzchnia.

- Dziadku mówiłeś, że Fronołów tak został nazwany na cześć inżyniera rosyjskiego budującego kolej.

- Było to wielkie wydarzenie. Na początku dwudziestego wieku zbudowano kolej żelazną z Siedlec do Czeremchy i dalej. Przed Bugiem powstał przystanek. Wzdłuż torów w tym samym stylu wybudowano, co kilkaset metrów, domki zwane budkami. Zamieszkiwały je rodziny dróżników odpowiedzialnych za utrzymanie w dobrym stanie odcinka torów. Miałem jednego dziadka ze strony matki, który też był takim dróżnikiem, mieszkał z rodziną w budce po drugiej stronie rzeki. Za rzeką też powstała stacja, większa niż Fronołów z bocznicami i rampą dla przeładunku towarów. Stację nazwano Siemiatyczami od nazwy miasteczka Siemiatycze odległego o kilka kilometrów od torów. Dziadek mieszkający w budce wkrótce wybudował sobie dom na zakupionej działce na



*Fot.184. Gdzieś w pobliżu tej wyspy dowożono kolejką wąskotorową letników na nadbużańskie plaże*

stacji Siemiatycze. Wkrótce tu powstała osada. Fronołów tak się nie rozwinął. Stacja i okolice leżały na ziemiach majątku, który za cara był majoratem. Nie wiem, co się działo we Fronoławie do wybuchu Pierwszej Wojny Światowej. Na samym początku wojny Niemcy wybudowali tu tartak i kolejkę wąskotorową prowadzącą w głąb mierzwickich lasów. W „białym dworku” umiejscowił się zarząd tartaku. Nie wiem czy budynek istniał wcześniej, czy też został wybudowany przez Niemców podczas wojny. W tartaku Niemcy zatrudniali jeńców wojennych pochwyconych z carskiej armii. Traki napędzała parowa lokomobila opalana trocinami. Po wojnie tartak istniał jeszcze przez dwa lata i spłonął. Może podczas wojny polsko-bolszewickiej. Tory kolejki rozebrano. Pozostało po niej przez jakiś czas wspomnienie w nazwach. Po reformie rolnej majątek nad Bugiem rozparcelowano. We Fronoławie dużą działkę dostał Polski Czerwony Krzyż. Wybudowano kilka domków, w których w lecie zaczęli mieszkać letnicy. Nasz kuzyn wydzierżawił kawałek pola i domek, i osiedlił się tam z rodziną. Stara kolejka została zmodyfikowana. Jeździła na stację Fronołów, kawałek w las i do Buga. Do

stacji Siemiatycze. Wkrótce tu powstała osada. Fronołów tak się nie rozwinął. Stacja i okolice leżały na ziemiach majątku, który za cara był majoratem. Nie wiem, co się działo we Fronoławie do wybuchu Pierwszej Wojny Światowej. Na samym początku wojny Niemcy wybudowali tu tartak i kolejkę wąskotorową prowadzącą w głąb mierzwickich lasów. W „białym dworku” umiejscowił się zarząd tartaku. Nie wiem czy budynek istniał wcześniej, czy też został



*Fot.185. Po wojnie fronołowska rodzina znalazła przystań w pobliżu Kętrzyna*

dnia dzisiejszego istnieje wzdłuż drogi prowadzącej do rzeki przekop przez wydnię. Tędy biegły tory. Składała się z jednego wagonika, w którym było około sześćdziesięciu miejsc siedzących. Ciągały ją konie. Wacek Karwacki z Mierzwic Starych, powoził. Do pomocy miał jeszcze jednego młodego człowieka, który pełnił funkcje hamulcowego. We Fronołowie w latach



*Fot.186. Współczesne zdjęcie satelitarne Fronołowa*

dwudziestych i trzydziestych dwudziestego wieku organizowano obozy harcerskie. Harcerze mieszkali w domkach wybudowanych przez PCK. W 36 roku zbudowano drewnianą kaplicę, w której ksiądz z Sarnak odprawiał mszę świętą. Wcześniej w sezonie letnim odprawiano tu msze polowe. Zdarzało się, że gośćmi byli kapelani. W październiku 1939 roku Niemcy wybudowali tu strażnicę otoczoną wałami i wzmocnioną zasiekami z drutu kolczastego. Do dzisiaj można oglądać resztki wałów, które pozostały z dawnych czasów. Nasza rodzina została przesiedlona do „białego dworku”, a jeden z budynków mieszkalnych stojący poza wałami przekształcono w budynek gospodarczy i stodołę. W kierunku Mierzwic prowadziła aleja wysadzana włoskimi topolami. Resztki alei można jeszcze zobaczyć. Wzdłuż alei również rosły klony. Młode świerki rosnące przy ścianach „białego dworku” zachowały się do dzisiaj, chociaż po dworku pozostały tylko betonowe fundamenty. Po wojnie nasza rodzina wyjechała na Ziemię Odzyskane i tam się osiedliła.

- Zdaje mi się, że niedawno ich odwiedzałeś?

- Wnusi, dobrze ci się zdaje. Spotkałem tylko jednego mieszkańca Fronołowa. Pozostali już odeszli i spoczywają na różnych cmentarzach. Seniorzy na cmentarzu w Kraskowie.

- Dziadku, co się stało z majątkiem?

- W latach dwudziestych rozparcelowano majątek nad Bugiem, który, wówczas należał do państwa. Powstały Kolonie Mierzvice ciągnące się od mostu kolejowego prawie do drogi biegnącej z Sarnak do rzeki. Trzy parcele zostały zasiedlone za torami. Nabyli je Karwaccy, Wereszczakowie i Marciniukowie. W tej chwili egzystują gospodarstwa Karwackich i chyba Wereszczaków. Marciniukowie ulokowani



*Fot.187. Ostatni mieszkaniec Fronołowa, pochodzący z naszej rodziny, który potrafił opowiedzieć o dawnych dziejach miejscowości*



nad samym Bugiem zamienili gospodarstwo na daczę, które pokryły całą dawną parcelę. Od mostu w kierunku lasu zwanego obozem osiedlili się Bogdaniukowie wywodzący się z Buszki, Szopluki, Bobińscy wżeni w Weremczuków, albo odwrotnie, Chalimoniukowie, Jeżewscy, Maksymiukowie, Osypiuki, Daniluki, Kordaczuki i Radzikowscy. Większość z nich wywodzi się ze Starych Mierzwic. Tu mieli swoje korzenie. Z dawnych osadników już nie pozostał nikt. Część gospodarstw przekształciła się w zbiorowisko dacz szczególnie te, leżące za lasem. Od lasu do Mierzwic ziemie są uprawiane. Dawna działka szkolna została podzielona i sprzedana, pozostał z niej niewielki skrawek, na którym wybudowano szkołę i remizę. Wcześniej zbudowano remizę. Szkołę w stanie surowym zastała wojna. Przez kilka lat pełniła funkcję obwałowanej i odrutowanej strażnicy, którą nazywaliśmy wachą. Zasięki z drutu kolczastego bezpośrednio przylegały do ścian mojego sędziwego domu



*Fot.188. Bug – rzeka graniczna. W 39 i 40 roku takimi psychówkami przierzucano przez rzekę ludzi i towary*

Prawdziwe obozy organizowano w lesie nad Bugiem. Do dzisiaj ten fragment lasu nazywa się Obozem, chociaż już nikt nie wie, skąd się wzięła taka nazwa. Las porastały wiekowe dęby i sosny, a między nadbużańskimi łąkami i drogą wiodącą wzdłuż Kolonii znajdowała się duża polana, na której wzniesiono krzyż. Na polanie harcerze rozbijali namioty i wędli prawdziwe obozowe życie. Przy krzyżu zorganizowano kaplicę polową, w której kapelan odprawiał msze i inne nabożeństwa. Trzymano warty. Nad obozem powiewała flaga narodowa. Opuszczano ją na czas noclegu. Po pobudce, na porannym apelu flaga wciągnięta na maszt obwieszczała, że tu są harcerze. Owo harcerstwo było prawdziwą szkołą patriotyzmu. Zawsze

rodzinnego. Bug na dwa lata stał się rzeką graniczną. Granica znowu dzieliła Podlasie. Przed wojną w gospodarstwie Kordaczuków mieściła się piekarnia, w której wypiekano chleb na potrzeby wczasowiczów zamieszkujących Fronołów oraz harcerzy obozujących we Fronołowie i na obozach leśnych.

- Mówiłeś dziadku, że organizowano obozy harcerskie we Fronołowie?
- Tamte miały cieplarniane warunki.



*Fot.189. Remiza strażacka – wygląd współczesny. Pod jasnym tynkiem kryją się ściany, które zbudowali nasi ojcowie i dziadowie*

chciałem być harcerzem, chociaż nigdy nim nie zostałem. Późniejsze harcerstwo nie koniecznie służyło Polsce.

- Co tu się działo w czasie wojny?

- Na Koloniach było kilku ludzi, którzy zajmowali się przetrzucaniem ludzi i towarów na drugą stronę. Z okupacji niemieckiej masowo uciekali Żydzi do okupacji sowieckiej. W lecie często przeprawiano się w pław lub przy pomocy puchówek. Początkowo granica nie była zbyt szczelna i wielu ludziom udało się pokonać granicę i rzekę.

- Dziadku, chciałem jeszcze zapytać o jedną rzecz? W lecie z kolegami często chodzę do remizy strażackiej na ubaw. Czy coś potrafisz o niej powiedzieć? Znasz jej historię?

- Trochę znam. Na Gnoiskach wieś miała wspólny kawałek lasu. Rosły w nim dość wiekowe sosny nadające się na materiał budowlany. Postanowiono, więc wybudować remizę i szkołę. Młodzi mężczyźni z obu wsi i Kolonii tworzyli



*Fot.190. Budowa stodoły według nowych zasad. Szkielet zbudowany z bali obijano deskami i opołami*

oddział ochotniczej straży pożarnej. Prawie wszystkie budynki w okolicy zbudowane były z materiałów łatwopalnych. Wielu starszych pamiętało potworny pożar, który strawił połowę Mierzwic Starych w 1916 roku, podczas działań wojennych. Zdarzały się pożary od pioruna. Również ludzkie błędy często powodowały, że w ogniu przepadał cały dorobek życia. Za swego życia pamiętam tylko jeden pożar w Mierzwicach, gdy spłonął od palącej się w kominie sadzy budynek mieszkalny Kołtuniaka, stojący na skarpie bużańskiej. Blisko stały budynki gospodarcze, ale szczęśliwie udało się je uratować. Przed wojną spaliła się stodoła u mego

kuzyna na wskutek uderzenia piorunu. Tamtego pożaru nie pamiętam. Odbudowana stodoła wyróżniała się, ponieważ zbudowana była z desek, gdy inne z solidnych bali. Deski przybito do rusztowania z belek. Straż była niezwykle użyteczną organizacją. Pod koniec lat dwudziestych stanął budynek remizy z garażem na sprzęt strażacki, z dużą salą przeznaczoną na zabawy ze sceną, która pozwalała wystawiać sztuki teatralne przygotowywane przez młodzież pod kierunkiem nauczyciela. Wokół remizy kwitło życie kulturalne i towarzyskie. Po wybudowaniu, odbyło się uroczyste poświęcenie z udziałem księży i strażaków również z sąsiednich miejscowości, ubranych w mundury i lśniące kaski. Do wojny nie zdołano wykończyć budynku szkolnego.

- Dziadku, to bardzo ciekawe, chyba zainteresuję się historią.

- Przepatrzyliśmy historię tych ziem od średniowiecza po czasy dzisiejsze. Starłem się przekazać ci wiedzę, jaką sam posiadałem, chciałbym, abys w przyszłości zrobił to samo dodając historię, która dopiero się urodzi.

- Dziadku, chyba tak zrobię?



## *IX. Szkoła. Uczniowie*

- Dziadku, trochę mówiliśmy o szkole. Twierdziłeś, że za cara we wsi była szkoła rosyjska.

- Potwierdzam. Niestety, nie wiem czy kto z mojej rodziny, czy z rodziny mojej babci chodził do szkoły. Babcia babci Krysi, Juliśka umiała czytać i trochę pisała po rosyjsku. Pochodziła z Klepaczewa, więc zapewne tam pobierała nauki.

- W Mierzwicach Starych była szkoła.

- Do niej mogły chodzić dzieci tylko z Mierzwic Starych i Nowych. Może jeszcze, jakie dzieci dworskiej służby. W niektórych dworach bywał zwyczaj, że pani dziedziczka lub jej córka uczyły niewielkie grupy chłopskich dzieci pisania, czytania, liczenia. Czy tak było w Mierzwicach zupełnie nie wiem. Wydaje mi się, rzeczą mało prawdopodobną. Ziemie były w zarządzie rosyjskim. Nikt z właścicieli nie był zainteresowany, aby uczyć tutejsze dzieci po polsku. Natomiast wiem, że kilkoro dzieci, głównie chłopców chodziło do



*Fot.191. Zaraz po odzyskaniu  
niepodległości w budynku prywatnym  
na prawo od studni mieściła się szkoła*

rosyjskiej szkoły i potrafiło czytać i pisać po rosyjsku.

- W czasie wojny żadnej nauki nie było?

- Chyba nie. Wieś w połowie spalona z trudem lizała rany. Gnębiły choroby. Hiszpanka też musiała zebrać swój plon. W dodatku podczas wojny panowała we wsi ospa. Wieś powoli odbudowywała się. Powstawały nowe domy z litych bali. Kryte gontem lub częściej dachówką. Wyglądały elegancko i schludnie.

W jednym z takich domów ledwie wykończonych dzieci rozpoczęły naukę. Jeden nauczyciel uczył wszystkiego. Była to młoda energiczna dziewczyna. Matka nazywała ją Natałką. Tak naprawdę nazywała się - Natalia Bondarówna lub jakoś podobnie. Sądzę, że zaczęto nauczać dzieci dopiero w wolnej Polsce, albo w ostatnim roku wojny. Do szkoły na pewno chodziła babcia Kazia, rodzona siostra babci Łodzi no i sama babcia Łodzia, ich brat Janek, i wiele innych dzieci. Edukację zakończyły na czterech klasach, chociaż Janek kontynuował naukę w Sarnakach, gdzie ukończył siedem klas. Pomieszczenie



*Fot.192. Dzieci uczyły się  
przyrody w lesie*

szkolne składało się z jednej sali, w której ustawiono specjalne ławki. Zrobił je miejscowy stolarz. Ławka składała się z masywnego pulpitu i połączonego z nim siedzenia. Pod pulpitem znajdowała się półka na zeszyty i książki. W przedniej części pulpitu wywiercono specjalny otwór, w którym umieszczono kałamarz z atramentem. Wyżłobiona rynna pozwalała na wygodne ułożenie przyborów pisarskich. Pisało się na specjalnych tabliczkach – i w kajetach, tak nazywano zeszyty. Używano czterech rodzajów kajetów do polskiego w dwie i jedną linię, do matematyki w kratkę i do rysunków czysty. W starszych klasach pisano w zeszytach w jedną linię. W pierwszej i drugiej klasie dzieci pisały ołówkiem. Dopiero od połowy trzeciej zaczęto pisać piórem. W tym samym



*Fot.193. ...na łące...*

czasie nauczyciel uczył dwie klasy pierwszą i drugą, a potem trzecią i czwartą, albo odwrotnie. Przybory szkolne nosiło się w specjalnych torbach uszytych przez troskliwe matki. W pierwszej klasie dzieci uczyły się pisania i czytania oraz liczenia. Na polskim i na matematyce, która wtedy nazywała się rachunkami dzieci uczyły się oddzielnie raz pierwszaki, drugi raz drugaki. Kiedy jedna klasa miała zajęcia głośno, to druga cicho. I tak na zmianę. Religii, śpiewu, rysunków i gimnastyki dzieci uczyły się razem. W klasie trzeciej dochodził przedmiot, który nazywał się przyrodą żywą, a w czwartej trzy inne: przyroda martwa, historia i geografia. Na przyrodzie żywej uczono biologii, a na przyrodzie martwej podstaw fizyki i chemii. Historia dotyczyła Polski i przedstawiano ją w interesujących obrazkach. W podręczniku geografii była nawet mapka najbliższej okolicy. Obejmowała Fronołów, Kolonie Mierzvice i Mierzvice. Kiedyś taki podręcznik widziałem. Wydany był w latach trzydziestych, kiedy Kolonie już istniały.

- Dziadku, dzieci chodziły na wycieczki?  
 - Oczywiście, pod bokiem był las, rzeka, łąka. Nauczycielka chciała pokazać wiele rzeczy w naturze. Na wycieczkach dzieci uczyły się poznawać świat. Trochę wyglądało to inaczej, niż niektóre wycieczki organizowane teraz. Dzieci uwielbiały wycieczki. Uczono się na



*Fot.194. ...znowu w lesie...*



*Fot.195. Być może młody adept nauk wyzwolonych tu odkrył wulkan*



nich przyrody, geografii...

- Dziadku, nauka wyglądała chyba inaczej niż teraz?

- Oczywiście. Nie było pomocy naukowych, kolorowych podręczników tak, jak współcześnie, drukowanych zeszytów. Nauczyciel był ważnym źródłem wiedzy. Zdarzały się nieraz bardzo zabawne historie. Opowiadała mi kiedyś Kazia, moja ciocia, jak na lekcji przyrody o wulkanach, zgłosił się jeden z jej kolegów, twierdząc, że on widział wulkan. Zaskoczona nauczycielka próbowała dociec, gdzie ten mały zuch, który nigdy nie opuścił wsi, widział wulkan.

- A proszę pani u nas na podwórku

- Na podwórku?

- Tak, na podwórku, pod chlewem, gdzie tato trzyma świnie, gnojówka od czasu do czasu robi takie bum, bum.

Na początku każdej lekcji było odpytywanie. Ta sama pani wyzwała innego ucznia do odpowiedzi. Stał w ławce i rzekł: „Korona i Litwa”, po chwili powtórzył: „Korona i Litwa”, i jeszcze raz powtórzył. Wreszcie wydusił z siebie: „Proszę pani, ja się nie nauczyłem, bo musiał paść krowę”. Do końca nauki szkolnej, a nawet trochę później, nazywano go Korona i Litwa. Niektórzy przydomki sobie sami tworzyli przez różne śmieszne historie.

- Czym się to zakończyło?

- W dawnej szkole na straży ładu i porządku, oraz jako zachęta do systematycznej nauki stała długa linijka, wskazówka do pokazywania na tablicy, zaciszny kąt w klasie. Dzieciaki zawsze psociły. Na porządku dziennym były łapy. Egzekwowano je mniej więcej w ten sposób, delikwent stawał przed nauczycielem i wyciągał otwartą dłoń przed siebie, wtedy nauczyciel wymierzał kilka razy linijką, wskazówką lub specjalnym



*Fot.197. ...lub na tej...*



*Fot.196. W zimie dzieciaki gimnastykowały się na tej górcie, najczęściej po lekcjach*

kijkiem. Te narzędzia wychowawcze stosowano bardzo często i muszę przyznać, że były skuteczne. Za nienauczoną lekcję można było dostać kilka łap linijką, co było mniej bolesne lub wskazówką, co już mocno bolało. Nauczyciel do dyspozycji miał jeszcze oślą ławkę, gdzie sadzał notorycznych leni. Za mniejsze przewinienia stało się w kącie, za większe klęczało, a za jeszcze większe klęczało na grochu, gryce,

drobnych kamykach, z wyciągniętymi do góry rękami. Za nieodrabianie lekcji siadywało się w kozie, czyli zostawało w klasie po lekcji, wówczas należało odrobić zaległości, nauczyć się zadanej lekcji.

- Rodzice nie protestowali?

- Jeżeli winowajca poskarżył się matce, a co gorsza ojcu, że w szkole dostał lanie, to w domu dostał dodatkową porcję, znacznie uciążliwszą, niż tę od nauczyciela. Kary cielesne należały do podstawowych środków wychowawczych.

- Nie mieli uczniowie lekkiego żywota.

- Kary bardzo nie przeszkadzały. Psocili wszyscy tak, jak i teraz, to robią. Wszelkie odstępstwa od normy regulowano często przez tyłek. Między uczniami krążyły różne recepty na zmniejszenie dolegliwości związanych z zetknięciem się tej części ciała z rodzicielskim pasem lub, co gorsza, różgą. Wiem, że jedną z recept było nacieranie pupy specjalnymi miksturami zrobionymi z czosnku i terpentyny, podobno bardzo łagodziły udreki związane z odbieraniem kary. Nie sprawdzałem. Inni preferowali specjalne wkładki na tyłek z cienkiej tektury lub deseczki. Niektórzy rodziciele rzadko wymierzali kary, zazwyczaj raz do roku w terminie wyznaczonym przez rodzica. Niestety, dostawało się wtedy na gołą kijem osobiście przyniesionym z lasu. Ławę też należało ustawić samemu i bez specjalnej zachęty odsłonić pupę i położyć się na niej. Ojciec egzekucje wykonywał bez złości. Metoda chyba była niezła, bowiem ojciec nie nadużywał siły, którą dysponował.

- Dziadku podobno uczniowie w szkole dawali przedstawienia?

- W ciągu roku przygotowywało się kilka przedstawień, na które zapraszano, rodziców i innych mieszkańców wsi. W okolicach Bożego Narodzenia uczniowie zawsze wystawiali Jasełka, potem były jeszcze inne przedstawienia. Opowiadała moja ciotka zdarzenie, którego była naocznym świadkiem. Otóż przed świętami uczniowie wraz z nauczycielką zwrócili się do właściciela budynku, gdzie mieściła się szkoła, aby pozwolił im wystawić przygotowaną sztukę. Wtedy innych pomieszczeń nadających się do tego celu we wsi nie było. Trochę zaskoczony gospodarz, próbował zbyć proszących żartem. Z jakiegoś bliżej nie znanego powodu nie miał ochoty na udzielenie zgody. Na nachalne naleganie rzekł, zaraz pokażę wam przedstawienie. Stał przed klasą, spuścił spodnie i wdzięcznie odchylił się wypinając tylną część ciała na klasę i nauczycielkę, przy tym wołając - oto macie przedstawienie. Nie wiem czy tyłek osłonięty był kalesonami, czy też zademonstrował goły. Historia o przedstawieniu w



*Fot.198. W takim lesie zawsze znajdowało się coś odpowiedniego dla siebie*



wykonaniu tego pana długo krążyła między mieszkańcami obu wsi. Po wybudowaniu remizy i zrobieniu sceny wszystko się zmieniło. W każdym roku dzieci szkolne i młodzież starsza ze wsi wystawiali jakieś sztuki. Reżyserowali nauczyciele. Ważne, że mieli ochotę na pracę, za którą nie otrzymywali wynagrodzenia. Inne to były czasy. Zadebiutowałem w Jaselkach, jako bardzo młody uczeń, a wydaje mi się, że do szkoły jeszcze wtedy nie chodziłem. Zagrałem odpowiedzialną rolę pastuszka bez mówienia czegokolwiek.

- Dziadku, w szkole cały czas pracował ten sam nauczyciel?



*Fot.199. Uczniowie*

pokonać wertepy nie istniały. Najbardziej niezawodnymi były konie z wozem lub saniami. Po kilku latach pracy pani Natalii przyszła druga dziewczyna. Wkrótce stała się żoną Bronisława Daniluka o przydomku Gubernator. Przydomek tu był, jak najbardziej na miejscu, ponieważ we wsi mieszkało czterech Bronisławów Daniluków. Zdaje mi się, że pozostawała w Mierzwicach do samej wojny.

- Dziadku, dzieci chętnie chodziły do szkoły?

- Wyobraź sobie, że chodziliśmy z przyjemnością. To są moje wspomnienia. Starsi ludzie, którzy chodzili do szkoły wspominają ją również z sentymentem. Nie było czegoś takiego, jak wagarowanie. Nie obchodziło się święta wagarowicza, święta ziemi, nie zbieraliśmy papierków po lasach, nikt specjalnie nie śmiecił. Do szkoły chodziło się, a właściwie biegało. Przed wojną szkoła stała na górcie i w zasadzie z każdej strony było pod górkę. Najdalej musiały biegać dzieci z Nowych Mierzwic, ale też, to chętnie robiły. Twoja prababcia Frania miała prawie dwa kilometry do szkoły inni mieszkali jeszcze dalej. Z

- Nie. Zazwyczaj po kilku latach przychodzili nowi, a starzy odchodzili. Warunki pracy były ciężkie. Nauczyciele mieszkali kątem u gospodarza. Oświetlano mieszkania lampami naftowymi. Nie było radia i telewizji. Nie było elektryczności. Jesienią i zimą następowały długie wieczory i nie wiadomo było, co robić z czasem, również bardzo trudno wydostać się zewnątrz wsi, ponieważ śniegi zasypywały drogi i praktycznie żadne środki lokomocji zdolne



*Fot.200. W zimie śniegi czasem tak zasypywały drogi, że do szkoły stawało się daleko*

powrotem też dzieciaki wracały do domu biegiem tym razem było lepiej biec, bo z górki. W zimie przeszkadzały śniegi, które bywały obfite, a zasp pełno. W wielu rodzinach były jedne buty. Czasem użyczano buciory starszego



*Fot.201. Kobiety i dzieci chętnie chodziły na bosaka*

rodzeństwa. Buty mogły być wielkim problemem. Na wiosnę od piętnastego kwietnia i jesienią do połowy października większość kobiet i dzieci chodziła bosą. Do szkoły też chodziło się na bosaka. Dzieci bardzo lubiły to robić. Nogi się hartowały, skóra na piętach i podeszwach grubiała. Niestety, zdarzało się, że na drodze młodego obywatela stawał kamień i palec łądował na chropowatej powierzchni kambulca. Spotkanie nigdy nie

kończyło się dobrze dla palca. Zbite i obolałe paluchy leczyło się najlepszą zasypką, jaka była pod ręką – piaskiem. Krew szybko przestawała płynąć i można było hasać dalej. Do kościoła kobiety i dzieci, oraz, niektórzy mężczyźni też chodzili bosą. Dopiero przed Sarnakami nad Sarenką myło się nogi w strumieniu i wkładało buty. Do kościoła wszyscy wchodzili w butach. W drodze powrotnej znowu zdejmowało się obuwie i wracało na bosaka.

- Choroby nie dokuczały?

- Dokuczały, ale przeziębień było mniej niż obecnie. Ludzie byli silniejsi i odporniejsi na zarazki. Otoczenie też nie było skażone cywilizacją. W latach dwudziestych nikt w Mierzwicach



*Fot.203. Przy tej figurce krzyżował się gościniec i ścieżki*

jeszcze nie widział samochodu. Z pociągami już się stykano, chociaż nie każdy jechał.

- Dziadku, jaką drogą chodziły dzieci z Nowych Mierzwic do szkoły w Mierzwicach Starych?

- Z brzegu wsi najbliższej było do gościńca. Koło figurki Demianiuków zaczynała się ścieżka przez pola, która wiodła prosto do szkoły. Późną wiosną dokoła rosły zboża tylko głowy wyglądały spomiędzy kłosów żyta.



*Fot.202. Niektóre domy tak wyglądały*



Od domu babci Frani biegła ścieżka przez pola prosto do szkoły. Tą ścieżką biegła Frania i wszystkie dzieci mieszkające we wsi od strony wygonu. Czasem spod nóg



*Fot.204. Budynek szkoły z prawdziwego zdarzenia - widok współczesny. Szkoły tu już dawno nie ma*

wyskoczył zając lub lis, który potrafił napędzić sporo strachu dziewczynom. Dzieci uczyły się w dzień. W zimie ścieżką nie dało się przejść, było za dużo śniegu. Wszyscy chodzili wyjeżdżoną przez sanie drogą. Przed wojną szkoła kilkakrotnie zmieniała siedzibę. W 1941 roku wybuchła wojna sowiecko - niemiecka. Dwaj nieprzyjacni nam najeźdźcy rzucili się sobie do gardła. Bug przestał być granicą. Przeniesienie do nowego miejsca nastąpiło, podczas wojny, gdy Niemcy opuścili strażnicę w Mierzwicach. W czasie wojny

pojawiła się rodzina nauczycielska – Domańscy. Pamiętam, że na pewno mieli córkę, która bardzo chętnie zajmowała się moją nauką. Byliśmy sąsiadami, więc państwo Domańscy odwiedzali ojca z matką. Byłem najstarszym w rodzinie kandydatem na ucznia. Dzięki ojcu i tej dziewczynie umiałem pisać i czytać, trochę rachować. W 44 roku zostałem przyjęty do drugiej klasy. Nie miałem jeszcze siedmiu lat. Droga do szkoły dla nowomierzwiczian bardzo się skróciła. W latach trzydziestych pojawili się uczniowie z Kolonii Mierzvice. Niektórzy z nich mieli daleko do szkoły.

- Podobno budynek szkolny mieścił się za zasiekami z drutu kolczastego i za wałami.

- Tak. Do szkoły zapisano teraz pokaźną grupę uczniów, przez kilka lat nie funkcjonowała, więc nabierało się sporo młodzieży przerośniętej. Zebrano ławki szkolne skąd się tylko dało. Przed wszystkim ze starej szkoły. Żeby jakoś towarzystwo pomieścić, zaczęto ściągać stoły, ławy od ludzi i zastawiać klasy. Jak to się mówi, każdy pies z innej budy. Wystrój słabo przypominał klasę z uwagi na meble. Na szczęście jedna tablica była, a drugą skądś ściągnięto. Za Wisłą jeszcze panoszyli się Niemcy. Toczyły



*Fot.205. To już są powojenni uczniowie. Zdjęcie zrobiono na frontowych drzwiach remizy strażackiej*

się walki, a my zaczynaliśmy naukę. Starsi uczniowie zostali zaangażowani w rozbiórkę zasieków. Pomagali w tym rodzice. Zасыpywaliśmy rowy, niwelowaliśmy teren. Prace te ciągnęły się ponad rok. Wreszcie znikły obwałowania i druty. Powstało normalne boisko. Z części przylegającej do naszego domu, wydzielono ogród. Każdy uczeń miał swój zagonek, być może połowę. Sieliśmy i sadzili z niezwykłym zapałem. Po paru latach już za rządów kierownika szkoły pana Matyjaska założono sad. Kopaliśmy wielkie rowy, które zalewaliśmy zawartością latryn. Mieszaliśmy z piachem i słoniastym obornikiem. W tak przygotowany grunt wsadzaliśmy młode drzewka grusz i jabłoni. Też miałem swoje drzewko. Żoną pana Matyjaska była nauczycielka mojej matki Natalia Bondarówna. Wyszła za mąż za Matyjaska i teraz wrócili do Mierzwic. Mieszkanie mieli w szkole. W dwóch, a potem w trzech salach mieściły się klasy przy szerokim i wygodnym korytarzu.

Bez przerwy coś robiliśmy przy szkole zakładając rabatki kwiatowe, sadząc ozdobne krzewy. Do dziś rosną przy bramie dwa potężne krzaki karagandy przyniesione z Fronołowa. Na wiosnę żółto kwitną. Żyją do dziś.

- Dziadku, jak odbywała się nauka?

- Najbardziej utkwiała mi w pamięci nauka czytania. W owych czasach czytało się sylabami. Większość uczniów do najlepszych czytelników nie należała. Niektórzy strasznie torturowali sylaby. podczas czytania. Czytających słysząc było w połowie wsi, szczególnie wtedy, gdy okna były otwarte. Z głębi gardzieli wydobywały się jęki, zgrzytnięcia, westchnienia, pomruki, porykiwania. Postronny słuchacz mógł pomyśleć, że w ładnym budynku dokonuje się każł ludzi i słów. Potępięcy doznają niesamowitych mąk. A to tylko rodziły się sylaby. Czytający nie zawsze na czas mógł rozpoznać właściwą literkę, więc przerwy wypełniał dźwiękami typu: eee..., yyy..., uuu... w zależności od przyjętej techniki czytania. Jęki, westchnienia niosły się w siną dal. Należało mieć mnóstwo samozaparca, aby w ledwie artykułowanych dźwiękach rozpoznać, jakieś słowa. Książek było mało, uczyliśmy się czytania na różnych książkach przedwojennych. Pisaliśmy też na bardzo różnych podkładkach. Powoli pojawiały się zeszyty z prawdziwego zdarzenia. Kałamarze napełnialiśmy atramentami własnej produkcji. Robiło się z kopiowych ołówek - stosunkowo niezłe, z owoców dzikiego wina - znacznie gorsze. Stałówki też były bardzo lichej jakości. W dodatku muchy popełniały masowe samobójstwa w naszych kałamarzach, a to przez wyborny smak lekko scukrowanego soku z dzikiego wina. Nieboszczki wkłuwane na pióra spadały na czyste kartki pstrząc je wyśmienitymi kleksami. Kleksy i tak spadały nie wiadomo, dlaczego i, z jakiej okazji? Pisarze brudzili twarze ręce i ubrania. Kleksy z ubrań trudno się wywabiały.

- Dziadku naprawdę tak było?

- Naprawdę. Były to czasy pionierskie. Tak się dziwnie składa, że prawie całe swoje życie przeżyłem w czasach pionierskich.

- Dziadku, mogę ci tylko zazdrościć.



## X. *Ora et labora*

- Dziadku, rok kościelny zaczyna się Adwentem?
- Oczywiście, wie o tym każdy katolik.
- Dziadku, mnie interesuje, jak dawni mieszkańcy Mierzwic i zapewne Podlasia łączyli swoje przywiązanie do wiary katolickiej i do ziemi?
- Wnusię zadajesz mi bardzo trudne pytanie. Rolnicy w większości bardzo kochali swoją ziemię. Rytmy przyrody wyznaczały i narzucały konieczność wykonywania pewnych czynności. Adwent zaczynał się pod koniec listopada lub na początku grudnia wszystko zależało od miejsca, jakie zajmowała w kalendarzu pierwsza z czterech niedziel poprzedzających Boże Narodzenie. W



*Fot.206. W Adwencie poszczono wszystkie piątki, soboty i środy*

dawnych czasach grudzień, jak sama nazwa wskazuje, bywał mroźny i mrozy skuwały ziemię lodem, tworzyła się gruda. Padały śniegi. Zazwyczaj okolica pokryta była grubą warstwą śniegu. Bug zamarznięty. Od czasu do czasu przechodziły wiatry, nieraz bardzo silne. Zawieje i zamiecie usypywały wysokie zasy na drogach i w obejściu. Zima dodawała roboty. Trzeba odgarniać śnieg, aby dostać się na podwórze, do studni, ubikacji, do drwalki, do chlewów. Ruchliwość mieszkańców wyraźnie malała. Nikt nie chodził na pole, na łąkę. Życie zamykało się w obrębie własnego gumna. Kobiety powoli przygotowywały się do świąt Bożego Narodzenia. Mężczyźni zajmowali się młócką, szczególnie wtedy, gdy na dworze był mróz, a zboże dobrze sypało w mroźnym i suchym powietrzu. Można słabiej walić cepem o klepisko, a ziarno łatwiej wysypywało się z kłosów. Adwent, to okres oczekiwania. Poszczono wszystkie piątki. Obowiązywał post ścisły. Mleko, jaja, sery - teraz dania postne, dawniej nie były spożywane podczas postu. Jedzono chleb z wodą, ziemniaki bez omasty, gotowany groch kraszony olejem, postną kapustę też z olejem. W piątek obowiązywał post nie tylko jakościowy, ale również ilościowy. Również środa i sobota były dniami, kiedy nie jadano mięsa. Dawniej mięso i ciasta z pszennej mąki jadano w niedzielę, i święta. Kluski, pierogi z grzybami i kapustą, z olejem nadawały się na danie



*Fot.207. Stodoła*

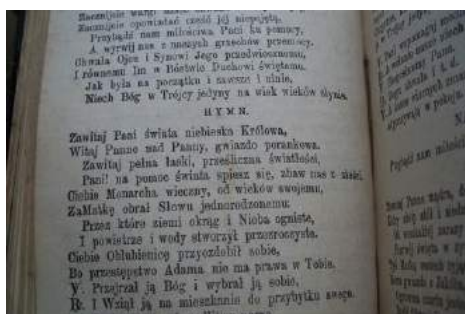
postne. Olej otrzymywano z siemienia lnianego w olejarniach, do których wyprawiano się po zakończeniu prac polowych. Prawie w każdym gospodarstwie uprawiano len, więc każdy gospodarz miał siemię lniane. Makuchy w postaci ciemnych krążków zjadały zwierzęta. Karmiono je również sianem, brukwią, ziemniakami. Ziemniaki gotowało się w specjalnych czarnych, wielkich saganach nazywanych z ruska czuhunnymi. Zdaje mi się, że były



Fot.208. To, co z kierata zostało

odlewane z żelaza. Przy mocnym uderzeniu pękały, jak garnki gliniane. Oczywiście, były od nich znacznie mocniejsze. Aby oszczędzić siana dla krów i koni przyrządzano sieczkę ze słomy, do tego potrzebna była sieczkarnia. Urządzenie już dość nowoczesne, jak na owe czasy. Do wielkiego koła z korbą przymocowany był jeden nóż lub dwa, zwane rzezakami. Słomę zmieszaną z sianem, seradłą, koniczyną, wyką lub peluchą

wkładało się do lady, gdzie trybowe podajniki podciągały ją pod rozpedzone noże. Korbą musiał ktoś kręcić. Czasem przy sieczkarni pracował jeden człowiek. Było to bezpieczniejsze, niż podczas pracy dwóch ludzi. Gdy było dwóch, wówczas jeden kręcił korbą wielkie koło, a drugi podkładał wiązki słomy z mieszanką innych pasz. W późniejszych czasach do napędu sieczkarni używano kieratów ciągnionych przez konie. Kierat przypominał swoisty kołowrót zębaty. Kierat stał się źródłem przysłowia „chodzić, jak w kieracie”, to znaczy robić coś bez większego sensu, albo ciągle coś powtarzać, takie „w kółko Macieju”.

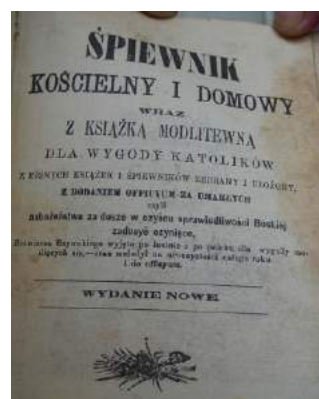


Fot.210. Godzinki o Narodzeniu NN Marii Panny

Moje obie babcie zaczynały dzień od modlitwy, a potem wykonując

codzienne czynności w kuchni śpiewały godzinki. Babcia Krysia mówiła mi, że jej babcia też to robiła. Wczesny ranek w wielu domach zaczynał się od słów pieśni „Zacznijcie wargi nasze, chwalić Pannę Świętą – zacznijcie opowiadać cześć Jej niepojętą...”. Nasze

babcie znały słowa pieśni na pamięć. Przed porannymi mszami śpiewano godzinki również w kościele sarnackim. W dwóch rzędach ławek siedzieli



Fot.209. Śpiewnik z początku dwudziestego wieku używany przez nasze prababcie



oddzielnie mężczyźni po prawej stronie i oddzielnie kobiety po lewej. Na przemian śpiewały dwa chóry: męski i żeński wyśpiewując kolejne frazy pieśni. Muszę przyznać, że bardzo lubiłem te śpiewy. Jak sobie je przypomnę, to wyraźnie słyszę uszami duszy na przemian grube głosy męskie i odpowiadające im cienkie, i piskliwe głosy żeńskie. Teraz przed mszą w kościele panuje cisza. Szkoda, że zarzucono tamten zwyczaj. Z tego, co wiem, tak się śpiewało tylko na Podlasiu. Unicy w swoim kościele przyjęli wiele zwyczajów charakterystycznych katolikom. Między innymi śpiewanie godzinek.

- W dawnych czasach praca i modlitwa ściśle się zazębiały.

- Tak. Lud stosował zawołanie benedyktyńskie „ora et labora” w praktyce. Być może nie zdając sobie sprawy, skąd ono się wzięło? Po ukazie tolerancyjnym unicy masowo przechodzili do kościoła rzymsko – katolickiego, a tam liturgia odprawiała się po łacinie. Oczywiście, modlono się również po polsku. Modlitwa towarzyszyła mierzwiczanom w każdym miejscu. Nie do pomyślenia było, aby kobieta wkładająca bochny chleba do pieca nie wykonała znaku krzyża na swoim ciele, krzyż również kreśliła na pierwszym bochnie wsuwanym do pieca chlebowego.

- Dziadku w Adwencie przygotowywano się do świąt Bożego Narodzenia?

- Tak. W sferze duchowej towarzyszyła modlitwa, i post. Z Bożym Narodzeniem wiązały się stare zwyczaje i rodziły się nowe. Z Niemiec przywędrował zwyczaj ubierania choinki. Ozdoby wykonywały dziewczęta pod kierunkiem babć z kolorowych bibułek, skorupki jaj, owoców, orzechów, słomek. Nieco ozdób kupowano. Były dość drogie, więc większość robiło się własnym przemysłem. Dawniej strojono gałązkę sośniny i podwieszano pod sufitem w najważniejszej izbie, gdzieś tam zamiast sośniny używano jemioli. Zdaje mi się, że na Podlasiu zwyczaj nie był zbyt powszechny, bo jemiola występowała tu rzadko.

- Z Bożym Narodzeniem związanych było bardzo dużo ciekawych obyczajów.

- Tak. O niektórych opowiem później, jeżeli będziesz sobie tego życzył.

Bardzo ważnym obyczajem było i, jak zapewne wiesz, jest dzielenie się opłatkiem, podczas wigilii.

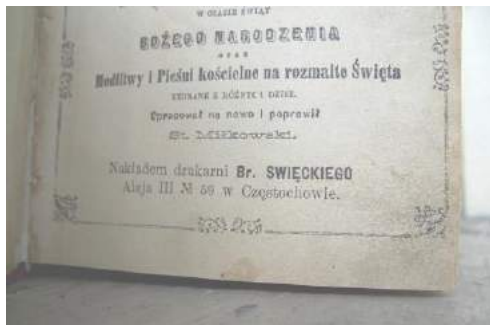
- Wiem.

- Jest to zwyczaj typowo polski rozpowszechniony wśród katolików. Nie wiem, skąd się wziął? Jego źródło ginie w pomroce dziejów. Opłatki roznosił, a właściwie rozwoził w Adwencie organista. Parafianie obdarowywali go za to darami w naturze lub pieniędzmi, dlatego nieodzowny był konny zaprzęg, bowiem otrzymywał zboże, ziemniaki, kasze i inne dobra wytworzone w gospodarstwie. Roznoszenie opłatków było na wsi sporym wydarzeniem.



*Fot.211. Ze starych rzeszot, przetaków, sit- robiono gwiazdy i „wierciochy”*

Gospodynie starały się przyjmować gościa w wysprzątanym izbach. Stół nakrywano białym obrusem, na którym stał talerz, gdzie organista kładł opłatek. Witano staropolskim „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus” – to mówił przychodzący, domownicy odpowiadali „Na wieki wieków”. Pozdrowienie było



Fot.212. Tytułowa strona kantyczki

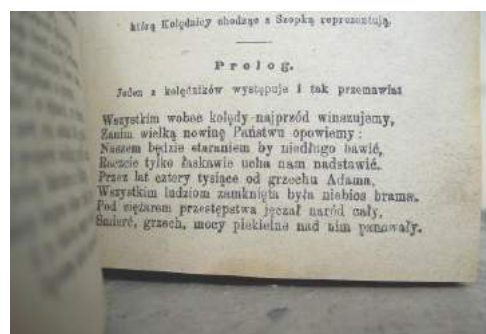
w powszechnym i codziennym użytku. „Dzień dobry” i inne przywędrowały z miast znacznie później. Zdarzyła się kiedyś śmieszna historia, opowiadała mi ją jeszcze moja babka. Otóż jedna z sąsiadek nie zdążyła posprzątać, albo zapomniała, że będzie chodził organista. W mieszkaniu było brudno. Sama też nie wyglądała najlepiej. Organistą był dobry jej znajomy. W młodości przyjaźnili się. Kobięcina wpadła w popłoch. „Ziutek, jak przyjdzie organista powiedz, że mnie nie ma w

domu” – rzekła do syna i schowała się pod łóżkiem. Trzeba przyznać, że w dawnych czasach był to bardzo popularny schowek. Po chwili wszedł organista.

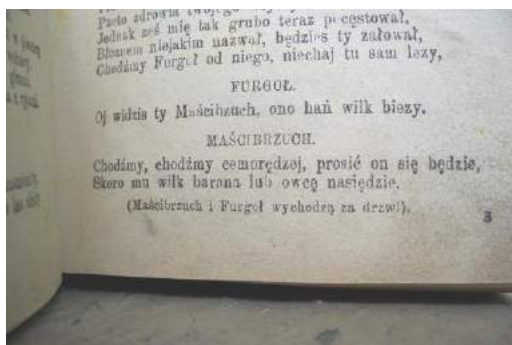
„Gdzie mama?” – pytał synka. „Schowała się pod łóżko i kazała mi powiedzieć, że nie ma jej w domu” – odrzekło z prostotą dziecko. Organista schylił się i zobaczył w kącie skuloną gospodynię. „Maryśka, co tam robisz? Wyłaź spod łóżka!” – krzyknął.

Z dziećmi to nigdy, nic nie wiadomo.

- Dziadku, dzieci jeszcze nie potrafią kłamać, uczą się tego dopiero później.
- Święta prawda.
- Dziadku, w Adwencie przygotowywano się do kolędowania?
- Oczywiście. Wszystkie strychy opróżniano ze starych przetaków, rzeszot. sit.



Fot.213. Powitanie



Fot.214. Fragment „Jasełek”

Kołowe ramy potrzebne były do budowy gwiazd, wierciochów. Zazwyczaj we wsi robiono je po jednej sztuce. Przygotowywano misternie robione szopki, stroje i uczono się ról. W przygotowaniach bardzo pomagał młodzieży i dzieciom Stanisław Hackiewicz popularnie zwany Kowaluczkiem. We wsi był najlepszym znawcą sztuki robienia gwiazd, szopek, strojów. Nie miał wykształcenia, ale

zamiłowanie do tradycji i wrodzone umiejętności pozwoliły na



wyreżyserowanie jasełek odtwarzanych podczas kolędowania szopkarzy, oraz „herodów”. Talent i umiejętności przejął po swoim ojcu, który ongiś robił to samo. Często źródłem wiedzy były opasłe kantyczki. Grube śpiewniki znajdowały się prawie w każdej rodzinie. Zawierały słowa kolęd i innych pieśni religijnych. Prawdopodobnie w dawnych czasach przywędrowały do nas z Czech. Dziewczeta chodziły około Nowego Roku, jako „krakowiaki” śpiewały kolędy i tańczyły. Oczywiście, do występów potrzebne były odpowiednie stroje. Przygotowywała je sympatyczna pani Rozalia Daniluk, popularna we wsi



*Fot.215. W tym domu ongiś mieszkał i odbywał próby Stanisław „Kowaluczek”*



*Fot.216. Te okna prowadziły do mieszkania pani Rozalii „Katryniuczki”*

„Katryniuczka”. Pan Stanisław mieszkał w najwyższym punkcie wsi, a pani Rozalia w najniższym, zwanym Rynsztokiem, chociaż dzieliła ich odległość tylko stu pięćdziesięciu metrów. Dom pana Stanisława jeszcze istnieje i jest zamieszkały, dom pani Rozalii też istnieje, ale stoi pusty. Gdyby nie chmara spadkobierców zostałyby do dzisiaj rozebrany i nie byłoby po nim najmniejszego śladu. Z panem Stanisławem wiąże się dość zabawna historia. Kiedyś, jakiś mężczyzna

poszukiwał Stanisława Hackiewicza. Zwrócił się z pytaniem do młodej sąsiadki bawiącej się na ulicy w klasy. „Gdzie mieszka, Stanisław Hackiewicz? – zapytał. Dziewczę zastanowiło się i po chwili rzecze – „Proszę pana w Mierzwicach jest tylko Hackiewicz Piotr i Hackiewicz Ludwik, a Stanisława, to nie ma. Ona nigdy nie słyszała o żadnym Stanisławie”. Potem zwierzyła się matce. – „Aż ty cielęcino” - rzekła zdesperowana, - „przecież Stanisław jest naszym sąsiadem”. – „To nie Kowaluczek”? – „Nie, tak go nazywają, ale to jest Hackiewicz”.- „Nigdy nie nazywaliście sąsiadów Hackiewiczami, zawsze to były Kowaluki „- z wyrzutem odrzekła córka.

- Dziadku, rzeczywiście, to jest zabawne. Dziadku, powiedz jak, to było w wigilię?

- Wigilia poprzedzająca święta zawsze była dniem niezwykłym. Obowiązywał post. W zasadzie nic się nie jadło do wieczery. Gospodynie przygotowywały pięć, siedem lub dziewięć potraw w zależności od zamożności domu. Musiała to

być nieparzysta liczba. Gotowano kapustę z olejem i grzybami, kluski z makiem, czerwony barszcz kraszony

olejem, kompot z suszonych owoców, smażyło ryby złowione w Bugu, grzyby na całość. Przed samą wigilią gospodarz po uporządkowaniu inwentarza przynosił siano, które układano na wigilijnym stole, przykrywano go białym obrusem. Na honorowym miejscu stał talerzyk z opłatkiem. Ustawiano naczynia z potrawami. Dawniej nie było indywidualnych talerzyków, a wszyscy jedli ze wspólnej miski, którą po zjedzeniu jednej potrawy, napełniano inną.

Pożywienie czerpano drewnianymi łyżkami. Potem pojawiły się talerzyki dla



*Fot.218. Wierzono, że w noc wigilijną można porozmawiać z koniem*

każdego, łyżki i widelce. W kącie izby ustawiano najładniejszy snop żyta lub ładną wiązkę zrobioną z kłosów różnych zbóż. W kącie jarzyła się choinka ozdobiona wcześniej przygotowanymi cackami, obficie posypana watą – śniegiem. Jedno miejsce przy stole pozostawiano puste dla duchów zmarłych przodków, którzy również uczestniczyli w wieczerzy. Odkładano im okruchy jedła. Wieczерę zaczynało modlitwą, potem dzielono się opłatkiem. Główną rolę przy stole spełniał ojciec, jako głowa rodziny. Podczas posiłku zachowywano się cicho starając się nie

spłoszyć niewidzialnych gości. Po zakończonej wieczerzy zapalono świece na choince i śpiewano kolędy. Zebrane ze stołu okruchy niesiono zwierzętom, które w tę świętą noc rozmawiały ludzkim głosem. Na pasterkę do kościoła w Sarnakach wybierały się całe rodziny. Piechurzy wyruszali około godziny dziesiątej wieczorem, aby zdążyć do kościoła na północ. Zamożniejsi jechali sankami. U hołobli brzęczały jańczary ostrzegające pieszych i innych woźniców o pędzących sankach. Pasażerowie jechali okutani w ciepłe kożuchy i różne okrycia w sankach wymoszczonych grochowinami. Sanki



*Fot.217. Okruchami z wigilijnego stołu i opłatkiem dzielono się ze zwierzętami*



*Fot.219. Sanie pędziły, co koń wyskoczy*



obowiązkowo musiały jechać z fantazją, konie pędziły, ile sił w kopytach. Wkrótce rozjarzony kościół napełniał się ludźmi, człowiek przy człowieku. We wnętrzu panował ścisk niesamowity. O północy zaczynała się msza, nazwana pasterką. Odprawiano ją po łacinie. Po zakończonym nabożeństwie sanki wracały pędem, co koń wyskoczy. Gospodarzowi, który pierwszy dopadł wsi powinno się doskonale darzyć w przyszłym roku. Gra była warta świeczki.

- Dziadku, podobno dni między Bożym Narodzeniem, a Nowym Rokiem nazywano Świętymi Dniami.

- Były to Święte Dni lub Święte Wieczory. Powstrzymywano się od niekoniecznych prac, przyjmowano kolędników, gości, modlono się.

- Urządzano jakieś zabawy.



*Fot.220. Szaleństwa karnawałowe*

wejdzie do mieszkania: mężczyzna czy kobieta. Na tej podstawie wnioskowano, jeżeli w rodzinie były młode małżeństwa, to, czy urodzi się chłopak, czy dziewczynka, a w gospodarstwie: byczek, czy jałoszka. Łatwo się domyślić, że byczek i chłopak, to wróżba, którą przyniósł mężczyzna. W karnawale zabaw nie brakowało.

- Dziadku, w karnawale było w zasadzie jedno ważniejsze święto - Gromniczna.

- Rzeczywiście, tak je nazywano. Mieszkańcy Mierzwic nieśli do kościoła gromnice – świece odlane z pszczelego wosku, które powinno się podać umierającym, aby oświetlić im drogę na tamten świat. Wystawiało się je, podczas burz, bowiem wierzono, że ich światło ochroni mieszkańców i ich budynki przed nieszczęściem. Po powrocie z kościoła do domu, ojciec zapalał świecę i na bielonej gliną lub wapnem belce wydymiał

- Na drugi dzień Świąt w remizie strażackiej obowiązkowo odbywała się zabawa. Najczęściej wcześniej przed samą zabawą na scenie wystawiano jasełka. Nie organizowano zabaw sylwestrowych. Ten zwyczaj przywędrował z miasta dopiero później. W latach pięćdziesiątych dwudziestego wieku w remizie strażackiej w Sarnakach już organizowano zabawy sylwestrowe. Jeszcze nie można ich było nazwać bałem. Były bufety, ale tańczący nie spędzali czasu przy stołach, bo ich najzwyczajniej nie było. W Nowy Rok bacznie patrzono, kto pierwszy



*Fot.221. Krzyż postawiony podczas ostatniej wojny dla podtrzymana ducha*

krzyż. Miał on strzec dom i rodzinę go zamieszkującą przed złym losem. Chcę zauważyć, że krzyż cieszył się wielkim szacunkiem. Krzyże wystawiano na początku i końcu wsi. Bywały krzyże dziękczynne, bywały i przebłagalne, podtrzymujące na duchu z napisami „Sursum corda” – taki ustawiono w pobliżu figurki Świętego Jana, podczas ostatniej wojny, byłem tego naocznym świadkiem, a także przebłagalne na przykład „Od powietrza, ognia i wojny, zachowaj nas Panie”. Przed krzyżem zdejmowało się czapkę. Znam historię



*Fot.222. Obraz przyniesiony przez prababcie Teklę z Częstochowy prawdopodobnie w 1913 roku*

opowiedzianą przez matkę. Jeden z mieszkańców nie zdejmował czapki przed krzyżem, wiozł w tym czasie Żyda Ejnocha, który go wynajął. Podobno zwrócił mu uwagę. „Proszę pana, boję się z panem jechać, bo pan nie zdejmujesz czapki przed krzyżem, jest to ważny symbol twojej wiary, ja się pana po prostu boję” - powtórzył.

- Dziadku u jednej i drugiej prababci widziałem w mieszkaniu dużo obrazów wiszących na ścianie, jeden obok drugiego.

- Na Podlasiu w rodzinach chrześcijańskich zarówno u katolików, unitów czy prawosławnych wieszano wiele obrazów. Jak się uważnie im przyjrzyysz, to stwierdzisz, że niektóre są stare, pamiętają jeszcze czasy zaborów. Moja prarababca Tekla - mama prapradziadka Michała - ojca pradiadka Bronisława - mego ojca przyniosła z pielgrzymki do Częstochowy obraz Matki Boskiej Częstochowskiej w otoczeniu stacji Drogi Krzyżowej ustawionej wokół klasztoru Jasnogórskiego. Wiele obrazów pochodzi z innych pielgrzymek. Za cara nie organizowano

pielgrzymek pod kierunkiem księży. Zazwyczaj w pielgrzymkę udawało się kilka osób pod kierunkiem przewodnika, który dobrze znał trasę, był to świecki pątnik, wielokrotnie wędrujący do sanktuarium z czczonym obrazem Matki Boskiej. Taka pielgrzymka była prawdziwą wyprawą. Wszystko trzeba było zanieść na własnych nogach i na własnym grzbiecie.

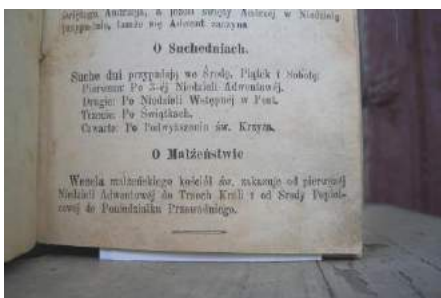
- Wielki Post zaczynał się Popielcem.  
- Tak. Starannie szorowano wszystkie garnki, aby w nich nie pozostała żadna



*Fot.223. Bardzo stara książka do nabożeństwa*



drobina tłuszczu z czasów karnawału. Na znak pokuty posypywano sobie głowy popiołem. Poszczono we wszystkie środy, piątki i soboty. Odprawiano Droge Krzyżową i śpiewano Gorzkie Żale, Godzinki o Męce Pańskiej. Często na podstawie książeczki do nabożeństwa. W Wielkim Poście nie jadano jajek i masła. Post był czasem wyrzeczeń i umartwień, a jednocześnie oczekiwaniem na Zmartwychwstałego. Teraz występuje w bardzo złagodzonej formie. Znikły z kalendarza kościelnego suche dni. Były to specjalne dni - dwanaście w roku, lokowane we środę, piątek i sobotę po trzeciej niedzieli Adwentu,

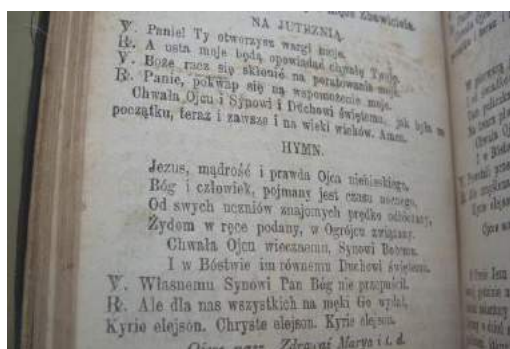


Fot.224. Suchedni

po niedzieli Wstępnej Wielkiego Postu, po Zielonych Świątkach i po święcie Podwyższenia Krzyża.

- Dziadku, dawniej ludzie więcej pościli i bardziej się umartwiali.

- Teraz ludzie nie chcą się umartwiać. W czasie postu robiono również psoty. Młodzi mężczyźni w połowie postu z radością zamalowywali okna mieszkań, gdzie mieszkały panny. Wsypywano popiół do izby. Dziewczyny musiały same umyć okna i same posprzątać mieszkanie. Robiły to z radością, ponieważ takie zachowanie młodzieńców wskazywało, że dziewczyny cieszą się ich zainteresowaniem, a to oznacza powodzenie. W Wielkim Tygodniu w Mierzwicach zawsze budowano huśtawkę wielkanocną. Zwyczaj to bardzo stary, opowiadała mi o nim babka i prababka. Młodzi mężczyźni przynosili z lasu smukłe słupy wycięte ze ściętych sosen. Zakopywano je w ziemi z boków podpierano podporami zrobionymi z grubych żerdzi. Na szczycie mocowano specjalną oś przechodzącą przez otwory wycięte w słupach, a na samej górze zabijano kaptur z grubego opołu. Do osi mocowano dwa długie wygładzone drągi stanowiące hołoble huśtawki. Na dole zamykano je ławką wykonaną z deski. Ławkę nakładało się na hołoble. Musiały, więc być wywiercone otwory w desce, aby żerdzie chciały przez nie przejść. Ławkę zabezpieczano specjalnymi zawleczkami. Huśtawka miała wysokość kilkunastu metrów. Huśtało się na niej na



Fot.225. W poście odprawiano Godzinki o Męce Pańskiej



Fot.226. Duga i chomąto – podstawowy strój konia w zaprzęgu

stojąco. Robiły to dzieci i dorośli. Można huśtać się w dwie osoby. Niektórzy popisywali się szczególną odwagą, bowiem w najwyższym punkcie huśtający wznosił się kilkadziesiąt metrów nad ziemię i to bez żadnych zabezpieczeń. Do mistrza należało dotknięcie hołoblami kaptura. Wtedy naprawdę było bardzo wysoko. Nie pamiętam, aby komuś stała się jakaś krzywda. Okazji do skręcenia karku było, co niemiara. Podobno przed wojną jeden z synów miejscowego kowala spadł z huśtawki i złamał rękę. Ojciec zdenerwował się i własnoręcznie, w pierwszy dzień Wielkanocy, ściął huśtawkę.

- Dziadku, gdzieś jeszcze takie zwyczaje wielkanocne się przechowały?

- Nie wiem. W Mierzwicach na pewno zanikły. Już od dawna nikt przed Wielkanocą nie stawia huśtawki. Wydaje mi się, że główną przyczyną jest to, iż Mierzvice mają bardzo mało stałych mieszkańców, a w szczególności młodzieży.

- Dziewczyny też korzystały z niej?

- Oczywiście, niektóre nie ustępowały odwagą chłopcom. Czasem huśtał się chłopiec z dziewczyną.

- Dziadku, jak wyglądał Wielki Tydzień?

- Babcie robiły bajecznie kolorowe pisanki, a te, którym Bozia poskapiła talentu farbowały w naturalnych barwnikach byczki, czyli jednobarwne jajka. Najlepsze



*Fot.228. Procesja rezurekcyjna*

narzędzia do robienia pisanek robiło się z okucia sznurówki. Czystą skorupkę zamalowywało się roztopionym woskiem kreśląc różne figury i znaki. Potem zanurzało ją w farbie. Żółtą robiło się z łusek cebuli, czerwoną - z buraków ćwikłowych, zieloną - ze świeżego zboża, brązową - z liści dębu, liliową - z owoców dzikiego wina. Każda gospodyni знаła wiele recept na dobre farby naturalne.

Potem zanurzało się w gorącej wodzie i wosk topił się lub zdzierano go mechanicznie. Następnie wkładano do innej farby i jasne miejsca teraz farbowały się na kolor ostatniej farby. Niektóre panie potrafiły zdobić je na różne sposoby robiąc prawdziwe jajkowe cudenka. Charakterystycznym motywem podlaskim były wiatraczki robione w różnych kolorach. Wielki Tydzień był bardzo podobny do obecnego. W Wielki Piątek, po złożeniu figury Chrystusa do grobu, wartę przy nim zaciągali strażacy w lśniących hełmach i tak trwało do poniedziałku wielkanocnego.

-Jak wyglądały Święta Wielkanocne?



*Fot.227. Koło okute stalową szyną stanowiło część jezdni wozu*



- Zaczynały się rezurekcją, która odprawiana była o godzinie szóstej rano w kościele parafialnym w Sarnakach. Do kościoła spieszyli piesi i jezdni. Tym razem na bruku gościńca do Sarnak terkotały strojne wozy, których koła okuto stalowymi szynami. Konie rwały z kopyta, więc koła wozów skakały z kamienia na kamień. Uciechy było, co niemiara. W Sarnakach, cała ulica od strony Mierzwic, równoległa do rynku zastawiona była wozami. Wozy przyjechały z Mierzwic Starych i Nowych z Kolonii, i z Rozwadowa. Tutaj zorganizowano im postój. Nabożeństwo zaczynało się procesją rezurekcyjną wokół kościoła. Zapewne wiesz, że obchodzi się kościół trzy razy. Najzacniejsi mieszkańcy parafii prowadzili pod baldachimem księdza kanonika z Najświętszym Sakramentem ukrytym w monstrancji. Cały czas biły dzwony. Ministranci dzwonili dzwonekami ołtarzowymi. Śpiewano pieśni. Księdza poprzedzały chorągwie. Każda wieś, każdy cech miał swoje. Szły feretrony. Dzieci niosły wielki różaniec, kwiaty. Po powrocie, w kościele panował niesamowity ścisk. Ludzi było naprawdę bardzo dużo. Po dwu godzinach nabożeństwo dobiegło końca. Rodziny zbierały się przy wozach. Znowu zaczynał się wyścig. Tym razem chodziło o to, aby zboża były, jak najbardziej dorodne. U pierwszego gospodarza, któremu udało się wyprzedzić innych żyto musiało być najwyższe, a kłosa najdłuższe. Po powrocie kobiety szybko przygotowywały najuroczystsze, ze wszystkich, śniadanie wielkanocne. Najważniejszą potrawą było święcone. W dawnych czasach święciło się wszystko, co miało stanąć na stole. Matki przyrządzały wielkie, odpowiednio zdobione, kosze pełne wiktuałów. Nosiło się to wszystko pod krzyż, gdzie przyjeżdżał kapłan i to wszystko święcił. Czasem trzeba było dwóch osiłeków, aby kosz donieść do miejsca święcenia, a potem przynieść z powrotem. Zdarzały się wypadki. Żaden stateczny chłopak czy dziewczyna nie pozwoliła sobie, aby pokarmy nieść w żółwym tempie. Biegło się. Zdarzało się, że noga o coś zawadziła i tragarz razem z koszem lądował w przydrożnym piachu. Zdarzało się, że potrawy święcono dwukrotnie, raz przez niosącego - piaskiem, a drugi raz przez księdza - wodą święconą. Z upływem lat kosz się zmniejszał i stawał się koszyczkiem. Podczas śniadania dzielono się święconym jajkiem i składano sobie życzenia. Oczywiście, towarzyszyła tym czynnościom modlitwa. Wyposzczone żołądki rzucały się na jadalno i po kilkudziesięciu minutach wszyscy objedzeni po dziurki w nosie próbowali się wytoczyć zza stołu. W drugi dzień świąt przypadał lany poniedziałek. Biedne były dziewczyny, stara reguła mówiła, aby je polewać delikatnie, czymś pachnącym. Młodzi panowie doszli do wniosku, że dziewczyny powinny dobrze zapamiętać lany poniedziałek. Myślę, że niejedna dobrze go zapamiętała, gdy musiała



*Fot.229. Przyjechali  
rozwadowiacy. W drodze na  
postój*

przebierać się samej skóry. Chłopcy, w różnych kryjówkach, czekali z pełnymi wiadrami i leli bez litości. Polewanie poprawiano w pierwszą niedzielę po Wielkanocy zwaną niedzielą przewodnią.



*Fot.230. Pod tym krzyżem nabożeństwa majowe odprawiali mieszkańcy Nowych Mierzwic*

- Dziadku, na wiosnę rolnicy rozpoczynali nowy cykl. Ich praca była ściśle związana z przyrodą.

- Te związki łatwo zauważyć. Zobacz ile przysłów, które powstały na wsi, wśród ludu rolniczego związanych jest z pogodą i ze świętymi. Znasz jakieś takie przysłowia.

- Dziadku, pewnie, że znam, chociażby, „Co nagle to po diable, a co powoli, to po Bożej woli”.

- Zaskoczyłeś mnie, bo tego przysłowia, to nie znałem.

- Jeszcze jedno „Święty Józef laską w ziemię kole, wyjeżdżajcie chłopcy orać w pole” i jeszcze jedno: „Gdy na Święty Wojciech wrony z żyta nie widać, możesz bydełku resztę trawy wydać”.

- Jeszcze raz mówię zaskoczyłeś mnie. Rzeczywiście, te przysłowia łączą sacrum z pracą

na roli.

- Dziadku, podobno w maju śpiewano nabożeństwa majowe pod krzyżami?

- Tak, w Mierzwicach Nowych nabożeństwa majowe śpiewano pod krzyżem stojącym w środku wsi. Takim „księdzem” była Koźlanka. Mieszkała niedaleko babci. W Mierzwicach Starych ludzie modlili się pod figurką Świętego Jana. Nie było samochodów, a drogi piaszczyste. Najpierw wybrukowano drogę przez wieś, a podczas wojny Niemcy wybrukowali gościniec do Sarnak. Nabożeństwo zaczynało się po zachodzie słońca, po obrzędzie. Przychodziły przeważnie kobiety, dzieci i młodzież, trochę mniej było mężczyzn. Przed nabożeństwem dzieciaki dokazywały, a potem każdy zakutał się w stare burki i siedział pod figurą. Dokuczały komary. Znad Buga słyhać było koncerty żab, darły się niesamowicie, a spod figurki niosły się słowa litanii do Matki Boskiej „Kyrie elejson, Chryste elejson. Chryste usłysz nas, Chryste wysłuchaj nas”. Prowadziła nabożeństwo Paulina zwana potocznie Broniową. To zdrobnienie od męża Bronisława. Mąż często bywał identyfikatorem. Znałem Józefową, Stefanicę,



*Fot.231. Pod ponad stuletnią figurką modlili się mierzwiczanie*



Stachową, Ludwiczkę, Laszychę, Bronczychę. Broniowa i Bronczycha miały takie same nazwiska i mężów o takim samym imieniu. Był jeszcze Broniek Łodzi i Bronisław, oczywiście wszyscy nosili, to samo nazwisko.

- Jednak ludzie się rozpoznawali.

- A rozpoznawali, gorzej było z listami, poczta nie potrafiła rozróżnić takich subtelności. W dawnych czasach do tak zwanych prostych ludzi nikt nie pisał. Listy w powszechnym użyciu, to w zasadzie już wiek dwudziesty. W czasach wolnej Polski znacznie zmniejszył się analfabetyzm. Jeszcze po Drugiej Wojnie Światowej do mojej mamy przychodziła Jerczaczką, aby odczytać jej list od



*Fot.232. W takim domu mieszkała Jerczaczką*

syna, który mieszkał w Warszawie. Potem dyktowała listy do niego, a matka pisała zgodnie z życzeniami staruszki. Wtedy miała z pięćdziesiąt lat.

- Maj - to miesiąc poświęcony Matce Bożej. W tym czasie siano i sadzono warzywa czy jakieś obrzędy związane były z ogrodnictwem i warzywnictwem?

- Zapewne tak, ale żadnych nie znam. W maju był problem z zimnymi ogrodnikami Bonifacym, Pankracym i Serwacym. Lubili porozrabiać, bo w tym czasie prawie zawsze przychodziły chłody z przymrozkami. W sadach często wymarzały zawiązki owoców. Potem

przychodziła jeszcze zimna Zośka. W warzywniku trzeba było na noc przykryć zagonki ze wschodzącymi roślinkami wrażliwymi na mróz. Zarówno ogrodnicy, jak i Zośka, to święci, którzy w przeszłości zmarli w męczarniach za wiarę. W dawnych czasach w ogrodach rosły buraki, marchew, pietruszka, cebula, brukiew, jarmuż. Siano mak, soczewicę i groch. Tego ostatniego czasem dużo. Obowiązkowo musiała rosnąć kapusta i ogórki. Ogórki były bardzo wrażliwe na przymrozki. Do sadów nie przywiązywano tak wielkiej wagi, jak dzisiaj. U większości w obejściu rosło kilka drzew owocowych. Najczęściej były to śliwki, wiśnie, szklanki, jakaś jabłonka i grusze. Na polach rosły polne grusze, które dawały na jesieni ulęgalki. Suszono je i jadano na różne sposoby: gotowane lub suszone.

- Dziadku, kiedyś Zielone Świątki świętowano przez dwa dni?

- Nawet za cara było to święto dwudniowe. Jak sama nazwa wskazuje, musiały być zielone zielenią przyrody. W Zielone Świątki, czyli Zesłanie Ducha Świętego strojono mieszkania, domy, ganki - zielenią. Nawet wysypywano zielonymi gałązkami wiejskie drogi. Z Trojanu przynoszono naręcze pachnącego tataraku, majono nim ulice, młode brzoźki ustawiano przy krzyżach, figurkach, odrzwia domów strojono zielonymi gałązkami brzozy. Następne święto, to Boże Ciało od niego zaczynały się obrzędy święcenia pól. Zwyczaj bardzo rolniczy. Podczas święcenia pól obchodzono procesjonalnie dokoła pola,

łąki, lasy. Na początku szedł krzyż, potem chorągwie, potem feretrony, potem ksiądz z monstrancją i Najświętszym Sakramentem, dziewczynki w bieli sypały kwiatki, wreszcie wierni. Dwóch roślących mężczyzn podtrzymywało księdza pod ramiona. Trasa procesji biegła różnie. Najdłuższa, jaką pamiętam, zaczynała się pod krzyżem na Nowych Mierzwicach. Nazywało się to, u Kuleszów. Tutaj był pierwszy ołtarz. Stroił go rodzina Kuleszów, Bobińskich, Hackiewiczów, Kołodziejczuków. Jeżeli był to jedyny ołtarz we wsi, wówczas stroili go jeszcze inni. Krzyż obstawiano świeżymi brzoškami wyciętymi w zagajnikach, ustawiano stół przykryty białym obrusem, robiono podwyższenie na monstrancję. Na specjalnych konstrukcjach zawieszano dywany z obrazami świętych. Za księdzem szedł organista z kilkoma najlepszymi śpiewakami w okolicy. Oni zaczęli i



*Fot.233. Pod tym krzyżem też kiedyś był ołtarz. Wtedy trasa procesji została skrócona i biegła przez las prosto do Starych Mierzwic*



*Fot.234. Panny w bieli podczas procesji*

prowadzili wszystkie śpiewy. Odczuwało się nastrój bardzo pogodny, a jednocześnie podniosły i poważny. Inwokacje „Od powietrza, ognia i wojny zachowaj nas Panie” niosły się na domami, lasami, i polami. Wszyscy uczestnicy bardzo przeżywali nabożeństwo i czynnie w nim uczestniczyli. Zazwyczaj pod pierwszym ołtarzem gromadzili się mieszkańcy obu Mierzwic i Kolonii. Tylko starcy i staruszki dołączali na krótkie etapy. Procesja szła przez Mierzvice Nowe do Wygonu. Chyba z raz się zdarzyło,

że ołtarz był zrobiony w środku wsi i raz na Wygonie. Miejsca budowania ołtarzy zmieniały się w zależności od długości trasy procesji.



Drugi ołtarz wybudowano przy krzyżu na Koloniach za lasem nazywanym Obozem. Był to najdłuższy odcinek prowadzący przez

wieś Mierzvice Nowe, przez las do Kolonii. Trzeci ołtarz budowano przy krzyżu stojącym na początku Starych Mierzwic przy drodze łączącej się z drogą z Kolonii i drogą prowadzącą do Fronołowa. Ten odcinek biegł wśród pól i tutaj można uznać, że rzeczywiście, a nie symbolicznie, Chrystus Eucharystyczny błogosławił pola i plony. Stąd zaczynała się wieś od malutkiego domku Jerczaczki, przytulonego do dwóch rosnących antonówek. Dalej stał wrośnięty w ziemię stuletni dom Żychów, a jeszcze dalej podobny, a może jeszcze starszy, Hackiewiczów powszechnie znanych, jako Ludwiki. Zamiast tego ołtarza bywało, że budowano ołtarz przy kapliczce Świętego Jana stojącej w otoczeniu świerków na skrzyżowaniu gościńca z drogą wiejską. Czwarty i ostatni stroili Sokołowscy, Wojtulewicze, Jędrzejuki zwani Lewkami, Daniluki – Klimy, i Hackiewiczze, z których nazwiskiem potem miała problem młoda mieszkanka Mierzwic. a zarazem ich sąsiadka.



*Fot.235. Zdarzało się, że przy tej figurce też stał ołtarz*

- Dziadku, ołtarzy zawsze było cztery? Tak mówiłeś, jakby było więcej.  
- Wiesz, dlaczego?  
- Ewangelistów było czterech i przy każdym ołtarzu czytana jest Ewangelia innego Ewangelisty.  
- Bardzo dobrze. Cieszę się, że na lekcjach religii mój wnusio nie próżnuje. W swoim opowiadaniu przedstawiłem ci jednocześnie kilka wariantów trasy procesji, wzdłuż jakich, w różnych okresach się odbywały.



*Fot.236. „Szkłanki”*

szkłankę w pobliżu domu stryjostwa. Do dzisiaj pamiętam ich przewyborny smak i aromat. W zasadzie były to pierwsze owoce, które jadaliśmy w tym roku. Drzewa owocowały obficie, owoców było zatrzęsienie, szpaki nie były

- Dziadku, wiedzę religijną zdobywam nie tylko na religii, korzystam również z wiedzy rodziców i dziadków.

- To jeszcze lepiej. Święcenie pól odbywało się w czerwcu, pamiętam, że po zakończeniu obchodów pod krzyżem u Sokołowskich rozchodzili się wszyscy do domów. Zaczynały dojrzewać wiśnie, które nazywaliśmy czereśniami, a były to zwyczajne szklanki jeszcze dość blade, soczyste i bardzo kwaśne. Mieliliśmy jedną

konkurentami, bowiem w tamtych czasach prowadziły kuchnię mięsną, gardząc wegetarianizmem. Kwiczoły mieszkaly w lasach i nie nawiedzały gospodarstw. My, młodzi pożeracze szklanek nie mieliśmy konkurencji i owoce mogły dojrzeć przybierając kolor czerwony, o ile wcześniej nie zostały pożarte przez pętające się „drobnoustroje” na bosaka, w spodniach na szelkach z zatułą z tyłu, i podobne, tylko w sukienkach. Ze szklanek nie robiono żadnych przetworów, ponieważ potrzeba do tego było tony cukru, którego za dużo ludzie nie mieli i trzeba go było kupić. Dziwne, ale szklankowe drzewa rosły tylko w jednej części wsi, w tej drugiej, z wysoką górą zwaną „Światuchą”. Nie pamiętam, aby je się spotykało na Koloniach czy Nowych Mierzwicach.

- Dziadku, co to jest zatuła?

- Specjalna konstrukcja tylnej części męskich spodenek. Po prostu tylna część spodni zapięta na dwa guziki po ich odpięciu odstaniająca tylną część zakończenia pleców niezwykle praktyczna przy pewnych czynnościach fizjologicznych, a czasem przyczyna sporych kłopotów, gdy jej w krytycznym momencie nie odciągnięto do przodu przez roztargnienie lub nadzwyczajny pośpiech, a pozostawiono w naturalnym położeniu.



*Fot.238. Sierpy zwane również sierpami – podstawowe narzędzia żniwiarzy*

żegnano się, modlono się o dobrą pogodę. Trawa powinna dobrze wyschnąć, aby potem dała się przechować na zimę. Zdarzały się lata przekropne. Nieraz trudno było zebrać siano. Ludzie wtedy zanosili gorące modły do Stwórcy. Ze żniwami wiązało się więcej specjalnych zwyczajów. Na przykład żniwa dobrze było zacząć w sobotę, ponieważ dzień ten był poświęcony Matce Bożej i zwiastował pomyślne zbiory. Dawniej ścinano zboże przy pomocy sierpów, a później zaczęto posługiwać się kosą. Szczęśliwe zbiory, to dostatek w



*Fot.237. Specjalnie przysposobiona kosa do koszenia trawy*

- Dziadku, w czerwcu zaczynały się sianokosy czy z nimi związane były jakieś specjalne obrzędy?

- Nie słyszałem o specjalnych obrzędach. Koszenie trawy rozpoczynano bardzo wcześnie, często jeszcze przed wschodem słońca. Chodziło o to, aby kosić z rosą, bowiem trawa, wtedy jest bardziej miękka i poddaje się lepiej kosie. Gdy słońce wypije rosę praca jest znacznie cięższa. Oczywiście, przed każdą nową pracą w danym dniu



*239. Grabie*



domu i rodzinie. Zbierano każdy kłos, a przy zwożeniu wyścielano drabiniaste



*Fot.240. Koszenie kosą. Zauważ na kosisku grabki służące do układania zboża na ścianie*

wozy specjalną płachtą, aby żadne ziarno się nie zmarnowało. Ziarna zbóż cieszyły się specjalnym poważaniem, a potem wypieczony chleb, znaczony krzyżem świętym traktowano ze szczególnym szacunkiem. Nie wyrzucano chleba na śmietnik, a każda upuszczona kromka podnoszona była z nadzwyczajnym szacunkiem, całowana, jako

najważniejszy dar Boży. Pewne oznaki szacunku zachowały się do dzisiaj.

Podczas dożynek wręcza się gospodarzowi święta bochen chleba, który obdarowywany powinien publicznie ucałować. Żniwa kończono zostawiając na polu specjalnie ozdobiony dożynek składający się z kilku kłosów i polnych kwiatów. Jeżeli, u kogo na polu stał dożynek, to świadczyło, że gospodarz szczęśliwie zakończył żniwa. Zwyczaj był stary i tradycję przenoszono z dziada na dziada. Zabierano również do domu kilka najdorodniejszych kłosów, aby w święto Matki Boskiej Zielnej zanieść do kościoła i je poświęcić, o czym już ci mówiłem. Obchodzono również pewne uroczystości kościelne związane z zakończeniem zbiorów zwane dożynkami, potem je w znacznej mierze ześwieczono.

- Dziadku, żniwa nie kończyły zbiorów?



*Fot.242. Trójzębna motyka*

- Oczywiście. W jesieni zbierało

się okopowe. Najważniejszą pracą było kopanie, czyli zbieranie ziemniaków. Kopano ręcznie motyczkami, na początku było to narzędzie z jednym szerokim zębem, potem z dwoma, a jeszcze później z trzema. Narzędzia ciągle się doskonaliły. Praca kopacza była ciężka, chociaż uważana za znacznie lżejszą, niż żniwa. Jesień – to chłodniejsza pogoda. Skwary letnie nie

dokuczały. Ziemniaki zbierało się do worków, usypywało na gromady, a potem



*Fot.241. Motyka – najstarsze narzędzie rolnicze*

zwoziło wozami w specjalnych skrzyniach do piwnic, parstków i kopców. Wielu mieszkańców nie posiadało piwnicy, więc kopano ziemianki, przykrywano je z wierzchu słomianym dachem wzmocnionym opołami ze stałym wejściem do wnętrza. Zatykało je się wiązką słomy lub grochowin. W każdej chwili można było wejść do środka i nabrać kosz ziemniaków dla ludzi i dla zwierząt. Parstek zastępował piwnicę. Był ulubioną kryjówką. Panie domu chowały się przed niespodzianymi gośćmi pod łóżkiem, albo w parstku, wszystko zależało od ilości czasu, jaki miała gospodyni na ukrycie się. Kopce, to były zwykłe jamy ziemne, w których gromadzono ziemniaki na zimę. Przykrywano je słomą, a następnie przysypywano grubą warstwą ziemi. Na szczycie kopca wstawiano zbitą z desek rurę zwaną przyduchą. Zabezpieczała ona składowane ziemniaki przed zaparzeniem się. Po kopaniu zbierało się warzywa, brukiew, kapustę. Właściwie zbiory warzyw kończyły wszelkie zbiory. W jesieni mierzwiczenie masowo zbierali spadające z polnych grusz owoce. Rozkładano je na strychach na rozścielonych płachtach. Robiły się z nich smaczne ulęgałki, potem zapobiegliwe gospodynie suszyły je w chlebowym piecu na zimę. Potem robiono z nich zupę, zwaną gruszczanką, gotowało się kompot, jadało się na sucho. Bardzo smakowały dzieciom zamiast cukierków, a były znacznie zdrowsze. Kobiety pracujące, podczas kopania ziemniaków chętnie je zabierały w podołku na pole, które często stanowiły jedyny posiłek pracujących.



*Fot.243. Plug*

- Dziadku, chyba nigdy nie widziałem polnej gruszy i ulęgałek.

- Niestety, znikły z podlaskiego pejzażu, a te, które się zachowały, teraz wcale nie owocują. Zginęły trzmielce, które zapylały kwiaty, a



*Fot.244. Brona i cep*

chłodne wiosny niszczą zawiązki. Wiele dzikich drzew owocowych przestało owocować. Prawie całkowicie znikły ciemne wiśnie, szklanki też owocują znacznie słabiej, niż dawniej, a poza tym wiele ptaków zmieniło upodobania kulinarne. Dawniej nie jadały owoców, a teraz je niszczą atakując owocujące drzewa, nieraz wielkimi stadami.

- Dziadku, jesień musiała być bardzo smutna?

- Chyba smutna nie była. Raczej niezwykle pracowita. Zbierało się i zabezpieczało ziemniaki. Gospodarze



przygotowywali ziemię pod zasiewy. Wykonywano orki. Nad kartofliskami snuły się dymy ognisk. Dzieciaki, a w szczególności chłopcy palili ogniska i piekli ziemniaki. Często na niezaoranych ścierniskach pasali krowy. Jesień, to niezwykle pracowity okres dla mieszkańców wsi. Sieli oziminy. Matka Boska Siewna bardzo im w tym pomagała. Za pługiem widziało się prawie na każdym poletku. jakiegoś oracza. Potem bronowanie. Siew w równą rolę, potem znowu przykrywanie bronami. Na początku, jak wiesz, używano drewnianych bron obciążonych kamieniami. Potem żelaznych dość ciężkich i też obciążanych, wreszcie lekkich obejmujących dość szeroki pas roli. Na kartofliskach zgrabiano bronami łąty ziemniaczane. Ciekawe, ale były zdrowe i nie зараżone zarazą ziemniaczaną, tak powszechną obecnie. Zwożono je na podwórza. aby potem wykorzystać do przykrycia kopców ziemniaczanych. Za stodołami, na



*Fot.245. Leśny cmentarzyk z czasów wojny sowiecko - polskiej w 1920 roku*

bowiem październik był poświęcony Różańcowi Świętemu.

- Dziadku, listopad zaczynał się Świętem Wszystkich Świętych i Zaduszkami.

- Jak wiesz, we Wszystkich Świętych czczono zmarłych, którzy dostąpili zbawienia i tworzą w niebie grono świętych. Dzień Zaduszny poświęcony jest duszom zmarłych cierpiących w czyśćcu. U prawosławnych za zmarłych wierni modlą się w drugi dzień Wielkanocy, a cmentarze często przylegają do cerkwi. Unicy przejęli od katolików zwyczaj modlenia się za zmarłych w Dzień Zaduszny. Przed uroczystościami poświęconymi zmarłym porządkowano groby. Dawniej były to ziemne kopczyki ozdobione krzyżem, nieraz bardzo

podwórkach, w ogrodach w suchych miejscach piętrzyły się wysokie kopce ziemne, które przed nastaniem mrozów obkładano ziemniaczanym łątami. W znoju i trudzie przygotowywano się do zbliżającej się zimy. W październiku zbierało się po kilka kobiet w mieszkaniach, aby po obrządku odmawiać różaniec,



*Fot.246. Niektóre stare pomniki były wymyślnie rzeźbione*

masywnym, ale wykonanym z drewna. Tylko na nielicznych grobach pojawiły się pomniki, nieraz wymyślnie zdobione.

- Zapalano znicze?



*Fot.247. Grób księdza kanonika Kulawika – pierwszego powojennego proboszcza w parafii sarnackiej*

- Parę dni przed świętami gospodynie z córkami i silniejszymi babkami wyprawiły się na cmentarz zrobić porządki na grobach. Cmentarze grzebalne bywały zarośnięte drzewami i krzewami. Opadłe liście przykrywały groby. Należało usunąć gałęzie i liście. Groby zdobiono naturalnymi ozdobami. Najczęściej ubierano jedliną, układano wieńce z gałązek świerkowych, albo z wiecznie zielonych roślin, jak: barwinek, bukszpan. Zniczy nie używano. Najczęściej były, to świece ze stearyny lub własnoręcznie zrobione z pszczelego wosku. Świece wtykano bezpośrednio w świeżo zruszoną ziemię. Zdarzało się, że spadł śnieg, wówczas świece paliły się na puchowej pierzynie. Dawniej śmierć była postrzegana, jako coś naturalnego. Ludzie nie bali się śmierci. Nie stronili od niej. Nie udawali, że jej nie ma. Częstym

tematem sąsiedzkich

rozmów były wspomnienia sąsiadów, bliskich, którzy już odeszli. Często opowiadano o nieboszczce, nieboszczyku i wspominano różne wydarzenia z nimi związane. Ludzie bali się duchów, ale starali się z nimi współistnieć. Uroczystość Wszystkich Świętych kończyła się nieszporami, po których szła procesja na cmentarz. Modlono się za zmarłych litanią do Wszystkich Świętych oraz różańcem. Dawniej prowadzono procesje na cmentarz ulokowany pod Grzybowem. Podobno tam leżą rodzice moich dziadków i pradiadków. Od początku dwudziestego wieku zaczęto grzebać zmarłych na cmentarzu pod Chybowem. Najstarsze mogiły datowane są na koniec dziewiętnastego wieku.



*Fot.248. Jeden z najstarszych grobowców na cmentarzu w Sarnakach*



## *XI. Kolędnicy i kolędowanie*

- Dziadku obiecałeś opowiedzieć o zwyczajach bożonarodzeniowych.
- Obiecałem i spróbuję dotrzymać słowa. Na moich oczach zaginęła przepiękna tradycja kultywowana na wsiach podlaskich, a zapewne i w innych częściach Polski
- W Siedlcach czasem chodzą kolędnicy.
- Niestety, to, co oni pokazują i robią, nie ma nic wspólnego z kolędowaniem. Byle jak zlepiona szopka na kawałku kartonowego pudełka, byle jak odśpiewane kolędy, nie, to nie jest kolędowanie. W Mierzwicach, w szczególności w Starych, kolędnicy do swoich występów przygotowywali się przez kilka tygodni pod kierunkiem ludzi, którzy znali tradycję i potrafili wiele



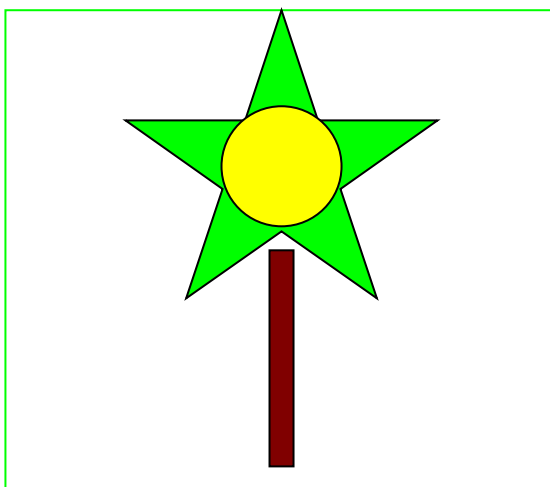
*Fot.249. Choinka przywędrowała do nas z Niemiec*

nauczyć młodych. Na Koloniach i w Nowych Mierzwicach nie słyszałem, aby chodzili rodzimi kolędnicy. Oczywiście, Nowe Mierzvice obsługiwali kolędnicy ze Starych Mierzwic, być może przed pierwszą i drugą wojną, stamtąd też rekrutowali się kolędnicy. Nic na ten temat nie słyszałem, zdaje mi się, że na Nowej Wsi, jak czasem nazywano Nowe Mierzvice, podobnie Stara Wieś, to Mierzvice Stare, nie było odpowiednio zapalonych i dobrze znających stare obyczaje starych ludzi. Kolędnicy ze Starych Mierzwic, szczególnie szopkarze i „herody” kolędowali po okolicy, również wędrując po prawosławnych wsiach zabużańskich w okresie tamtejszych świąt Bożego Narodzenia, jak zapewne wiesz, opóźnionych w

- stosunku do katolickich o dwa tygodnie.
- Kiedy się kolędowało?
- Najważniejszy dzień, w którym chodziło się z kolędą, to drugi dzień świąt Bożego Narodzenia. Gościnnie kolędnicy występowali jeszcze w czasie świątecznych wieczorów.
- Czy były jakieś kategorie wiekowe?
- Tak. Najmłodszy chodzili z gwiazdą, trochę starsi z gwiazdą i kozą, jeszcze starsi z wierciochem, młodzieńcy z szopką, a najstarsi z „herodami”. Wśród „herodów” byli już dorośli mężczyźni. Trzeba przyznać, że stosunkowo mało kolędowały dziewczyny. Chodziły jedynie z krakowiakami, a czasem przebierały się za Cyganki w okresie Nowego Roku i zajmowały się wróżeniem.
- Dziadku możesz opisać, jak wyglądali kolędnicy i jak wyglądała kolęda?

- Oczywiście, mogę. Trochę pamięć już zawodzi, ale dawne wydarzenia i zwyczaje dość dobrze pamiętam. Zacznę od gwiazdorów. Najważniejszym rekwizytem była gwiazda. Pamiętasz, że przed dwoma tysiącami lat gwiazda prowadziła trzech mędrców do Betlejem, miejsca narodzenia Pana Jezusa.

Potem gwiazda zatrzymała się nad stajenką. Pastuszkowie też pierwsi zobaczyli tajemniczą gwiazdę. Na pamiątkę tamtego wydarzenia pojawili się kolędnicy obnoszący wędrującą gwiazdę. Robiło się ją z obręczy starego rzeszota. Rogi sklejało z listewek. Najczęściej gwiazda posiadała cztery, pięć, bądź sześć. Rogi i samą gwiazdę oklejano bajecznie kolorowym papierem. Z rogów zwisały długie frędzle wycięte z pasków bibułki. Wewnątrz umieszczano



się gniazdo na świecę ze starego lichtarza. Przed rozpoczęciem kolędowania kolędnicy zapalali świeczkę i cała gwiazda świeciła różnobarwnym światłem. W prostszych, gwiazdor obracał ją bezpośrednio ręką. W niektórych kręciło się korbką zamocowaną na kij, na którym umocowano gwiazdę. Kolędowanie wyglądało mniej więcej tak. Gwiazdorzy idąc przez wieś dzwonili, hałasowali, tak, że z daleka było ich słychać. Psy szczekały. Robiły mnóstwo zamieszania.



*Fot.250. Kolędnicy bardzo ożywiali zasypaną śniegiem wieś*

Ciekawe, ale ten hałas nikogo nie denerwował, a zapowiadał chwile, na które wszyscy oczekiwali. Kolędnicy zaczynali kolędowanie szarówką, gdy zaczynał zapadać zmrok. Chodzili od domu do domu, od obejścia do obejścia. Najsampierw do mieszkania wchodził jeden gwiazdor, pozdrawiał domowników i pytał? - Przyjmiecie z gwiazdą?- Na przyzwalające - tak, dzwonił i do izby wchodziła reszta kolędników. Grupa składała się z czterech do pięciu chłopców. Prowadzący zapalał świeczkę w gwieździe i zaczęło się śpiewanie. Zazwyczaj kolędnicy śpiewali trzy, cztery kolędy. Oczywiście najważniejsza to: „Wśród nocnej

ciszy...”, „Lulajże Jezuniu...”, „Bóg się rodzi moc truchleje...”, „Przybieżeli do Betlejem pasterze...”. Repertuar był dość bogaty, a śpiewacy wyuczeni i nieźle śpiewający. Kolędnicy specjalnych strojów nie nosili. Czasem charakteryzowali



się na pasterzy. Dawniej kolędników obdarowywano bułkami, kiełbasami, czymś, co jadało się podczas świąt. W późniejszych latach wręczano skarbnikowi pieniądze. Na zakończenie artyści śpiewali pieśń - podziękowanie: „Za kolędę dziękujemy, zdrowia, szczęścia wam życzymy...”. Bardzo rzadko, w którymś domu nie przyjęto kolędników. Zdarzało się, że gwiazdorzy chodzili z gwiazdą i kozą. Wtedy jeden ubierał się w kozuch wywrócony spodem na wierzch, na głowę wkładał maskę kozy z bródką i kłapiącymi szczękami. Kozą pobekiwała, bodła rogami młode dziewczęta, podskakiwała, robiła wiele zamieszania, psociła, zaczepiała gospodarzy, zawsze wzbudzała wiele radości, szczególnie wśród dzieci, które z niepokojem kryły się w fałdach matczynych spódnic. Z kozą chodziła starsza młodzież.

- Dziadku, mówiłeś, że czasem chłopcy chodzili z „wierciochem”?

- Zdaje mi się, że to była specjalność wybitnie regionalna. Kolędowanie przypominało kolędowanie z gwiazdą. Zamiast gwiazdy kolędnicy nosili szopkę z ruchomymi figurkami. „Wiercioch” robiło się ze starej obręczy sita i rzeszota. Ramę dużego rzeszota rozcinano na połowę. Stanowiła ona fundamenty okrągłej walcowatej szopki. Wewnątrz umieszczano obudowę mniejszego sita, które mocowano na pionowej osi zakończonej u góry korbką. Oklejano je



**Mniej więcej tak, to wyglądało**

papierem, a do zewnętrznej krawędzi przyklejano figurki z papierowej szopki. W środku, przy nieruchomym żłóbku z małym Panem Jezusem, czuwała Matka Boska ze Świętym Józefem, często towarzyszyły im zwierzęta. Małego nawiedzał korowód pasterzy, Trzej Królowie i ludzie wszystkich stanów składając dary, i oddając pokłon Nowonarodzonemu. „Wiercioch” przypominał szopkę o cylindrycznych ścianach z kopulastym dachem. Oklejano je pergaminem tak, że podświetlone światłem świecy figury rzucały cienie na półprzezroczyste ściany. Po wejściu do mieszkania ustawiało się „wiercioch” na stołku. Jeden z kolędników zapalał świecę i zaczynał kręcić korbką. W otworze szopki przed Świętą Rodziną kolejno pojawiały się różne postacie. Podobnie, jak przy chodzeniu z gwiazdą



*Fot.251. Świeczka podświetlała wewnątrz gwiazdy, wierciocha i szopki*

śpiewano kolędy.

- Dziadku przygotowania do kolędowania z szopką wymagały znacznie większego nakładu pracy?

- Oczywiście. Należało przygotować szopkę. Przede wszystkim, budowla była dość duża, pięknie zdobiona. Wewnątrz umieszczano figurki gipsowe lub gliniane. Trzeba było je zrobić, odpowiednio pomalować. Wykonywało się je z różnych materiałów. Wnętrze szopy miało wiele autentyczności. Model żłobu przypominał prawdziwy żłób, podobnie było ze sprzętem gospodarczymi, z figurkami zwierząt ustawianych w różnych pozycjach. Dach szopy przypominał słomianą strzechę. Nad wejściem świeciła ogoniasta gwiazda. Szopkarze musieli zadbać o stroje. Niektórzy kolędnicy ubrani byli w stroje pasterzy, ale większość



Fot.252. „Chrystus nam się narodził”

przypominała żołnierzy ubranych w kolorowe czapki, opasanych krzyżującymi się lentami, tak nazywano szerokie pasy sklepane z tektury i zdobione kolorowym papierem. Ramiona zdobiły wielkie, frędzlaste pagony. Śpiewano kolędy, ale również dawano przedstawienie skróconych jasełek. Było to spotkanie z Dobrą Nowiną, którą obwieszczał zaspanym i przestraszonym pasterzom anioł. Anioł ubrany był w wypożyczoną z kościoła komżę, z błyszczącą gwiazdą na czole i okazałymi, białymi skrzydłami. Anioł pierwszy wchodził do izby i pytał mieszkańców „czy chcą przyjąć kolędników z szopką?” Na pozytywną odpowiedź reagował potężnym dzwonieniem i reszta kolędników

wchodziła do izby. Szopkę ustawiano na stołeczku. Wewnątrz zapalano świeczkę. Pasterze kładli się wokół szopki i przedstawienie zaczynało się od nieoczekiwanego przebudzenia, bo Bartosz zauważył dziwne światło na niebie. Przestraszeni pastuszkowie też je zobaczyli, i zastanawiali się, co to mogłoby być? Kiedy tak deliberowali, zjawiał się anioł i oznajmiał wesołą nowinę „Chrystus nam się narodził”. Zapanowała wielka radość i podniecenie, wreszcie wszyscy wybrali się do szopy, aby oddać pokłon Najwyższemu. Wędrowni pasterze towarzyszyły stosowne kolędy.

- Dziadku, musiało to bardzo ładnie wyglądać?

- Oczywiście, że wyglądało bardzo ładnie, kolorowo, a aktorzy starannie przygotowani do występów, które bardzo się wszystkim podobały. Kolędnicy wkładali wiele serca, a pan Kowaluczek miał doskonałe wyczucie i potrafił świetnie przygotować kolędników do swej roli.



- Dziadku, najciekawsze występy dawały „herody”?

-Tak, to były najciekawsze występy i wymagały długich przygotowań. Zdarzało się, że kolędnicy - herodziarze byli zapraszani na wesela, gdzie ich popisy uświetniały uroczystość, jeżeli gdzieś na takie trafili. Podczas świąt organizowano w remizie strażackiej zabawy, też tam bywali i stanowili dodatkową atrakcję. Zawsze głównym bohaterem przedstawienia był król Herod, potem diabeł, anioł, śmierć, kat, żyd, no i kilku żołnierzy – straż przyboczna Heroda. Z herodami chodziła młodzież starsza, dorosła lub dorastająca. Dzieci panicznie bały się kolędników - herodziarzy. Lęk potęgowali sami artyści strasząc maluchów, ile tylko się dało? Było to częścią swoistej tradycji. Herody musiały być takie, aby wzbudzać respekt u innych. Szczególnie strasznie prezentowała się śmierć, prawie tak samo, jak w starych książkach do nabożeństwa, koścista i z kosą



*Fot.253. Król Herod*



*Fot.254. Diabeł*

na ramieniu. Nie darmo lud ją nazywał kostuchą – od kości. Obleczona w białe prześcieradło z wymalowanymi kośćmi czaszki, klatki piersiowej, z piszczelami i kosą na ramieniu mogła solidnie wystraszyć każdego. Diabeł wyciągał z kątów zestresowane, ale i rozbawione dziewczęta i ciągnął do piekła przy okazji smarując sadzą gęby. Pisku było, co niemiara. Czerwony kat przykryty kapturem straszył toporem i swoim wyglądem. Żyd z wielkim garbem na plecach bawił wszystkich facecjami, zachowaniem i wyglądem. Z głów dziewczuch wyciągał wielkie wszy i tłukł na sękatym kosturze. Zapewne, w niejednej głowie rzeczywiście dobrze się miały, bo te zwierzątka zamieszkiwały niejedną wiejską czuprynę. Aktorów dobierał Kowaluczek zwracając uwagę na temperament, predyspozycje, cechy

osobowości i umiejętności, i trzeba przyznać, że robił to nadzwyczaj dobrze, z wielkim wyczuciem. Przedstawienie zaczynało się od oznajmienia Herodowi, że w Ziemi Judzkiej narodził się Mesjasz,

który będzie Królem Żydowskim. Herod bardzo się denerwował. Początkowo udawał, że chce złożyć hołd nowonarodzonemu Jezusowi. Jednak tego nie zrobił, ponieważ mały Jezus wraz ze Świętym Józefem i Matką Bożą, ukryli się, w porę ostrzeżeni przez anioła. Cały czas knuł, co by tu zrobić, aby pozbyć się niechcianego gościa. Bardzo mu w tym pomagał diabeł licząc na duszę złego króla. Podsunął mu myśl, aby wymordować wszystkie dzieci w Judei. Wkrótce, na rozkaz Heroda żołnierze poszli między Judejczyków i wymordowali niemowlęta płci męskiej.



*Fot.256 Krakowianka*



*Fot.255. Aniołowie*

Wreszcie czara zła się przelała i o głowę Heroda upomniwała się śmierć. Po krótkim sądzie nad zbrodniarzem, w którym uczestniczył anioł i diabeł, przysłała śmierć, i wraz z katem obcięła mu głowę. Diabeł natychmiast chwycił duszę nieszczęsnego króla i powłókł do piekła. Przedstawienie budziło wielki niepokój w małych główkach, które próbowały bezpiecznie skryć się w przepaścistych fałdach spódnic swoich mam lub babć. Herodom towarzyszył niesamowity rejwach, jaki sami wzbudzali w opłótkach. Wystraszone kundły umykały z podkulonymi ogonami i kryły się po ciasnych zakamarkach. Wszystkim po trochu się dostawało, bo diabeł, niezwykle ruchliwy, dopadał każdego, stateczna śmierć groziła kosą, a żydek nieustannie domagał się tabaki.

- Dziadku, święta Bożego Narodzenia należały chyba do najweselszych świąt w całym roku?

- Rzeczywiście, najbardziej obrosły w tradycję dla nich specyficzną. Zawsze bardzo je lubiłem. W okresie Bożego Narodzenia chodzili po kolędzie krakowiaczy, a właściwie krakowianki, bowiem były to same dziewczęta. Ubierały się w charakterystyczny strój krakowski bardzo popularny



wśród dzieci na Podlasiu. Śpiewały kolędy, tańczyły. Zazwyczaj chodziły po świętach Bożego Narodzenia, podczas tak zwanych świętych wieczorów. W Nowy Rok buszowały Cyganki – przebierańce. Wróżyły. Poprzebierane dziewczyny nakładały na siebie po pięć babcinych spódnic. Pod spodem znalazły się najdłuższe, a im bardziej na zewnątrz tym krótsze. Wszystkie spódnice były widoczne. Buzie i ręce smarowano sadzą. Spotkania z mierzwiaczanami miały charakter nadzwyczaj frywolny. Gospodyni, która dała namówić się na wróżby, odchodziła wysmarowana w czarne łatki przez sprytne wróżbiarki. W rolę Cyganki doskonale się wcielała Loda Kornilów. Tak ją nazywano, nazwisko rodowe było zupełnie inne. Dokładnie pamiętam jedno takie spotkanie w chałupie mojej matki. Jak to się teraz mówi, ubaw był wspaniały.

- Dziadku, dawniej, podczas oktawy świątecznej działy się bardzo interesujące rzeczy.

- Niestety, niektóre zwyczaje umierają razem z ludźmi, którzy je znali i kultywowali. Przyszły nowe. Dawniej w balach sylwestrowych uczestniczyli ludzie bogaci. Często organizowano je na cele charytatywne. Jedni się bawili płacąc grube pieniądze, inni korzystali z okruszków spadających z pańskiego stołu. Teraz stały się powszechne i prawie wszyscy młodzi muszą bawić się na zabawach sylwestrowych. Strzelanie sztucznych ogni, to też wymysł późniejszy. Przywędrował do nas z Zachodu. Chcę ci powiedzieć o jeszcze jednym, bardzo starym zwyczaju świątecznym.

- Ciekawe, o jakim?

- W okresie świątecznym i poświątecznym dawniej, i obecnie odbywały się, i odbywają się wizyty duszpasterskie zwane „chodzeniem po kolędzie”.

- W Siedlcach też księża chodzą po kolędzie.

- Zwyczaj powinienes dobrze znać. Kiedyś wyglądało to trochę inaczej, zwłaszcza na naszym Podlasiu. W oznaczonym przez proboszcza terminie na plebanii w Sarnakach zjawiał się gospodarz z pięknie wymoszczonymi sankami przykrytymi kolorowym dywanem. Koń musiał być rączy, a sanki strojne. Mogły to być specjalne sanki – wyjazdówki, z oddzielnym siedziskiem dla woźnicy i oddzielnym dla pasażera. Z upływem lat było coraz mniej wystawnych sanek zastępowanych przez dwuczściowe sanie składające się z



*Fot.257. W Nowy Rok nie puszczano sztucznych ogni, ten zwyczaj przyplątał się do nas później z Zachodu*

tak zwanych zajdek. Do honoru wsi i gospodarza należało, aby księdza przywieźć z odpowiednią pompą. Zazwyczaj sołtys wyznaczał takiego, co wyróżniał się odpowiednią aparycją i dysponował odpowiednimi zwierzętami, i sprzętem. Kolęda zaczynała się z jednego końca wsi. Na skraju oczekiwał już elegancko wystrojony gospodarz. Kolęda na wsi była swoistym świętem. Zazwyczaj księdzu towarzyszył ministrant lub miejscowy chłopak dobrze znający obejścia. Kiedyś byłem takim chłopakiem i prowadziłem księdza kanonika, ale raczej on mnie prowadził. Chyba mnie lubił, bo sam wybrał do posługi. Należałem do młodzieńców wstydlivych i nigdy po cudzych domach się nie szwendałem, tym razem musiałem pokonać wstyd i godnie towarzyszyć księdzu. Ministrant powinien poprzedzać go. Nie było to konieczne, bo gospodarze i gospodynie już wcześniej wyglądali, i starali się osobiście zaprosić, i poprowadzić gościa do domu. Niektórym mężczyznom zdarzało się umknąć z pola widzenia księdza i skryć się, gdzieś głęboko w obejściu.



*Fot.259. Podczas kolędy księdzu towarzyszył ministrant*

Zazwyczaj coś mieli na sumieniu. Najczęściej chodziło o gorzałę. W dawnych czasach księdza ubranego w komżę, z zawieszoną na szyi stulą witano ucałowaniem w rękę. Potem zwyczaj ten zanikł. Ja, już go prawie nie pamiętam. Niektórym księżom sprawiał sporo kłopotu, bo w późniejszych czasach do całowania najbardziej rwały się starsze kobiety, czyli babcie. Po powitaniu rozpoczynały się modlitwy za mieszkańców domu, za pomyślność w gospodarstwie, a potem następowało poświęcenie mieszkania. Po skończonym obrzędzie ksiądz siadał na krześle specjalnie przygotowanym na tę okoliczność. Rozmawiano. Ksiądz przepytывał dzieci ze znajomości pacierza, czasem zapytał o coś z katechizmu. Z dorosłymi rozmawiano o problemach trapiących rodzinę, a także mówiło się o spełnianiu praktyk religijnych, na

zakończenie wręczano ofiarę i odprowadzano do następnego obejścia. Pamiętam, jak podczas jednej z wizyt duszpasterskich księdza kanonika nagle zmarła matka dwóch córek. Kanonik dokończył kolędę bardzo szybko u innych gospodarzy i prosił o modlitwę za zmarłą kobietę. Była to bardzo nietypowa kolęda. Na wsi wieści zawsze rozchodziły się lotem błyskawicy.

-Tragedie też się zdarzają, czasem wynikają z dużego stresu. Dziadku, bardzo ciekawie opowiadałeś o zwyczajach bożonarodzeniowych. Dziękuję ci za to.



## XII. Huta, tłoka, „posiedzinki”, prządki

- Dziadku, ciekawi mnie, jak dawniej wyglądało życie towarzyskie? Jak sąsiedzi odnosili się do siebie, jakie ich łączyły stosunki?

- Jeżeli odrzucimy przypadki sporów majątkowych, sporów o miedzę, bo takowe też bywały, to życie towarzyskie ściśle się wiązało z pracą, czasem z obyczajem, czasem ze świętami. Jak wiesz, bo już o tym mówiliśmy, rodziło się wiele dzieci. Rodziny należały do licznych. Zdarzało się, że w rodzinie był pokaźny tłumek dzieciaków i nowe pociechy ciągle przybywały. Należało je jakoś ochrzcić, więc chrzczono w Imię Pana. Prawie wszyscy mieszkańcy byli spokrewnieni przez kumowanie. Zwrot kumo, kumie miał tu konkretne



Fot.260. Kiedyś tak nie jadano



Fot.261. Rodziły się dzieci

znaczenie. Kuma to kobieta, która była matką chrzestną w rodzinie, która tak ją nazywała, bo kum, kuma, to inaczej matka, ojciec chrzestny. W rzeczywistości, to słowo znaczyło więcej. Jeżeli trzymałem do chrztu dzieciaka z panią Marcinową, to ona była dla mnie kumą, a ja dla niej

kumem. Jeżeli pewna pani trzymała moje dziecko do chrztu, to też dla mnie była kumą.

- Dziadku czy to, takie skomplikowane, czy też, tak zawile wyjaśniasz?

- Twoja babcia z Nowych Mierzwic kumowała w kilkunastu chrztach, dziadek też miał pokaźne konto. Dlatego wzajemne nazywanie się kumem bądź kumą miało głębokie uzasadnienie. Wielu sąsiadów i sąsiadek też wielokrotnie kumowało. Zwrot ten całkowicie zanikł, podobnie, jak słowo nieboszczka, nieboszczyk, czyli ktoś, kto już nie żyje, umarł.

- Dziadku, sądzili się sąsiedzi o miedzę, o gruszki, które spadły z gruszy właściciela na działkę sąsiada i ten je pozbiarał.

- Pamiętasz w Ogniem i Mieczem Rzędzianowie sądzili się z sąsiadami Jaworskimi o gruszki, które leżały na miedzy, a które spadły z gruszy, która również rosła na miedzy. Spór trwał już od kilku pokoleń.

- Były takie wypadki w Mierzwicach?

- W dawnych czasach ludzie wcale nie chodzili do sądów. Spory rozsądzali polubownie we własnym środowisku. Obowiązywała prosta reguła spłaty rodzeństwa przenoszącego się, gdzie indziej. Nie zawsze dochodziło do spłat, wtedy dzielono i sporządzano akty notarialne. Działki szczupłały i wydłużały się, i to nie rzeczywistą długością tylko w wyniku zachwiania proporcji między

długością a szerokością Trochę to przypominało chudą dziewczynę, która zawsze wydawała się wyższa od takiej samej, tylko korpulentnej. W niektórych przypadkach dochodziło do paradoksu, bowiem właściciel czterokilometrowej działki nie mógł się zamachnąć kosą, ponieważ oprócz swojego zboża kosiłby zboże sąsiadów. Miedze wyznaczały potężne kamienie zakopane jeszcze przez dziadów. Wątpliwości mogły pojawić się przy wyznaczaniu działek leśnych. Znaczono drzewa, każdy to robił według własnego kodu. Na łąkach było trochę lepiej, bo tam też zdarzało się, że działki oznaczano bardzo prowizorycznie. Granice zmieniały także Bug. Na Zaskiepiu i na nadbużańskich łąkach działy się różne rzeczy. Na Zaskiepiu Bug zabierał niezbyt zasobną łąkę na wschodzie i każdego roku coraz to większe jej fragmenty ginęły w odmętach rzeki, gdy na zachodzie i północy przybywało. Do koszenia te łąki się nie nadawały,



*Fot.262. Przed pięćdziesięciu laty tędy płynęła rzeka, teraz jest dzika łąka*



*Fot.263. Między wyspą a brzegiem znajdowały się pola, które rzeka zagarnęła do swego koryta*

z niewielkimi opadami śniegu spowodowały, że na wiosnę rzeka prawie nie zalewała doliny i wszystko się osuszyło. Na środku wsi Bug wyżarł kawał łądu. Pamiętam, że w czasach mojego dzieciństwa uprawiano tu sporo gruntów, rosła, pszenica, brukiew, kapusta. Teraz, tam, gdzie były pola, płynie rzeka. Z kolei na drugim końcu wsi odkładały się warstwy piachu i mułu, i brzeg

Do koszenia te łąki się nie nadawały, bo trawa słabo rosła, albo rosła bagienna, której zwierzęta nie chciały jeść. Zamieniono je, więc we wspólne pastwisko. Dopóki mierzwiczenie gospodarowali, hodowali krowy, to półwysep był wielkim pastwiskiem, ale, jak gospodarze powymierali, młodzi wyjechali, zwierzęta znikły z krajobrazu i Zaskiepie w naturalny sposób zamienił się w step, i las. Zimy



*Fot.264. Wiosenne rozlewiska, gdzie tu, znajduje się wielki kamień, zakopany w ziemi*



odsuwał się na północny wschód. Tam przybyło kilkadziesiąt metrów niezłych łąk i sporo gęstych nadrzecznych krzaków. Jako dzieci kąpaliśmy się przy olbrzymim kamieniu, który teraz znalazł się na łądzie głęboko zakopany w ziemi. Podobno, kiedyś w jego pobliżu utonął chłopak, który zamiast pójść do kościoła na Mszę, poszedł kąpać się do rzeki i tam pozostał. Wydarzenie miało miejsce ze sto lat temu. Opowiadała mi o nim matka, która przeżyła je, też podczas swego dzieciństwa. Teraz miejsce dawnej tragedii znajduje się daleko w głębi łądu.

- Dziadku wspominałeś, że od czasu do czasu urządzano we wsi huty? Dla mnie huta kojarzy się z wytopem stali.

- To tylko przypadkowy zbieg dźwiękowy. W tej części Podlasia hutą nazywano całodzienną pracę gospodarzy i sąsiadów bez wynagrodzenia, a tylko za sowity poczęstunek, gdzie indziej nazywało się to tłoką. Gospodynie mające na wydaniu córki organizowały huty poświęcone darciu pierza, z którego robiono pierzyny, poduszki, jaśki. Dobrą okazją było szatkowanie kapusty, przędzenie



*Fot.265. Chałupa musiała być duża*

wełny na dywany i materiały, z których potem szyto ubrania, tak zwane samodziały, wywózka kłoców do tartaku, a potem powrót z gotowymi deskami i balami, i wiele innych. Gospodarz czy gospodyni szykująca hutę zwoływali na określony dzień sąsiadów, czy sąsiadki dla wykonania określonych prac. Huta wymagała odpowiedniego przygotowania. Nie każdy mógł ją zrobić. Izba musiała być duża, a najlepiej, ażeby w chałupie było kilka izb. Musiały pomieścić

wszystkich pracujących. Na przykład podczas darcia pierza zapraszało się z dziesięć sąsiadek. Każdej przydzielano stołek, często przychodziły z własnymi, potrzebne było odpowiednie naczynie, w którym składało się zdarte pierze. Nie wiem czy pamiętasz, jak wygląda ptasie pióro?

- Pamiętam.

- Darcie polegało na oddzieleniu miękkiej stosiny od twardych i kłujących dudek. Oddzielnie zbierało się puch z piórek chroniących ptaka przed zimnem. Nie muszę ci mówić, że najlepsze pierze dawały gęsi. Puch stanowił najcenniejsze fragmenty piór puchowych. Na wiosnę ptaki się pierzyły, to znaczy wymieniały gęste, zimowe, puszyste piórka na letnie znacznie bardziej przewiewne. Podobno dawniej zbierano takie piórka po podwórkach i skrzętnie przechowywano. W maju gospodynie hodujące gęsi oskubywały im kupry z piórek. Chyba to ptakom za bardzo nie dokuczało, bo zaczynał się okres pierzenia się, czyli samoistnego wypadania piór. W czerwcu stada gęsi wyglądały dość brzydko. Prezentowały się na podwórkach z gołymi kuprami. Po jakimś czasie wszystko wracało do normy i gęsi odzyskiwały dostojny wygląd.

Głównie stąd pochodził surowiec, z którego otrzymywano puch na poduszki. Podczas huty oddzielano miękkie części piórek od twardych dudek. Lekkie puszek łatwo unosiły się w powietrze. Wystarczył przeciąg, aby w izbie wzbijała się biała chmura. Często młodzieńcy próbowali figlować. W pracach, obok statecznych matron, uczestniczyła młodzież skłonna do żartów i figłów. Często białe puszek fruwały po izbie. Zazwyczaj zbierano pióra gęsi przez dłuższy czas, aby z okazji nadzwyczajnych wydarzeń w rodzinie, raz na kilka lat zorganizować darcie pierza. Wyprawy ślubne panien matki przygotowywały przez wiele miesięcy, na ogół z dużym wyprzedzeniem przed weselem. Nawet, w biedniejszych rodzinach starano się dawać córkom w posagu: pierzyny, poduszki, pościel.

- Dziadku, nie kupowało się kołder i poduszek w sklepie?

- Nie, wszystko musiało być zrobione przez matkę panny młodej. Kupowano tylko materiał na wsypę. Musiał być bardzo gęsto utkany.

-- Podczas huty, tylko pracowano?

- Na zakończenie huty wyprawiano przyjęcie. Oczywiście, podczas pracy gospodyni starała się, aby jej goście nie byli głodni. Nieraz było bardzo wystawne. Podawano kapustę, ziemniaki z omastą, kielbasę, kaszanke, ciasto i gorzałkę. Podochocone towarzystwo, często składające się z samych kobiet, zaczynało we wsi dokazywać. Zdarzało się, że ktoś w nocy przyniósł



Fot.266. Wychodek

wychodek i oparł je o drzwi wyjściowe sąsiadów. Dopiero rano przychodziła kulminacja żartu, kiedy właściciel gospodarstwa i wychodka otwierając drzwi na dwór nieoczekiwanie znalazł się w niezbyt czystym, i ładnie pachnącym domku.

- Dziadku, nie wiem, co to jest wychodek?

- To taka ubikacja zrobiona z desek i postawiona, gdzieś za stodołą. Nie był to zbyt powszechny budynek. Najczęściej załatwiano się za stodołą bezpośrednio, w tak zwanym plenerze. Wychodki, to wynalazek dość późny, z tego, co wiem, zaczęto upowszechniać go na Podlasiu dopiero w okresie międzywojennym. Czasem od nazwiska ministra odpowiedzialnego za tę część działalności ludzi nazywano je sławojkami. Dlatego wędrując opłotkami trzeba było bardzo uważać, aby nie wdepnąć w coś nieprzyjemnego.

- Mierzwiczenie lubili sobie pożartować?

- Rzeczywiście lubili. Zawsze we wsi znalazło się kilku wesołków. Jedni drugim też potrafili płatać psikusy. Huta była szczególną okazją do robienia kawałów swoim bliźnim. Zdarzało się, że komuś zatknięto komin i potem baba nie mogła rozpalić pod piecem, bo dym nie chciał iść do komina. Byli tacy, co potrafili wciągnąć w nocy wóz na kalenicę dachu i oprzeć hołoble o komin. Właściciel wozu nigdy nie był w stanie samodzielnie go zdjąć. Zdejmowali ci sami, co go



tam wciągnęli, tylko, że teraz za odpowiednim wynagrodzeniem, które nazywało się pół litra.

- Mówiłeś dziadku, że organizowano huty do szatkowania kapusty?

- Tak. Kapusta należała do jednych z ostatnich ziemioplodów, jakie zbierano przed zimą. W każdym domu kisiła się w wielkich beczkach i obok ziemniaków, i chleba należała do najczęściej zjadanych. Po zebraniu z pola przywożono głowy kapusty z liśćmi na podwórze. Tam w wolnej chwili czyszczono z liści i części zdrewniałej łodygi przygotowując główki do szatkowania. Od bardzo dawna szatkowano kapustę nożami. Niektóre gospodynie potrafiły ciąć kapuściane głowy na bardzo wąskie paseczki. Cieszyły się szczególnym wzięciem w społecznościach jednych i drugich Mierzwic. Oczywiście, nie głowy tylko specjalistki od szatkowania. W dniu huty zjawiały się kobiety z



*Fot.267. W wielkiej beczce kisi się kapusta. W podobny sposób kiszono ogórki*

odpowiednio wyostrzonymi nożami. Na środku izby ustawiano wielką balię zrobioną przez bednarza z sosnowych klepek. Wokół obstępowały ją trzy czy cztery kobiety z nożami w garści. Gospodarz przynosił kapustę do kuchni, gdzie następny hutnik obcinał zbędne liście i oczyszczone głowy podawał szatkującym kobietom. Pani domu, od czasu do czasu, dosypywała do balii z kapustą cienko krojoną marchewkę. Po napełnieniu, dodawano soli i starannie mieszano, następnie wkładano do miednicy, i jeden z

mężczyzn odnosił urobek do wielkiej beczki, gdzie ciężkim stęporem gospodarz ciasno ubijał zwartość. Dawniej nie używano stępora, tylko korzystano z usług wystarczająco ciężkiej dziewczyny. Przed operacją ugniatania musiała starannie umyć nogi, a potem włąziła na bosaka do beki i własnymi stopami ugniała kapustę. Beczkę zazwyczaj ustawiano w komorze. Na wierzchu układano liście, całość przykrywano drewnianym denkiem i przyciskano kamieniem. Po kilkunastu dniach kapusta była gotowa. Każda szanująca się gospodyni miała godziwą bekę tego przysmaku. Kapusta należała do podstawowego menu mieszkańców Mierzwic. W późniejszych czasach używano specjalnej szatkownicy, poruszanej przez dwie kobiety. Przed szatkowaniem należało usunąć z główki głąby. Parę razy towarzyszyłem swojej mamie w takim zespołowym szatkowaniu u naszej sąsiadki, którą nazywaliśmy Józefową Klimichą, chociaż w rzeczywistości nazywała się Teodora Daniluk i była rodowitą Łotyszka, którą przywiózł, wracając z żołdatów, nasz daleki kuzyn - Józef. Bardzo ją wszyscy lubiliśmy. Nie muszę dodawać, że w części rozrywkowej udziału nie brałem.

- Podobno organizowano huty, podczas, których kobiety przędły?

- Zdarzało się, że któraś gospodyni miała sporo wełny, ponieważ w swoim gospodarstwie hodowała owce. W wyniku narady rodzinnej ustalono, że dobrze by było przygotować materiał na pasiaki lub na ubrania wyjściowe dla rodziny. Na początku dwudziestego wieku mierzwiczenie rzadko kupowali gotowe materiały, które nazywano kramnymi. Przez dłuższy czas nie mogłem pojąć, dlaczego niektóre nazywano kramnymi, a niektóre samodzielnymi. Dopiero później zorientowałem się, że kramne, to fabryczne, a nazwa pochodzi nie od miejsca produkcji, a od miejsca nabycia, czyli od kramu, w którym nabytek został kupiony. Trochę to przypominało zdarzenie, które, kiedyś opisał znajomy lekarz. Otóż zgłasza się do niego starsza kobieta. Przyszła na własnych nogach. - Panie doktorze, chyba złamałam nogę- rzecze na wstępie. - Gdzie? – pyta lekarz. - Panie doktorze, koło Gieńkowej Polki – odpowiada przytomnie. Ażeby huta była skuteczną należało zaprosić więcej przadek. Każda zabierała własny sprzęt i goniła na spotkanie z resztą towarzystwa. Prace zaczynało wcześniej. Jesienny dzień z zachmurzonym niebem trwał krótko. W ciepłej izbie przyjemnie się siedziało, gdy za oknem hulał wiatr i padał nieprzyjemny deszcz. Ściemniało się szybko.



*Fot.268. Lampa naftowa*



*Fot.269. Latarnia naftowa*

W izbie w różnych miejscach zawieszono kilka lamp naftowych. Pod sufitem podwieszono dużą latarnię podwórzową. Prządkom dużo światła nie było potrzeba. Doskonale znały swój fach. Lampa to wymysł z przełomu dwudziestego wieku. Dawniej musiano zadawać się na wsi żarem bijącym z pieca. Bogatsi oświetlali izby lampką składającą się z knota zanurzonego w zastygłym łoju, czyli tłuszczu z owcy. Kopciło to i niezbyt ładnie pachniało. Technika posunęła się do przodu i łojaki zastąpiły lampy naftowe. Naftę i lampy można było kupić w sklepiku u Żyda. Przez dzień udawało się uprząść kilka kłębków wełny przez każdą z

prządek. Gospodyni mogła być zadowolona.

- Co robili potem z tą wełną.

- Należało ją uprać, potem farbować i po wysuszeniu nitki nadawały się na krosna. Zanim



*Fot.270. Talka*



przystąpiono do prania należało wełnę zwinąć w motki, co się robiło przy pomocy specjalnego urządzenia zwanego talką. Farbowanie należało do dość skomplikowanej sztuki. Nie każda gospodyni opanowała ją w wystarczającym stopniu. Po wysuszeniu i ponownym zwinięciu w kłębki nastawiano krosna. Zazwyczaj dwie lub trzy sąsiadki pomagały w trudnej sztuce narządzania. Do trudniejszych zajęć należało tkanie pasiaków, charakterystycznych Podlasiakom wełnianych dywanów. Na samodziąły też przygotowywano nitki w specjalny



*Fot.271. Prawidła służące do formowania walonków*

sposób. Często farbowano na dwa kolory, potem po wysuszeniu splatano na kółku.

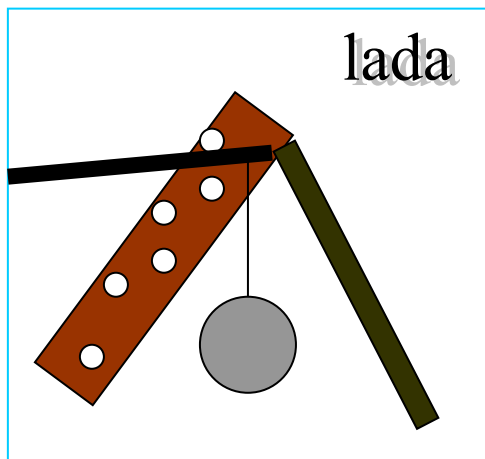
- Dziadku, dawniejsi mieszkańcy musieli posiadać wiele umiejętności. Jak chociażby pieczenie chleba, przygotowanie tkanin, wyrabianie mąki.

- Od Rosjan nauczyli się robić buty z wełny, które nazywano walankami lub bardziej literacko walonkami. Wyobraź sobie, że wiem, jak się robi buty z wełny. W razie potrzeby sądzę, że potrafiłbym zrobić takie walonki, potrzebna byłaby zgręplowana wełna. Wełna naturalna składa się z dość grubych kosmków. Podczas gręplowania z surowej wełny robi się dość jednolita struktura. Wydaje mi się, że słowo gręplowanie można zastąpić czesaniem, chociaż, to niedokładnie, to samo

znaczy, bliższe byłoby rozczesywanie. Aby wełnę uprząść też należało wpierw ją zgręplować. Sądzę, że to słowo słyszysz po raz pierwszy. Pierwsze gręplarnie napędzono ręcznie przy pomocy korby.

- Zgadza się dziadku, nigdy nic nie słyszałem o gręplarni ani o gręplowaniu.

- Do tej pory mówiłem o hutach, które organizowały kobiety dla kobiet. Również organizowano huty, w których uczestniczyli głównie mężczyźni. Przy gromadzeniu materiałów budowlanych wygodnie było posłużyć się hutą. W lesie ścinano sosny, podczas zimy. Po puszczeniu lodów i stopnieniu śniegów często organizowano zespołowy wyjazd do tartaku. Pamiętasz, jak



*Fot.272. Fragment krosien*

mówiłem, o tartaku, który zbudowali Niemcy we Fronołowie. Istniał bardzo krótko. Potem powstawały tartaki w Platerowie, w Horoszkach. Był to spory kawałek drogi od Mierzwic. Jeden człowiek pracowałby ze dwa tygodnie, aby zetrzeć wszystkie kłocce. I tak musiałyby szukać pomocników, bo sam nie dałby rady załadować fury pniami a potem ją rozładować. Przy wkładaniu bali na furę i zdejmowaniu korzystało się z tak zwanej lady. Przyrząd niezwykle prosty, a jakżeż skuteczny. Z grubych desek zrobiono dwa boki lady. Deski połączono niewielkimi klockami z wytrzymałego drewna, a nie mającego tendencji do szczypania się. W deskach nawiercono naprzeciw siebie kilkadziesiąt otworów, w które wkładano stalowe bolce. Do kompletu potrzebna była jeszcze stalowa dźwignia z dwoma wgłębieniami na końcu. Między wgłębieniami przymocowano mocny hak. Przy podnoszeniu wykorzystano prostą zasadę dźwigni. Jedna taka huta omal nie zakończyła się tragicznie. Zorganizował ją sąsiad. Z Konstątnowa hutnicy mieli przywieźć do Mierzwic jakieś dobra, które tylko tam można było dostać. Wozacy – hutnicy cierpliwie czekali pod jakimś magazynem. Nieoczekiwanie wyplął niewielki obłok zza drzew, błysnęło, zagrzmiało i po chwili zerwała się wściekła wichura, która w kilka minut zdmuchnęła do fundamentów murowany magazyn. Urżnęła potworna ulewa. Wkrótce plac zalała woda, sięgała do kolan. W powietrzu fruwały jakieś blachy, belki, pustaki. Na szczęście nikt nie doznał poważniejszych obrażeń. Parę rozbitych głów wymagało pomocy lekarskiej. Wtedy już panoszyły się ośrodki zdrowia z lekarzami i personelem medycznym. Nikt poszkodowanym nie chciał udzielić pomocy. Wreszcie w jakimś miejscu znaleźli trochę życzliwszego lekarza. Pełni wrażeń wrócili do domu, na szczęście w miarę cali i w miarę zdrowi. Prawdopodobnie przeszła przez Konstątnów lokalna trąba powietrzna, bowiem w pasie o szerokości dwustu metrów nie zostało się żadne drzewo i żaden budynek.



*Fot.273. Tornado narobiło spustoszeń*

- Tak dziadku, w życiu mogą zdarzać się różne nieprzewidziane rzeczy.
- Wnusi, powalasz mnie swoją trzeźwą argumentacją.
- Dziadku, jak mieszkańcy Mierzwic spędzali wieczory?
- W lecie, każdą wolną chwilę przeznaczali na wypoczynek. Od wiosny do jesieni musieli pracować na roli. Wszystkie czynności w gospodarstwie wykonywało się przy pomocy koni i własnych rąk. W rolnictwie najczęściej prac przypadało na okres letni. Niektórzy kładli się spać z zachodzącym słońcem, a wstawali ze wschodzącym. Nie było zbyt wiele czasu na sen. Życie towarzyskie wracało z nastaniem długich wieczorów. Nie było elektryczności, rzadko, gdzie było radio. Dopiero w latach trzydziestych zaczęły pojawiać się na wsi aparaty kryształkowe na słuchawki. Wszystko znajdowało się jeszcze w powijakach.



Ludzie byli skazani na siebie. Kwitło życie kulturalne wokół szkoły. Przygotowywano przedstawienia. Potem młodzi artyści prezentowali swoje umiejętności przed niezwykle wdzięczną widownią. Wieczorami chodziło się na „posiedzinki” do sąsiadów lub sąsiadki przychodziły do nas. Oczywiście, nie były to, jakieś wyjścia bezinteresowne. Kobiety zabierały ze sobą kółka i przędły wełnę, len, kłaki. Niektóre panie robiły na drutach bluzki, swetry, sukienki, kamizelki, szaliki, skarpety, rękawiczki, nauszники. Chodziły również z kulkami. Kulka, z grubo przędzonych nici wełnianych, lnianych, czasem z rozpuszczonych starych skarpet, wyrabiały różne pożyteczne przedmioty. Robiło się krajczaki. W krajczakach dzieci i stare babcie siedziały w zimowe wieczory po domach. Dobrze wygrzewały się w nich młode lub stare nogi. Kulkami wyrabiano serwetki. Kulka, przypominała stalowy pręcik z jednej strony zakończony występem ułatwiającym wiązanie węzłów w pleciance, która aktualnie powstawała. Swetry, sukienki, bluzki, spódnice wyrabiano na dwóch długich drutach. Do zrobienia skarpet, rękawiczek, rękawów potrzebne były już cztery druty.

- Słabe światło nie przeszkadzało?

- Nie, dobrze sobie radziły przy słabym świetle lampy naftowej. Zresztą innych świateł nie znały. Zaskoczę cię, gdy powiem, że wiele kobiet i mężczyzn też z przyjemnością oddawało się czytelnictwu książek. Podejrzewam, że w dawnych czasach ludzie byli słabo wykształceni, ale czytali znacznie więcej książek, niż to



*Fot.274. To kółko stoi na skrzyni, w której kiedyś przechowywano książki*

robią współcześni. W wielu domach część pieniędzy przeznaczano na książki i biblioteki liczyły po kilkadziesiąt tomów. Teraz może mamy więcej książek, ale częściej służą za dekorację, niż rzeczywistemu czytaniu. Wielu starszych ludzi uczyło się czytać po polsku na książeczkach do nabożeństwa.

- Skąd wiadomo, że czytały?

- Już mówiłem, że w wielu wiejskich domach były biblioteki. Książki przechowywano w skrzyniach i kufrach. Podczas posiedzinek zajęte były ręce, ale buzie i języki miały swobodę ruchów. Niektóre panie zaczytywały się w romansach, potem opowiadały przyjaciółkom, które książki nie czytały, o wydarzeniach tam opisanych. Jako małe dziecko sam lubiłem je słuchać. Choć opowiadania dotyczyły miłości hrabiów i hrabianek.



*Fot.275. Czasem ktoś paniom zrobił zdjęcie*

- Dziadku, obgadywały sąsiadów, sąsiadki?  
- Nie musiały. W jednej, drugiej i trzeciej wsi ludzie wiedzieli wszystko o sobie. Wieści nosły się lotem błyskawicy. W opowiadaniach nie było złośliwości. Znacznie częściej mówiło się o zmarłych. Wspominano mieszkańców, którzy tu żyli i pracowali. Może to tak wyglądało. – Kumo, kuma pamięta, jak nieboszczka Stepuszancka jednego dnia zaszła i przyszła dwa razy do Łosic.- Kumo, pamiętam. Matka też wybrała się do urzędu i zapomniała papierów, też musiała się wracać, ale sprawę zdążyła załatwić - mówiła druga. - Kumo, matka kumy też była bardzo lekka na nogi. - A pamiętacie, jak chodziliśmy na zabawę, całą noc się tańcowało. Rano trzeba było iść do roboty, chociaż przez noc nie zmrużyło się oka. - Oj pamiętam. Na zabawie zawsze siedziały wianuszkami matki i babki, i patrzyły, jakie powodzenie miały ich córki, i wnuczki. - Moja matka nigdy nie chodziła na zabawy. - Moja też nie, ale stara Piotrycha, to nawet spała po ścianę, potrafiła przesiedzieć do rana.  
- Dziadku opowiadasz bardzo obrazowo.



*Fot.264. Nieboszczka  
Walimczycha opowiadała...*

- Chciałbym, abyś dobrze sobie to zapamiętał. Podczas posiedzinek poruszano różne tematy. A to nowy przykład: - Nieboszczka Walimczycha zawsze siedziała w swoich zagonach. Od samego rana do wieczora, a obok niej nieboszczka Broniowa też się przez cały dzień nie ruszała. Rano nagotowała barszczu, to jedli przez cały dzień. - Broniowa dobrze gotowała. Pamiętam, jak moja wnuczka pobiegła do ciotki - nieboszczki Komedichy. - Babciu powiada, ależ ciotka nagotowała budyniu czekoladowego. - A ty go próbowałaś? - Nie. Ciotka nie poczęstowała? - Nie. - To idź i spróbuj. Po piętnastu minutach wróciła. - No i co? - Spróbowałam, ale jakie to niedobre. - Bo to nie budyń, tylko kisiel z owsianki. - Ciotka Komedicha ciągle gotowała kisiel owsiany. - Okraszony i ze skwarkami jest bardzo dobry. - Gdzie tam. Ona na pewno nie krasiała.  
- Dziadku, tak rozmawiano?  
- Oczywiście, może nieco inaczej, ale tematyka była bardzo podobna. Często opowiadano o specjalnych zabiegach magicznych, które pozwalały uniknąć różnych przykrości. Na przykład, jeżeli ugryzie pies, to należy bezwzględnie zdobyć kłaczek jego sierści, spalić i dymem okadzić ranę. Zagoi się szybko i nic złego się nie przyplącze. Żeby dziecko nie dostało kołtuna, to trzeba we włosy wpleść czerwoną tasiemkę, może być wstążka. Koniecznie musi być czerwona. Ostatecznie można posłużyć się czerwoną nitką. Żeby chłopiec lub dziewczynka dobrze rosły, to należało po powrocie z kościoła po poświęceniu gromnicy upalić trochę włosów przyniesioną świecą.



- Dziadku, nieprawdopodobne.
- Wielu ludzi było zabobonnych. Teraz spotyka się jeszcze takich, co gotowi są zawrócić, jeżeli przebiegnie im drogę czarny kot. Niedobre jest wstanie lewą nogą. Nie należy wydawać pieniędzy w poniedziałek – bo pieniądze szybko się rozplyną. Należy zakrywać sedes w ubikacji, aby do domu nie weszły szczury. Trzynastka to bardzo zły dzień. Jeżeli się trafi trzynastka i w dodatku w piątek, to lepiej nie wstawać z łóżka. To tylko kilka przykładów.
- Ludzie zawsze byli zabobonni. Jedni mniej drudzy bardziej.
- Święta prawda. Na „posiedzinkach” kumy bardzo lubiły rozmawiać o pogrzebach i o niezwykłych wydarzeniach zasłyszanych i przeżytych osobiście. Ulubionym tematem były strachy, które urzędowały w różnych domach i miejscach. Z tych rozmów dowiedziałem się wiele interesujących rzeczy. Na końcu wsi w pobliżu drogi do Buga, po prawej stronie był stary cmentarz prawdopodobnie z czasów, którejś zarazy, która pustoszyła Podlasie. W czasach mojej młodości rosły tam rzadkie wysokie brzozy, a w podszyciu chruśniak wiśniowy, gąszcz trudny do przebycia. Grobów już nie było widać, wyrównały się z otoczeniem. Spotykało się gdzieś żelazne



*Fot.277. Ten domek stoi na dawnym cmentarzu*



*Fot.278. Dawny dom kowala. Za nim stała kuźnia, w której straszło*

krzyżyki kowalskiej roboty, bardzo charakterystyczne, wbijano je w szczyt krzyża zrobionego z grubych bierwion. Drewnianych krzyży już nie było. Cmentarz musiał być stary. Miejsce nazywaliśmy Mogiłkami i unikaliśmy go, jak tylko się dało. Na tym cmentarzu według opowiadań kum działały się niezwykle rzeczy. W ciemną noc widziano ogniki błakające się po chruśniaku, jakby ktoś chodził z płomyczkiem świecy, osłaniał go ręką od wiatru, słysząc było dziwne trzaski, pojękiwania, jakby ktoś prosił zmiłowania. Niektórzy widzieli jasne smugi snujące się między brzożami. Młode dziewczyny biegnące wieczorami w pobliżu, modliły się za zmarłych i starały się, jak najszybciej minąć to miejsce. Niedaleko stała kuźnia. Zdarzało się usłyszeć w nocy kucie, które docierało do uszu mieszkającej po przeciwnej stronie drogi mojej

babki, wyraźnie słyhać było charakterystyczny dźwięk poruszanego miecha kowalskiego. Kuźnia była zamknięta na kłódkę w oknach ciemno i z komina nie wydostawał się dym, a ktoś pracował w ciemnościach. Na górcie, na której potem stanął wiatrak, przy tej samej nadbużańskiej drodze, o której już wspominałem, widywano dwa świecące czerwono słupy. W pobliżu stała karczma, w niej musiały dziać się ongiś straszne rzeczy, kiedy ojciec, dziadek czy, ktoś z rodziny przepijał ostatnie pieniądze, gdy w domu czekała na chleb czeredka głodnych dzieci. Teraz tam stoi dom. Noce były ciemne, tylko księżyc je rozjaśniał, nie to, co teraz, kiedy w potokach światła nie widać gwiazd na niebie.

- Dziadku, rzeczywiście tak było?

- Nie wiem. Nic nie widziałem, nic nie słyszałem, chociaż starałem się tamtędy w ciemnościach spowijających drogę przechodzić, jak najszybciej.

- Dziadku znasz jeszcze inne miejsca, gdzie straszło?

- Było ich bardzo wiele. Na przykład drogę do stacji we Fronołowie w pobliżu

zakrętu ze trzysta metrów od torów przecinała stara kolejka. Pozostał po niej niewielki nasyp, którym poprowadzono leśną drogę w kierunku Błot. Tam też straszło. Widywano konia pędzącego z rozwianą grzywą. Czasem słyszano tętent kopyt po twardym podłożu. Koń wyglądał dziwnie na jego widok włosy stawały dęba. Trudno wyjaśnić, dlaczego? Kiedyś rozmawiałem ze starszym panem, który tamtędy musiał chodzić. Opowiedział mi jeszcze inną historię, która mu się przydarzyła. Wracał do domu przez las, znajomą, dobrze wydeptaną ścieżką. Zwykle, przejście zajmowało mu dwadzieścia, trzydzieści minut. W feralną noc wszedł na ścieżkę, czuł, że coś dziwnego z nim się dzieje, jakby coś go



*Fot.279. W ciemną noc pokazywał się pędzący koń na nasypie kolejki*

otoczyło i zagradzało mu drogę. Nie bał się, bo on w żadne duchy nie wierzył. Próbował iść do przodu, ścieżka się płatała, z sześć godzin mu zajęło zanim dobrnął do domu. Spocił się, jak mysz. Ręce i nogi drżały. Nie potrafił wytłumaczyć, dlaczego tak długo szedł? Twierdził, że nie był pijany. Znałem tego człowieka i wiem, że alkoholu nie pijał.

- Dziadku z nim rozmawiałeś?

- Z pięćdziesiąt lat temu remontował



*Fot.280. Gdzieś tu widywano błędne ogniki*



starą chałupę babci. Wróćmy do „posiedzinek” czasem nazywanych prządkami. „Posiedzinki”, to nazwa ogólniejsza, bo dotyczyły każdego wieczornego spotkania, nawet bez wykonywania jakiegokolwiek pracy, natomiast na prządki kumoszki szły obowiązkowo z kółkiem i kądzielą pod pachą. Jak już wspominałem, częstym tematem były opowiadania o nadzwyczajnych, wręcz niesamowitych zdarzeniach i przypadkach. Przy okazji dowiedziałem się, że przy figurce Demianiuków też coś straszno. Kiedyś pochowany był tam jakiś chłopak. Nikt nie pamiętał, kiedy to się stało i kto to był? To ta figurka, przy której biegnie droga do Nowych Mierzwic nazywana przeciętką. Leski Pierwsze i Drugie też cieszyły się złą sławą. Na przyległych polach widziano błędne ogniki. Uważano, że to tu pokutuje duch geometry, który niesprawiedliwie pomierzył pola. Opowiadała na jednym z prządek Józefowa Klimicha, co im się przytrafiło, podczas jednego z powrotów z Sarnak. A oto jej opowieść. Wyjechali z miasteczka, gdy zrobiło się ciemno. Konie wlokły się noga za nogą. Bruku na gościńcu nie było. Nie można za bardzo popędzić koni, bo na drodze niewiele dało się zobaczyć. Koła nawybijały mnóstwo wybojów i trzeba było uważać, żeby nie wypaść z wozu lub czegoś nie złamać. Minęli Rozwadów, przejechali przez Łózkę. Za Niebieskim Krzyżem droga zrobiła się lepsza. Konie pobiegły kłusem. I tak było do Wielgiego Rowu. Wkrótce minęli Nowe Mierzvice i zbliżali się do Drugich Lesek. Konie zaczęły okazywać niepokój, strzyc uszami. Zapewne, jakiś zwierz krył się w zaroślach, mógł to być wilk, ale to nie był zwierz. Z tyłu, coś siadło na wóz, a konie ruszyły z kopyta. Józef ledwie utrzymał lejce w rękach. Sądziły wielkimi susami. Tymczasem z tyłu na furze zaczął się niesamowity rejwach. Wydawało się, że siadło tam kilka bab, które głośno gadały wzajemnie się przekrzykując. Rejwach nie ustawał ani na chwilę. Z tego hałasu nic nie dało się zrozumieć. Zimny pot spływał po plecach. Bałam się obejrzeć do tyłu, aby nie zobaczyć czegoś złego. Wydawało się, że czas się zatrzymał. Wreszcie mijamy Pierwsze Leski, dojeżdżamy do figurki. Z tyłu się wszystko uspokoiło. Konie wystraszone, ale dają się opanować. Wreszcie uspokajają się i zaczynają iść stępa. Józef słyszałeś – zapytałam wystraszona. Słyszałem – odpowiedział. Nigdy tego nie zapomnę. - Kumo, koło Niebieskiego Krzyża też lepiej w nocy nie przejeżdżać – odezwała się druga. - Mój stary też tam miał przygodę, myślał, że do domu nie dojedzie. Wyraźnie widział, że pod krzyżem coś stało. Wszystkie włosy stanęły dęba, mało co, ze strachu czapki nie zgubił. Koń też zachowywał się niespokojnie. - A pamiętacie, co opowiadali starzy ludzie? – wtrąciła się trzecia. - Na końcu wsi, tam, gdzie mieszkają



*Fot.281. Chałupa Krudzia  
mogła tak wyglądać*

Sokołowski stała przy drodze stara pochylona chata. Mieszkał w niej Krudzio. Chyba, to było przezwisko. Nie wiem czy miał jakąś rodzinę, ale chyba miał. Biednie mu się żyło, nie miał ziemi. Być może siedział u kogoś na komorze. Zmarło mu się i zaczęły się w chacie dziać straszne rzeczy. W każdą noc



*Fot.282. Straszyno w starej chacie,  
która stała w tym miejscu*

przychodził Krudzio i robił raban. Drzwi się otwierały, szafka skrzypiała, słyhać było kroki. Garnki z kuchni spadały. Wylewała się woda z wiadra. Na strychu dudniło. Potrząsał okiennicami. Nie dało się w domu w nocy pozostać. Próbowali szczęścia najtęższe zuchy wioskowe i żaden nie zdzierzył, i uciekał w środku nocy, szczęśliwy, że cało uniósł duszę, i ciało. Nie było rady. Musieli odkopać trumnę. Podobno głowa była czerwona, jak u upiora. Wszystko się uspokoiło, jak odcięli głowę i położyli w nogach. Upiora można poznać po tym, że zostawia ślady.

Wystarczy izbę posypać popiołem, jeżeli zobaczycie kurzące ślady, to na pewno chodził upiór – rzekła na koniec najlepsza znawczyni tematu. - Dawniej to działy się straszne rzeczy. - I teraz można zobaczyć straszne rzeczy. – Na Nowych

Mierzwicach u Chapiejów też straszyno. U których? U Marcinów?. – Nie. U tych, co na górze mieszkają. Podobno, o północy, czasem pokazywał się, jakiś chłopiec. Nie wiadomo, kto to był? Bo Chapieje nie wiedzieli, a Chapieicha kilka razy go widziała. Ktoś mówił, że w nocy przychodzi mąż Hieli i kołysze córeczkę. - No tak, zmarło mu się młodo. Osierocił drobne dzieci. - Opowiadali, że w Ostromęczynie, albo w Terlikowie, dobrze nie wiem, zmarła matka pięciorga dzieci. W nocy widywano, jak siedziała nad kołyską u najmłodszego dziecka. Kołyska sama się kołysała – mówiła druga. - Na takie rzeczy bardzo pomocny jest popiół z wianuszka, z poświęconych ziół. - Tego, co się święci w oktawie Bożego Ciała?



*Fot.283. Kwitnąca lipa*

- Tego, tego.

- Dziadku trochę zrobiło mi się straszno?

- Wnusi, nie takie rzeczy oglądasz w telewizji.

- Tak, ale wiem, że to jest fikcja, a tu nie wiem, wierzyć czy nie wierzyć?



- Musisz przyznać, że teraz spotyka się znacznie mniej rzeczy dziwnych i przedziwnych. Ludzi jest dużo, znikły ciemności, nawet w wioskach zabitych deskami. Ludzie budują domy na cmentarzach, chociażby w Mierzwicach i nikt do nich nie przychodzi, nie straszy, nie domaga się poszanowania ziemi, w której leży jego ciało.

- Dziadku wspominałeś o jakichś wianuszkach. Dziewczęta w czasie pierwszej komunii często na głowie mają wianuszek uwity z główek kwiatów rosnących dziko czy hodowanych. Na Matki Boskiej Zielnej, to i w Siedlcach święci się zboża i zioła.



*Fot.284. Macierzanka*

- Ale nie splata wianuszków. Te rzeczy robi się w oktawę Bożego Ciała.

- Z czego je się robi?

- Wiem, że najważniejszymi składnikami wianuszków są: lipa, rozchodnik, macierzanka. Owe wianki splata się z kwiatów i ziół. Te, które wymieniłem są ziołami, chociaż macierzanka i lipa kwitną, zresztą rozchodnik też. Jego kwiaty

nie są tak bardzo okazałe, ale po bliższym poznaniu bardzo sympatyczne.

- Wspominałeś dziadku, jakie moce przypisywali podlasiacy święconym wianeczkom?

- Wspominałem, mogę przytoczyć opinię przadek, które również rozmawiały na te tematy. - Strasznie mnie bolała głowa-mówiła jedna. - Wzięłam trochę ziół ze święconego wianuszka zmieszałam z gorącą wodą, dodałam piołunu i zrobiłam okład, po kilkunastu minutach głowa, jak ręką odjął. Przestała boleć. - Kumo, na kompresy dobry jest rumianek - rzekła druga. - Wiem. - Staremu Laszowi nie włożyli wianka do trumny - zmieniła temat trzecia. - Przypomnieli sobie dopiero na cmentarzu, dobrze, że miała wianuszek ciotka Heleny i na cmentarzu włożyli - kontynuowała pierwsza. - Moja nieboszczka babka mówiła, że wianuszek działa prawie tak, jak gromnica i pokazuje zmarłemu drogę w zaświaty. - Wianek jest bardzo dobry na burzę. Wystawiony w oknie zabezpiecza dom przed piorunami, też tak samo, jak gromnica. - Nieboszczka Laszycha zawsze przed burzą paliła wianek pod bandurą. Chmury się rozchodzili. -Naprawdę. - Kumo na własne oczy widziałam, święta prawda. -



*Fot.285. W Mierzwicach Starych i Nowych w każdym chrześcijańskim domu były takie ołtarzyki*

Stary Mitrofan, to chodził na górę i rozpędzał chmury, ale ja w to nie wierzę. Dobrze nie pamiętam, ale chyba coś moja nieboszczka mama na ten temat mówiła. - Oj kumo chyba fajnujecie. Chmur zwykły człowiek nie rozpędzi. - W burzy schowany jest gniew Boży. Czasem, to może być kara za grzechy. - Kumo chyba kuma ma rację. - Chatnie drzewa są bardzo skuteczne na burze. – Tam, gdzie rośnie wysokie chatnie drzewo, to pioruny nie biją w dom. Wszystkie gromy przejmuje na siebie chatnie drzewo. Musi być wysokie. - U Klima Michała niedaleko chaty rośnie wysoki świerk, już parę razy w niego uderzył



*Fot.286. Obraz Pana Jezusa Cierniem Ukoronowanego*

piorun. - Wysoki, to ściąga pioruny, ale chatę zabezpiecza. - Jak jest stare, to wichura może je zwalić na chatę. - Oj może, kumo może. Przypomniało mi się, że świecone wianki są dobre na plagę myszy. Jeżeli włożyć je w stronę w stodole, to myszy nie niszczą zboża. - Ja trzymam w izbie przy świętych obrazach. Niech chroni izbę przed choróbskami. – Kumo, w izbie powinien na ścianie wisieć obraz Serca Jezusowego. – Kumo, dobrze jest powiesić obraz Serca Najświętszej Maryi Panny. Nasze babki bardzo o to dbały. –A ja bardzo lubię obraz Matki Bożej Karmiącej. Rządziej się go spotyka.

- Też go bardzo lubię.

- Dziadku, w dawnych domach zawsze dużo wisiało świętych obrazów.

- Pamiętasz?

- Tak. Tak było u babci Frani, u babci Łodzi i u ich sąsiadów.

- Zdaje mi się, że to zwyczaj Ruski i Podlaski. U prawosławnych w jednym kącie mieszkania musiały wisieć ikony Pana Jezusa i Matki Bożej, świętych. Po nimi stał stolik – ołtarzyk. Przed nim się modlono. W cerkwiach jest ściana oddzielająca część niedostępną dla kobiet zwana ikonostasem, na której wiszą obrazy, jeden przy drugim, albo są namalowane bezpośrednio na ścianie. Być może, stąd się to wzięło? W domach unickich obrazy rozpląły się na całą ścianę.

- Dziadku, teraz też wiszą.

- Tak, tylko już nie tak gęsto.



*Fot.287. Obraz Matki Boskiej Karmiącej*



### *XIII. Zabawy dorosłych, zabawy dzieci*

- Dziadku, jak się mierzwiczenie bawili?
- Wnusię należą do najmniej kompetentnych osób, aby na ten temat cokolwiek powiedzieć, ale będę się starał.
- Dziadku, postaraj się!
- O zabawach mówiły babka i matka, i inni mieszkańcy Mierzwic. Podobno zabawy były i w dawnych czasach. Organizowano je przy karczmie lub na



*Fot.288. Młodzieży było sporo,  
więc o zabawę nietrudno*

świeżym powietrzu. Podobno wiele organizowano nad rzeką, na Zaskiepiu. Krowy od dawna doznawały tu wywczasów. Z wdzięczności i potrzeby żołądków starały się językami, jak najlepiej wygładzić powierzchnię. Trawy zbyt obficie nie rosły. Zawsze się znalazł, jakiś grajek i orkiestra była gotowa. Dziewczyny miały taką naturę, że wystarczyło zagrać na patykach, a już szło tańcowanie. Młodzieży obu płci było dużo, więc o zabawę nietrudno.

- Są jakieś przesłanki, że tak było.

- Wiesz, że chyba są i to etnograficzne. Wystarczyło przeanalizować, pochodzenie, niektórych żon, niektórych mężów. Otóż wiele osób wywodziło się z innych, nieraz bardzo odległych miejscowości. Oczywiście młodzi, zwłaszcza mężczyźni, poszukiwali zarobku, więc zatrudniali się w różnych miejscach. Budowano linię kolejową do Czeremchy. Przy budowie zatrudniano wielu mężczyzn pochodzących z całego Podlasia, nawet z Polesia. Tak w tych stronach znaleźli się dziadkowie ze strony matki. Ojciec matki też przywędrował spod Sokołowa. Pracował we dworze, jako mechanik. Uważnie szperając w życiorysach, a nawet przezwiskach można wnioskować, że zdarzali się ludzie, którzy przywędrowali z Mazur, był mężczyzna o przydomku Mazurek, który został protoplastą rodu Mazurków, chociaż nazwisko nosił zupełnie inne, jeden przywędrował z Mazowsza. Na Nowych Mierzwicach mieszkała Szpakówka, więc musiała przywędrować ze Szpaków. Byli dawni mieszkańcy Chłopkowa, Ostromęczyna, Litewnik, Gnojna, Serpelic, Klepaczewa, Hołowczyc, Mielnika, Chlebczyna. Siostra i brat mego dziadka ze strony ojca też, gdzieś wywędrowali na południe. Oczywiście, niektóre wędrowki spowodowane były migracją rodzin, inne działalnością rajków, a inne samą działalnością młodych i tej grupie rozprzestrzenienie się chyba należy przypisać zabawom.

- Rajki, rajkowie, dziadku, co to za instytucja?

- Rajkowie pełnili ważne funkcje społeczne, za swoje usługi otrzymywali tylko poczęstunek zakrapiany alkoholem. Rajkowie, to byli specjaliści od kojarzenia

małżeństw. Kobięcym odpowiednikiem rajka bywały swatki. Na pewno część znajomości między młodymi powstała w wyniku spotykania się na zabawach. Młodzi chodzili do różnych wsi na zabawy. Czasem groziło, to pewnym niebezpieczeństwem, zwłaszcza dla chłopców, bowiem miejscowa kawalerka broniła dostępu obcym do swoich dziewcząt. Po wypiciu pewnej ilości wódki dochodziło do bójek. Nie słyszałem, aby w walkach o samice, bo tak to można nazwać, samce doznawali poważniejszych obrażeń, ale wielu na łbach nosiło znaki dawnych bojów. Na zabawy, do dalszych miejscowości chodziło się pieszo lub jechało na ojcowskich furach. Miejscowa kawalerka zabierała ze sobą dziewczyny. Z powrotem bywało gorzej, bo wkurzeni panowie na miejscowe panny, które ich zlekceważyły na zabawie, preferując obcych kawalerów, często je pozostawiali i biedaczki musiały samotnie wracać chyłkiem do domu. Nieraz z duszą na ramieniu, bo kilometrów do pokonania zmęczonymi nogami bywało sporo. Wracając do Zaskiepia, wiem,



*Fot.289. Na osłowskich łąkach nie brakło miejsca do tańcowania. Trawa była bardziej miękka. Widok współczesny*



*Fot.290. Do tańca przygrywała orkiestra skompletowana z miejscowych grajków. Najczęściej był, to pojedynczy akordeonista niemilosiernie gnębiący instrument*

że tu odbywały się potańcówki. Z pobliskiego Osłowa kawalerka i panny przeprowały się łódkami. Z Mierzwic szły w odwodzie osłowiakom grupy młodych przeprowajając się w drugą stronę. Tam też była podobna łąka, jak na Zaskiepiu i miejsce zabawy przykryte niebieską kopułą pasowało, jak ulał. Trawa może była bardziej miękka i mniej kłuła w pięty. Oczywiście, tańczyło się i bawiło tylko popołudniem w niedzielę, i święta.

- Dziadku, na wiejskich zabawach dochodziło do bójek?

- Tak. W każdej wsi znajdowali się mężczyźni z wybujałym temperamentem, musieli się, gdzie wyładować. Najczęściej do konfliktów dochodziło między grupami chłopców pochodzących z różnych wsi. Na ogół goście



pochodzący z tej samej wsi zachowywali solidarność plemienną. Zazwyczaj stawali murem i walczyli z młodzieńcami pochodzącymi z innych wsi. W Mierzwicach prawie zawsze dochodziło do bójek między chłopakami pochodzącymi z Lipna. Nazywano ich lipianami. Jakieś antagonizmy dzieliły lipian i mierzwiczian. Wszystko zależało od temperamentu przewodników stada. Lipno miało bardzo agresywnych przywódców. Zazwyczaj, po wypiciu pewnej ilości gorzały odżywały stare urazy i dochodziło do rękoczynów. Używano narzędzi dla wzmocnienia siły ramienia. Cierpiały najbardziej sztachety z pobliskich płotów. Właściciele nie nadążali ich naprawiać. Sztachety należały do jednego z głównych argumentów przekonywujących o racjach. Gorszym narzędziem przekonywującym były kłonicie.

- Dziadku, nie wiem, co to jest kłonica.

- Tak myślałem, że nie wiesz? Kłonica zawsze była ważnym elementem wozu. Wkładano je w odpowiednie otwory w tak zwanej ławce, w obrobionym kawałku drewna, na który zakładało się deski tworzące dno wozu. Kłonica podierała z boku gnojówki, czyli boczne deski lub drabiny. Robiono je z twardego drewna i w rękach rozwścieczonego zabijaki działały, jak tarany, maczugi, mogły być bardzo niebezpieczne.

- Właściwie, o co chodziło?

- To było dość trudne do określenia.

Czasem nie podobała się czyjaś gęba, innym razem jeden drugiego potrącił,



*Fot.292. Tu się rozstrzygnęło wiele bitew*



*Fot.291. Podczas zabaw tanecznych najbardziej cierpiały ploty. Chętnie używano sztachet, jako argumentów w prowadzonych sporach*

może nawet nie chcący. Przypomniały się jakieś zadawnione urazy. Przyczyną zawsze była wódka. Kawalerka lubiła sobie popić, a po takich przygotowaniach instynkty brały górę na rozumem. Często bójka zaczynała się w środku sali tanecznej, wtedy wszystkie dziewczyny z piskiem uciekały pod ściany lub na scenę, towarzyszyli im mniej agresywni kawalerowie, a na środku energiczne wymachy rąk wskazywały, że rozróżba idzie na całego. Na łbach wyrastały guzy, pękały nosy, lała się krew. Czasem do walki wchodziły siostry i matki walczących. Wrzaski, rwetes wystraszonych dziewczyn, niósł się daleko, do tego dochodziły okrzyki bojowe wojujących. Niejednokrotnie udawało się wypchnąć splątane ciała walczących

poza salę taneczną. Kłęb się rozrywał i z kręgu wymykały się pojedyncze osoby, bo już miały wszystkiego dosyć lub biegły do najbliższego płotu, gdzie zaopatrywały się cięższy sprzęt bojowy. Wprowadzenie wyższej i skuteczniejszej techniki czyniło większe spustoszenia i bardziej przerażające jatki. Zazwyczaj bitwa się rozwijała i coraz, to nowe posiłki szły na pomoc walczącym. Gołe pięści zastępowano uzbrojonymi ramionami w sztachety i sprawy przybierały coraz, to gorszy obrót. Jak mówiłem, wśród miejscowych i gości zdarzali się szczególnie bojowi osobnicy. W ich obecności rzadko się zdarzało, aby zabawa odbywała się bez awantur. Po ożenku najwięksi awanturnicy statkowali się i przestawali uczestniczyć w walkach. Zdarzało się, że i młodym żonkosiom czasem się oberwało. Na ring wchodziły następne pokolenia bojowych kawalerów.

- Dziadku, w remizie strażackiej też odbywały się zabawy?.

- Pod koniec lat dwudziestych oddano do użytku remizę, również z myślą, że wykorzysta się ją do organizowania potańcówek i regularnych zabaw. wcześniej bawiono się na świeżym powietrzu lub w prywatnych mieszkaniach. Na Nowych Mierzwicach urządzano potańcówki na Wygonie, nawet bardzo uroczyste i rozpropagowane. Chłopcy przywozili z lasu młode brzoźki, z których robiono krąg. Zakopywano je w gruncie. Wyznaczały, w miarę, dobrze ubite klepisko i miejsce do tańcowania. Podobno tu było bardzo mało bójek i zabawy odbywały się normalnie.



*Fot.293. Na Nowych Mierzwicach też organizowano potańcówki, ale miały przeważnie spokojny przebieg. Współczesny wygląd wsi*

- Rozmawiamy o bitwach, a jakie tańce były, wówczas najmodniejsze?

- Moda, jak to zwykle bywa kapryśna i często się zmienia. Moje babcie tańczyły polki, oberki, kujawiaki, mazury, później pojawiły się upojne walce i tanga. O oberkach nie zapomniano. Potem przyszły slowfoksy, fokstroty. Nigdy nie byłem znawcą tańców i nigdy specjalnie się nie interesowałem tańcowaniem. Żebym wiedział, że będę miał wnuka, który zainteresuje się takimi sprawami zapytałbym babcie Juliškę, Franię, Łodzię, a nawet dziadka Staśka. Z tego, co wiem, był zapalonym tancerzem i umiał ładnie tańczyć, więc dużo mógłby mi powiedzieć na ten temat.

- Podobno już były patefony.

- Pojawiły się już po pierwszej wojnie. Na początku, jako gramofony z wielką tubą, nakręcane korbką. Używano płyt. Na wsi były i gramofony, i płyty. Do odtwarzania potrzebowano specjalnych igieł, które szybko się tępiły. Aby otrzymać przyjemną dla ucha muzykę należało je naostrzyć. Często przed



potanicówką właściciel brał oselkę i igłę po igle starannie ostrzył. Patefony były bardziej nowoczesne. Zamiast tuby w odtwarzającej główce był głośnik. Niestety, bez igły nie dało się odtwarzać muzyki. Pamiętam moi, rodzice mieli piękny patefon, który wprawiał mnie w zachwyt i długo nie mogłem rozgryźć, jak on działa. Zdarzały się patefony z podwójną sprężyną, wówczas odtwarzanie



*Fot.294. W tym domu często odbywały się potanicówki. Tyle z niego zostało*

trwało znacznie dłużej. Pamiętam, w zbiorze płyt były płyty z Janem Kiepurą wspaniałym polskim tenorem, z Hanką Ordonówną i wiele innych. Z ówczesnych przebojów zapamiętałem „Ada, to nie wypada, tak nie może być” i niezapomnianą romantyczną piosenkę, którą śpiewała Ordonówna „Miłość ci wszystko wybaczy”. W niektórych rodzinach często bawiono się przy patefonie. Koleżanka mojej matki wyszła za mąż za bardzo dobrego człowieka.

Ona lubiła się bawić. On jej pozwalał organizować prywatki. W domu często gościła muzyka. Z buraków cukrowych napędzono bimbru i zabawa szła na całego. Nawet podczas wojny. Patefon bardzo mnie intrygował. Kiedyś się do niego dobrałem i to był ostatni dzień jego żywota.

- Popsułeś go?

- Niestety. Zawsze miałem zacięcie do majsterkowania.

- Dziadku podobno dawniej organizowano nad Bugiem majówki.

- O tak. Tradycja majówek sięgała pierwszych dni wolności. Najczęściej organizowano je nad Bugiem w okolicach promu. Okazją było Święto Piotra i Pawła przypadające na 29

czerwca. Wtedy obchodzono również Święto Morza. Mielśmy bardzo wąski dostęp do Bałtyku, budowała się Gdynia. Święto Morza było prawie świętem kościelnym. Na promie, w pobliżu mostu, u Szoplika, tak się nazywał właściciel promu i łocman, budowano ołtarz polowy. Wyglądał imponująco. Zajmował cały prom, a to przecież duży pojazd. Jedyne większy statek w okolicy. Zewsząd zjeżdżali ludzie. Nie tylko mieszkańcy Mierzwic i Kolonii uczestniczyli w świętowaniu. Jechali ludzie z całej okolicy. Przede wszystkim z



*Fot.295. Przygotowanie do wyjazdu na majówkę*

parafii Sarnaki, ale i inne parafie też w tym uczestniczyły. Sarnaczanie na ten jeden dzień przenosili się masowo nad Bug. Nie brakło mieszkańców Chlebczyna, Grzybowa, Chybowa, Hołowczyc. Sporo ludzi przychodziło z drugiej strony Bugu, nawet prawosławni. Na sarnackim gościńcu od samego rana jechały konne wozy jeden za drugim, przeważnie galopem, woźnicom nie brakło kawaleryjskiej fantazji. Nierzadko w zaprzęgu biegła para koni. Żelazne obręcze na drewnianych kołach hurkotały na bruku. Ruch, jak na Marszałkowskiej w Warszawie, kierunek jeden - okolice promu. Koło figurki świętego Jana skręcało się na drogę wiodącą na Kolonie. Kurz wznosił się, aż pod niebo, bo droga była wysuszona i polna. Na wozy oprócz rodzin i bliskich, sąsiadów ładowano wiktuały. Jechało się przecież na cały dzień. Obok pojazdów konnych czterośladowych pędziło mnóstwo rowerzystów, czyli jednośladow. Czasem na ramach siedziały młode damy, wdzięcznie majtając nogami. Piechurów też nie brakowało. Szli na skróty, miedzami, ścieżkami, na przełaj. Lud z całej okolicy sunął nad Bug. Nad brzegiem gromadziło się kilkuset, a może i kilka tysięcy dusz. Każda rodzina znajdowała swój krzaczek, pod którym rozścielano koce lub kapy i tam odpoczywano, i bawiono się. W południe, przy ołtarzu polowym odprawiała się Msza święta. Ksiądz wygłaszał kazanie pełne



*Fot.296. Robiono pamiątkowe zdjęcia*

akcentów patriotycznych i morskich. Na trawie gromadził się duży tłum wiernych, głowa przy głowie. Pod Bożym dachem miejsca było wiele. Bez mikrofonów, megafonów, głośników, wzmacniaczy głos księdza niósł się daleko. Najdalej stojący wierni wszystko słyszeli i czynnie uczestniczyli w nabożeństwie.

- Dziadku taka majówka musiała bardzo ładnie wyglądać.

- Bo i wyglądała. Po mszy świętej,

każdy wracał do swego stanowiska pod krzaczkiem. Spotykali się tam przyjaciele, bliscy i znajomi. Obok smacznej zagrychy znalazły się pękate butelki z nalewkami własnej roboty tworzone na bazie krzakówki lub księżycówki. Były również wyroby monopolowe z czerwoną kartką lub z niebieską. Podobno te z czerwoną znacznie wyższej jakości. Niektórzy byli smakoszami taty z mamą. Nie chodziło o żaden kanibalizm, a o spirytus zmieszany z odrobiną wody i soku wiśniowego. Alkohol stanowił połowę zawartości butelki, a drugą dodatki wodno - sokowe, stąd się wzięła nazwa tata z mamą. Aby uzyskać stosowną jakość przygotowanie trunku powinno znacznie wyprzedzić czas konsumpcji, ponieważ alkohol musiał się przegryźć z dodatkami, jak mawiali specjaliści i smakosze. Podobno po tym trunku nawet



przy przedawkowaniu, nie bolała głowa. Dla ludzi, którzy nie przywieźli zapasów podwoje otwierały bufety dyskretnie ukryte w zaroślach. Dla młodych przygotowano plac otoczony brzoźkami z orkiestrą. Tańcowanie należało do ważnego rytuału związanego z majówką. Tutaj dopiero można było rozpoznać prawdziwych tancerzy, bowiem trawa z parkietem niewiele miała wspólnego. Kaprale uczyli kroku defiladowego swoich podwładnych na piachu. Po wyjściu na plac pokryty twardą nawierzchnią uderzenia butów niosły się aż pod niebo, a o to chodziło i to cieszyło uszy pułkowników, i generałów. Przed zachodem słońca zwijano obozowiska. Gospodarze wracali do domu na wieczorny obrządek i udój. Zwierzęta często miały postny okres. Nie dotyczyło to krów, koni, owiec, czyli zwierząt, które spędzały wolny czas na pastwiskach, wśród soczystej trawy. Pościły świnie, bo pozbawiono je obiadu. Na ogół nie było tak źle. W domu pozostawały babcie i wielu w miarę sprawnych dziadków. Dopilnowali, aby w obejściu nie stało się nic złego.

- Dziadku, wspominałeś o jakimś



*Fot.297. Zwierzęta pozostawione na pastwisku z dostępem do wody nieźle sobie radziły*



*Fot.298. Łocman dbał o oznakowanie szlaku żeglownego. Czasem organizował przeprawę przez rzekę*

łocmanie. Kto to był?

- Nazwa ma pochodzenie ruskie i niemieckie. Każda większa rzeka, była doglądana przez ludzi, którzy odpowiedzialni byli za oznakowanie nurtu. Stawiali okorowane tyczki na płycznach, czasem były to wiechy, a czasem malowane w pasy czerwono-białe lub zielono-białe, lub po prostu na zielono, lub czerwono. Tyczki wyznaczały miejsca, które można przepłynąć. Rzeką czasem płynęły statki, szalandy, barki, holowniki. To dla nich oznakowywano nurt, którym dało się przepłynąć. Każdy taki wodny dróżnik miał kilkadziesiąt kilometrów rzeki do patrolowania. Przepływał je puchówką lub szedł brzegiem piechotą. Często łocmani dysponowali sprzętem przeprawowym. Mogły to być łódki

psychówki lub prom.

- Dziadku wiesz, kto teraz jest takim łocmanem?

- Niestety, nie wiem. Przed wojną był nim Józef Szoplik. Miał prom. Jego rewir sięgał do Drohiczyzna. Pracował jeszcze wiele lat po wojnie Już dawno nie żyje. Był znacznie starszy od dziadka Staśka.

- Dziadku, po wojnie organizowano jeszcze majówki?

- W czasach mojego dzieciństwa tak. Początkowo na promie tak, jak przed wojną. Prom się zestarzał i trzeba go było rozebrać, drugiego nie zbudowano. Nowe władze nie kochały tradycji i robiły wszystko, aby ją zniszczyć, ostatecznie przenieść do skansenu. Sowietyzowaliśmy się. Potem przyszła telewizja i zniszczyła tradycję do końca. Drugi prom był w Mielniku. Jest do dzisiaj. Kiedyś drewniany, a teraz stalowy. Na tym promie nie organizowano Święta Morza. Potem przeniesiono je na Zaskiep. Straciły na rozmachu i już nigdy nie wróciły do świetności, o której opowiadała moja mama, i dziadek Stasiek.



*Fo.299. Jedyne prom, jaki pozostał na Południowym Podlasiu. Widok współczesny*

- Dziadku, po wojnie, jakieś zabawy organizowano w remizie strażackiej.



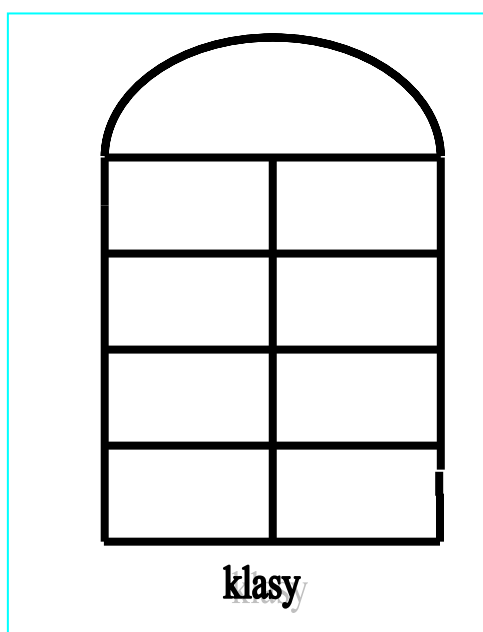
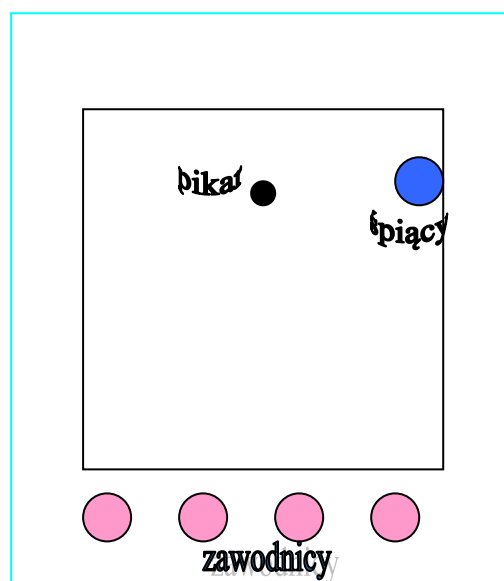
*Fot.300. Współcześni balangowicze są, jakby bardziej spokojni*

- Tak, dość często. W dalszym ciągu kawalerka brała się za łby. Oddziały przedwojennych harcówników zostały wchłonięte przez małżeństwa. Nie wypadało rozrabiać. Narosły nowe zastępy. Znacznie urwały się kontakty ze światem zewnętrznym. Najczęściej gośćmi byli miejscowi. Nie było obcych, to tłukli się między sobą. Powód zawsze się znalazł. Niektórzy przynieśli w genach potrzebę walki. Powoli i oni się wykruszyli. Wieś się wyludniła. Młodzież skurczyła się niewielkiej grupy. Jak dobrze wiesz, współczesne potańcówki są niewinne i nic ciekawego się nie dzieje, chyba, że z zewnątrz przyjadą samochodami zamiejscowi rozbójnicy, wtedy zaczyna być nieciekawie. Przyszły inne zagrożenia.

- Dziadku, jak się bawiły dzieci?

- Wiele dawnych zabaw zginęło i teraz nie widziałem, aby, kto tak się bawił. Poza piłką, jazdą na rowerze, kąpielami w rzece czy basenie współczesne dzieci się nie bawią. Oczywiście, nie mam na

myśli zabaw zabawkami kupionymi w sklepie. Teraz dziecko nie wysila się, aby jakąś zabawę zorganizować. Teraz dzieciom organizują zabawy dorośli i one są takie, jak dorośli wymyślą, czyli nudne, i ciągle trzeba wymyślać inne. Wiąże się to z nieustanną potrzebą kupowania zabawek coraz to bardziej wymyślnych i drogich, a dziatki, i tak nie są zbyt długo zadowolone. Dawniej dzieci same wymyślały sobie zabawy i do tego nie były potrzebne nadzwyczajne akcesoria. Na początek opowiem ci o pikarze. Zabawa i jednocześnie gra, która zanikła chyba już bezpowrotnie. Teraz należałoby się ubrać w ochronne kombinezony i zmarnować wszystko, co wspaniałego w grze jest zawarte. Otóż do gry w pikara wystarczył kawałek łąki, pastwiska, boiska szkolnego. Prostokąt będący boiskiem wytyczano dość dowolnie, nikt niczego nie wymierzał. Z jednej strony ustawiali się



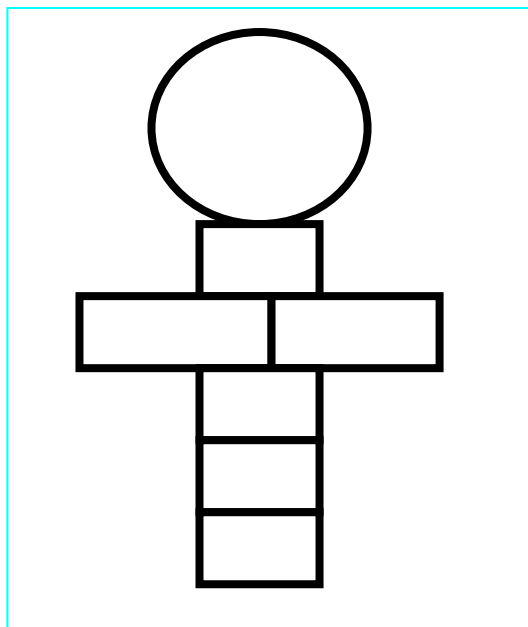
zawodnicy wyposażeni w leszczynowe kije, mniej więcej takiej samej długości. Wymiary nie były znormalizowane. Pikarem był mały kijek wbity w miejscu oznaczonym czarnym kółkiem. Na straży pikara czuwał „śpiący” też z kijem w ręku. Na linii startu ustawiali się zawodnicy z kijami. Na sygnał należało tak rzucić kijem, aby zbić pikara. Kijami rzucali jednocześnie wszyscy zawodnicy. Gdy to się nie udało, łatwo było zostać śpiącym. Następnie należało pobiec i odzyskać kije. Śpiący powinien ustawić pikara, dotknąć zawodnika kijem i zbić pikara, to oznaczało, że tak potraktowany zawodnik stawał się śpiącym. Można go było uratować zbijając pikara przed z biciem przez śpiącego. Jeżeli

śpiącemu nie udało się nikogo dotknąć i zbić pikara, to stał drugą kolejkę aż do skutku. Nie można dotykać zawodnika, gdy znajdzie się za polem po przeciwnej stronie. Nie można biegać poza polem z boku boiska. W dzieciństwie mojej babci i dziadka gra ta była niezwykle popularna. Też grałem z kolegami i koleżankami, bowiem była w pełni koedukacyjna. Grało się do znudzenia. Znane były przypadki, że w pikara grano do pełnej dorosłości. Jeden z zawodników grał mając już dwadzieścia lat, z tego też powodu otrzymał zaszczytne przydomkiem Pikar. Na szczęście na potomnych nie przeszło. Dziewczeta, a zdarzało się to i chłopcom, grały w klasy lub w babę,



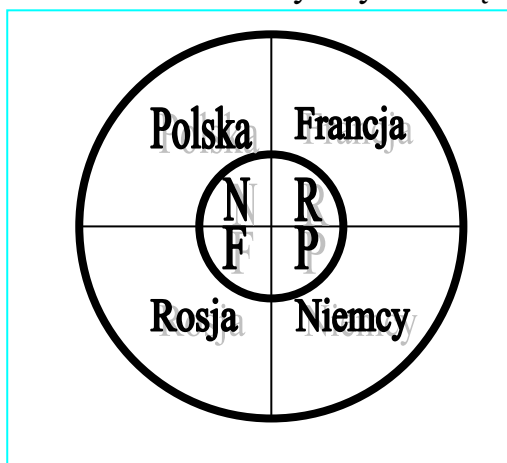
gdzieniegdzie zwaną chłopem. Gra dość prosta. Na wydeptanej ścieżce rysowało się klasy, jak pokazano na rysunku. Rzucało się specjalnie oszlifowanym na kamieniu kawałkiem czerupy ze starego talerza. Niektórzy robili prawdziwe majstersztyki. Szkiełko, bo tak je się nazywało, każdy przyzwoity zawodnik nosił w kieszeni, a dziewczynki w piórnikach lub w

kieszonkach nieraz specjalnie dla tego celu przyszytych. Reguły gry mogły się zmieniać i zawierały wiele, nieraz wymyślnych figur. Rzucało się szkiełkiem do kolejnych klas, następnie przeskakiwało. W klasę bez szkiełka można wdepnąć tylko jedną nogą, Półkoliste zakończenie nosiło nazwę nieba i tam można stanąć dwiema nogami. Rzucało się przodem, albo tyłem. Skoki mogły być utrudniane przez trzymanie się za ucho, za nos lub jeszcze za coś. W babę lub chłopą grywało się podobnie, tylko trochę inaczej wyglądała figura. Bardzo popularną grą była gra w wojnę. Na ubitej



ziemi rysowało się dwa kółka jedno duże, drugie w środku, małe. Oba dzieliło się na cztery części. Fragmenty dużego kółka zostawały krajami, a małego koloniami. Musiały stykać się z krajem, z którym nie mieliśmy wspólnej

granicy. Zaczynający brał do ręki małą, dość ciężką piłkę i wołał „wojna, wojna, wojna”, wysoko wyrzucał piłkę i wykrzykiwał nazwę kraju, którego przedstawiciel powinien chwycić piłkę z okrzykiem „stój”. Po wywołaniu nazwy kraju wszyscy starali się jak najdalej uciec, wywołany powinien schwytać piłkę i zawołać stój. Wtedy należało się zatrzymać w miejscu, w którym usłyszało się stój. Następnie chwytający starał się trafić w najbliższego gracza. Jeżeli

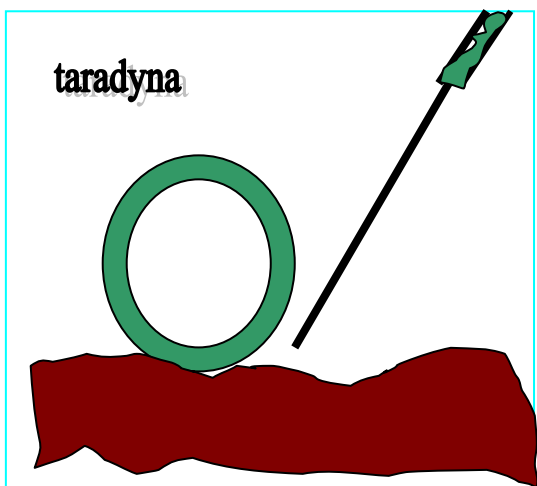


to mu się udało, odcinał pas ziemi na szerokość stopy z terytorium trafionego, który przyłączał do swego terytorium. Jeżeli grający nie mieli wspólnej granicy, wówczas odcinał kawałek kolonii przylegających do terytorium wygrywającego. Dalej przegrywający wywoływał nową wojnę i gra toczyła się dalej. Jeżeli nie było trafienia następowała powtórka.

- Dziadku, w klasy to dziewczyny czasem się bawią, ale o pozostałych zabawach i grach nic nie słyszałem.

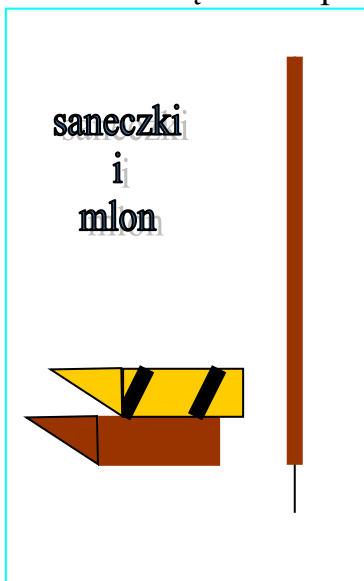
- Bawiliśmy się wymyślając różne zabawy lub korzystając z wiedzy, jaką przekazywali nam dziadkowie i babcie, bo oni też kiedyś się bawili. Bardzo

popularne były „chowanki”. Zdaje mi się, że ty też czasem jeszcze w coś takiego się bawiłeś. Już twoi bracia tego nie robią i zabawa idzie w zapomnienie. Podczas deszczu popularny był głuchy telefon. Dzieciaki siadały obok siebie, z jednego brzegu „nadawano” słowo lub całe zdanie z ucha do ucha i odbiorca z drugiego końca podawał słowo, lub zdanie, które usłyszał. Często było zupełnie inne, niż nadane i budziło salwy śmiechu. Bawiliśmy się również w fanty. Pamiętam zabawę, którą nazywaliśmy „nie śmieć się”. W kręgu dzieci stawała dwójka dzieciaków. Jeden stroił różne rozśmieszające miny, gdy drugi

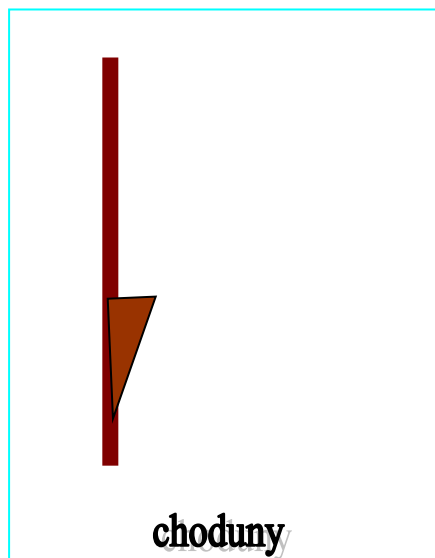


musiał zachować śmiertelną powagę. Nie wolno było go łaskotać. Dzieci otaczające ćwiczących śmiały się do rozpuku z min rozśmieszacza. Nie mógł się śmiać tylko rozśmieszany. Bardzo popularna była taradyna, w szczególności wśród chłopców. Robiliśmy wyścigi. Jeździliśmy po bruku, po skomplikowanych liniach, jak kierowcy w ogródku drogowym. Taradyna najczęściej składała się ze starej fajerki, możliwie największych rozmiarów i odpowiednio podgiętego drutu z rękojeścią,

który służył do popychania toczącej się fajerki. Zamiast fajerki można było skorzystać z blaszanej obręczy, którą wypreparowywało się z dolnej części starego wiadra. Drut musiał być nieco inaczej wyprofilowany. Dużą sztuką była jazda po bruku, po trawie, po piasku, pokonywanie zakrętów, jazda wzdłuż wymyślnej linii. Młodzież męska z zacięciem i pasją oddawała się temu sportowi. Wielkim wzięciem



u obu płci cieszyły się „choduny” – rodzaj szczudeł. Robiło się je z mocnych kijów i klocków przybijanych



na odpowiedniej wysokości gwoździami do kija. Na początku należało nauczyć się chodzić. Kije musiały być tak długie, aby po wejściu na choduny dały się umieścić pod pachami i tak, aby jeszcze wystawały ponad głowę. Organizowaliśmy zawody chodunowe. Były, to popularne wyścigi, mógł też być taniec, gra w szmaciankę, przechodzenie przez rów, przez drąg i masę innych, w zależności od pomysłów, jakie niespokojne głowy nawiedziły. W zimie korzystaliśmy

ze specjalnych saneczek, które wyrabiano się z przygodnie zdobytej sztachety utrzymanej jeszcze w dobrym stanie. Ze sztachety wycinało się dwie jednakowe płozy zaostrzone z przodu, łączyło poprzeczkami. Płozy musiały być okute, najlepiej duszką ze starego wiadra. Dobrze, ażeby duszka miała przekrój półkolisty. Ostatecznie można okuć drutem o wystarczającej grubości. Jeździło się po lodzie lub dobrze ubitym śniegu. Technika jazdy bardzo prosta, chociaż zabójcza dla spodni. Należało stanąć obunóż na saneczkach. Nogi lekko ugiąć w kolanach, jak to czynią narciarze, między nogami umieścić mlon – kij zakończony szpikulcem. Odpychamy się mlonem, sterujemy nogami lub mlonem - działa podobnie, jak ster w łodzi. Specjaliści osiągalni prędkości nie mniejsze, niż na łyżwach i byli wystarczająco zwrotni. Podczas zimy modne były zjazdy ze Światuchy, góry opadającej w kierunku rzeczki. Zjeżdżało się na zajdkach. Czym różniło się zjeżdżanie na zajdkach od zwykłego zjeżdżania? Po pierwsze pasażerów musiało być wielu. Zajdki upakowywało się człowiek przy człowieku. Po drugie musiał być kierujący. Zazwyczaj z przodu siedział najlepszy zjazdowicz, pod nogami miał małe sanki używane, jako kierownica. Jechało się z szybkością bobslejów. Nikt nie zakładał kasków, ani specjalnych strojów i żaden przekaz nie wskazywał, że podczas zjazdów zdarzały się wypadki. Nikt niczego sobie nie uszkodził. Były wywrotki, ale ówczesna młodzież musiała mieć znacznie mocniejsze kości. W jesieni chłopcy i dziewczyny pasali krowy swoich rodziców. Oczywiście, te zajęcia wykonywało się po powrocie ze szkoły. Stałym elementem pasionki były ogniska, w których piekło się ziemniaki. Często gotowało różne zupy, piekło placki ziemniaczane, placki z mąki. Niektórym udawało się upitrasić coś, co nadawało się do zjedzenia. To też była zabawa. Gotowało się i piekło w puszkach po konserwach. Z puszek robiło się tak zwane bacharki. Należało całą puszkę podziurkować gwoździem. Następnie przewlec drut w kształcie wydłużonej literki zet. W ten sposób robiło się korbę. Do puszek wkładało się trochę żaru z ogniska, potem dodawało się próchna ze starych pni, a potem drobne patyki i wiórki. Uchwyt w kształcie zeta pozwalał rozkręcić bacharkę nad głową w płaszczyźnie poziomej lub z boku w płaszczyźnie pionowej. Strumień powietrza rozpalał żar, próchno, a potem wióry. Biegaliśmy po łące wymachując nad głowami bacharkami. Dymiło to i kopało. Radości było wiele i czas szybko umykał.

- Dziadku, to jest bardzo ciekawe, co opowiadasz?

- Dawniej dzieci musiały ciężko pracować, jak i ich rodzice, i dziadkowie. W czasie wolnym, a nawet podczas pracy potrafiły zorganizować całkiem fajną zabawę. Opowiedziałem ci tylko, o niektórych zabawach, które zapamiętałem. Znaliśmy ich bardzo wiele.

- Nie było czasu na nudę?

- Nie mieliśmy się, kiedy nudzić. Czas upływał szybko, zawsze coś się działo. Nieraz zaskakują mnie moi wnukowie pytaniem? Dziadku, co mamy robić, strasznie się nudzimy? A zabawki zalegają stosami połowę mieszkania. Dzieci tamtych czasów nie znały słowa nudzić się



#### *XIV. Kaplica*

- Dziadku znasz dzieje kaplicy, która stoi na początku wsi.
- Dzięki swemu stryjecznemu bratu sporo wiem na temat początków i budowy kaplicy. Przez jakiś czas jego ojciec, a mój stryjek był członkiem Komitetu Budowy Kaplicy, a nawet jego przewodniczącym. Z tego czasu pozostawił notatki, które są cennym dokumentem.
- Dziadku, przed wojną była kaplica we Fronołowie.
- Już o tym mówiliśmy. W trzydziestym piątym, albo w trzydziestym szóstym postawiono małą drewnianą kapliczkę. Stała na południowy wschód od aktualnie istniejących resztek wałów po niemieckiej strażnicy z 1939, albo 1940 roku. W okresie wakacji na stałe przebywał tam ksiądz i odprawiał msze. W tym czasie, we Fronołowie przebywało wielu letników na, tak zwanym, letniku, oraz dużo młodzieży harcerskiej na obozach. Żywot jej był krótki. Zniszczyli ją Niemcy prawdopodobnie celowo. Wojsko niemieckie, jak i cała ideologia hitlerowska była wrogo ustosunkowana do Kościoła Katolickiego. Hitlerowcy jawili się, jako osobiści nieprzyjaciele Pana Boga. Przez jakiś czas odprawiane były msze przy ołtarzu polowym w lesie zwanym Obozem, w którym przebywali również harcerze. Być może msze odprawiał ten sam ksiądz, który rezydował we Fronołowie.
- Dziadku, jakie były początki kaplicy w Mierzwicach?



*Fot.301. W tym miejscu miała powstać wielka zapora na Bugu i elektrownia wodna*

- Na początku lat pięćdziesiątych zaczęto prowadzić badania geologiczne na Wysokim Łądzie i w okolicach. W tym miejscu dolina Bugu jest szeroka na dwa kilometry. Za Bugiem wyraźnie widać wzniesienia, które stanowią krawędź doliny. Prawdopodobnie tu planowano budowę zapory wodnej. Na szczęście piękne tereny nadbużańskie obronił chyba sam Pan Bóg, bowiem okazało się, że podłoże jest zbyt miękkie, aby posadzić tu ciężką zapora. Wszędzie zalegają pokłady kredy. Kredowy grunt jest zbyt mało

stabilny. Koszty budowy byłyby bardzo wysokie. Ostatecznie zaniechano jakichkolwiek prac.

- Dziadku, co wspólnego ma kaplica w Mierzwicach z zaporą?
- Okazuje się, że ma i to sporo. „Na budowie zjawi się mnóstwo ludzi, potem też będą potrzebni ludzie do obsługi elektrowni i samej zapory. Tej rzeszy należałoby zapewnić opiekę duszpasterską”. Tak, zapewne rozumował ksiądz kanonik Bolesław Kulawik, ówczesny proboszcz parafii Sarnaki. Zdaje mi się, że należał do grupy, tak zwanych, „księży patriotów” – wspieranych przez

władze. Otwierала się wyraźna szansa na uzyskanie pozwolenia na budowę kaplicy, co już w tamtych czasach nie należało do spraw łatwych. Pierwszy raz ujawnił swoje myśli przed grupą aktywnych mierzwiczian, podczas pogrzebu Aleksandry Sokołowskiej w 1951 roku. Były to czasy najgłębszego terroru komunistycznego, jaki panował i tu na Podlasiu. Zakładano wszędzie spółdzielnie produkcyjne, czyli kołchozy. Rolnicy w owym czasie okazywali jeszcze wielkie przywiązanie do ziemi, jako takiej, jeszcze ziemi nie traktowano jako towaru, którym można było frymarczyć. Bardzo wysoko ceniono sobie ojcowiznę. Niewielu miało ochotę oddać wszystko do wspólnego kotła, którym zarządzałyby, zapewne ktoś nasłany z zewnątrz. Panowała, wówczas moda, że najmądrzejszy, to ten, który niczego się nie dorobił, niczego nie ma i najlepiej, aby nie chodził do żadnej szkoły – proletariusz. Rolnicy bardzo się bali kołchozów i w większości przypadków stawili bierny opór. Po prostu do spółdzielni się nie zapisywali. W Mierzwicach kołchozu jeszcze nie utworzono. Pamiętam kołchoz w Woźnikach. Na wykopki musiał jeździć do tej renomowanej instytucji mój starszy, cioteczny brat, jako uczeń. Wożono na akcje żniwną, na wykopki również robotników z siedleckich fabryk. Uczniowie, robotnicy zbierali kartofle na polu, najczęściej, co trzeci ziemniak, a resztę wdeptywano w ziemię. W tym czasie kołchoźnicy kryli się po kątach i tylko podglądali pracujących mieszczuchów. Kołchozy nie cieszyły się dobrą opinią wśród mieszkańców wsi. Ksiądz kanonik dzięki swojej aktywności i zaangażowaniu uzyskał zgodę władz na budowę kaplicy. Działki użyczyli Stanisław Iwaniuk twój pradziadek i jego sąsiad Stanisław Maksymiuk zwany Antaszkiem, zdaje mi się, że jego ojciec na imię miał Antoni, stąd przydomek. Położenie było wyjątkowo wygodne dla wszystkich, bowiem maksymalna odległość najdalej mieszkających wiernych do kaplicy nie przekraczała trzech kilometrów dla dalej mieszkających kolonistów, nieco ponad kilometr dla mieszkańców Nowych Mierzwic i mniej niż kilometr dla mieszkańców Mierzwic Starych. Od strony



*Fot.302. Kaplicę zlokalizowano przy drodze prowadzącej do Fronołowa, Kolonii i do Mierzwic Starych na gruntach należących do dwóch mieszkańców Nowych Mierzwic*



*Fot.303. Droga do kaplicy od strony Starych Mierzwic widok współczesny*

zaangażowaniu uzyskał zgodę władz na budowę kaplicy. Działki użyczyli Stanisław Iwaniuk twój pradziadek i jego sąsiad Stanisław Maksymiuk zwany Antaszkiem, zdaje mi się, że jego ojciec na imię miał Antoni, stąd przydomek. Położenie było wyjątkowo wygodne dla wszystkich, bowiem maksymalna odległość najdalej mieszkających wiernych do kaplicy nie przekraczała trzech kilometrów dla dalej mieszkających kolonistów, nieco ponad kilometr dla mieszkańców Nowych Mierzwic i mniej niż kilometr dla mieszkańców Mierzwic Starych. Od strony

Mierzwic i mniej niż kilometr dla mieszkańców Mierzwic Starych. Od strony

Serpelic zaczęły masowo powstawać ośrodki wypoczynkowe, odległość do kaplicy niewiele przekraczała dwa kilometry dla ośrodków najdalej położonych. Wokół kaplicy też powstawały domki na działkach masowo kupowanych od mieszkańców Nowych Mierzwic.

- Dziadku, mój dziadek a w zasadzie pradziadek był ofiarodawcą placu pod kaplicę?

- Twój pradziadek Stasiak, prababka Julianna, prababcia Frania i ich sąsiedzi Stanisław i Fela Maksymiukowie ofiarowali działki pod kaplicę. Postawiono ją przy drodze prowadzącej do Starych Mierzwic. Jak przed chwilą dowodziłem ta lokalizacja była bardzo korzystna dla mieszkańców wsi i ich gości. Wtedy rósł tam las i teraz też rośnie las.

- Ten las dodaje wiele uroku kaplicy i jej



*Fot.304. Tu mieszkali Franciszka i Stanisław Iwaniukowie*



*Fot.305. Tu mieszka Fela i mieszkał już nieżyjący Stanisław - Maksymiukowie*

stryj - aktywny członek Komitetu Budowy Kaplicy. Prawdopodobnie w roku 1951 wyłonił się Komitet z przewodniczącym Piotrem Radzikowskim, miejscowym kowalem na czele. Skarbnikiem, a zarazem księgowym Komitetu został Stanisław Maksymiuk zwany Bazylczukiem. We wsi zdarzało się wiele osób o takich samych imionach i nazwiskach, dlatego przydomki, i przezwiska pozwalały na bezbłędną identyfikację ludzi przez miejscowych. Zauważyłeś, że ofiarodawcą gruntu pod kaplicę też był Stanisław Maksymiuk, ale były

otoczeniu.

- Prawda, szczególnie przyjemnie jest tam w czasie ciepłych pór roku.

- Dziadku, opowiedz dokładniej, jak wyglądały początki budowy kaplicy, powinieneś wiele szczegółów zapamiętać?

- Niestety, zbyt wiele nie pamiętam, ponieważ mnie tu najzwyczajniej nie było. Spróbuję wykorzystać relacje, jakie udało mi się usłyszeć lub dostać w postaci notatek, które zrobił mój



*Fot.306. Tu mieszkał przewodniczący Komitetu Piotr Radzikowski*



to zupełnie inne osoby i mieszkające w innych miejscowościach. Mieszkańcy obu wsi i Kolonii bardzo aktywnie włączyli się w przygotowanie budowy.

Przede wszystkim zbierano pieniądze, głównie ze specjalnych składek. Na działce przeznaczonej pod budowę kaplicy rosły stare sosny, część wycięto



*Fot.307. Za tym głogiem krył się dom, w którym mieszkał drugi przewodniczący Komitetu - Jan Daniluk*

przeznaczając na materiał. Ofiarodawcami byli właściciele działek, na których powstawał budynek świątyni. Zaczęło się od zbudowania małej prowizorycznej kapliczki, w której ulokowano ołtarz i ksiądz odprawiający mszę krył się pod dachem. Szerokie drzwi w kształcie wierzei podczas nabożeństwa rozchyłano na boki. Wierni pozostawali na zewnątrz, ponieważ miejsca było mało. Początkowo tych mszy też było mało. Droga z Sarnak do Mierzwic znajdowała się w złym stanie. Co prawda, Niemcy w czasie wojny wybrukowali ją, ale uciekając w 44-tym na zachód zrujnowali gąsienicami czołgów z pół kilometra drogi. Ta część zwana „połamany brukiem” ciągle była zrujnowana i gmina nie mogła się zdobyć na jej naprawienie. Potrzebne były dobre konie, aby ksiądz mógł przyjechać do Mierzwic z fasonem, godnie, uhonorowany jakością pojazdu i podróży. Za transport

odpowiadał przewodniczący. Sam nie posiadał, ani wozu, ani konia, wszak był rzemieślnikiem i z tego się utrzymywał. Wsie były dość biedne i stosownych pojazdów mieszkańcy nie mieli. Starano się zgromadzić materiały na dalszą budowę. W państwowym lesie wycięto społecznie kilkadziesiąt sosen z przeznaczeniem na materiał budowlany. Aby zapłacić leśnikom komitet musiał zaciągnąć pożyczkę, ponieważ w kasie brakło pieniędzy. Starano się uzupełniać braki różnymi sposobami. Organizowano zabawy w remizie strażackiej, stąd pozyskiwane pieniądze zasilały fundusz budowy kaplicy. Młodzież pod kierunkiem nauczycieli wystawiała przedstawienia, z których uzyskane pieniądze też przeznaczano na wspomóżenie finansowe komitetu. Pod koniec 57 roku nastąpiła zmiana przewodniczącego. Na walnym zebraniu mieszkańców obu wsi i Kolonii wybrano mego stryja – Jana Daniluka. Jak już mówiłem, po



*Fot.308. Widok kaplicy z przełomu roku 1958 i 59*

wojnie, do Mierzwic Starych, Kolonii zaczęło przyjeżdżać wielu letników przez miejscowych nazywanych „panami”. Wojna przerwała przyjazdy mieszczuchów do Mierzwic. Teraz wszystko zaczęło się zmieniać. Przyjeżdżali lekarze z rodzinami, adwokaci, sędziowie, inżynierowie. Rekrutowali się głównie z Siedlec. Zdarzali się też warszawiacy, a nawet mieszkańcy Śląska. W Mierzwicach Starych w wakacje mieszkali w większości domów, a na Koloniach we wszystkich. Gospodarze oddawali do dyspozycji gości pokoje, a sami przenosili się do letnich kuchni i stodół. Oni też byli zainteresowani budową. W wakacje zaczęto odprawiać msze w każdą niedzielę. Droga ciągle nie była najlepsza. Ksiądz kanonik przyjeżdżał rzadziej, głównie posługę duszpasterską pełnili sarnaccy wikariusze. Kaplica dostała patronów świętych Piotra i Pawła, i miała prawo do odpustu pod koniec czerwca. Majówki nadbużańskie przeszły do historii.



*Fot.309. Mierzvice i okolice zostały zelektryfikowane – wygląd współczesny*

odwilż powoli odchodziła w historię, zaczynały się przymrozki, a nawet przyzwoite chłody. Objawiło się to, w cofnięciu zgody na organizowanie dochodowych zabaw. Miejscowa milicja uznała, że na taki cel, jak budowa kaplicy, nie będzie zgody, każdy inny nie budził wątpliwości. Władza ludowa zawsze była przewrotna. W 1960 roku zelektryfikowano Mierzvice. I to okazało się prawdziwą rewolucją. Kaplica też została podłączona do sieci elektrycznej. Droga do Sarnak uzyskała w zniszczonych miejscach nową nawierzchnię, pojawiły się samochody.

- Dziadku, to budowa trwała dość długo, ludzi gromadził cel, mimo przeciwności starali się pokonywać przeszkody?

- Budowa świątyni zawsze ludzi łączyła, tak było i tym razem. W roku sześćdziesiątym Komitet Budowy

nadbużańskie przeszły do historii. Obchody Święta Morza też połączono z odpustem i przeniesiono do kaplicy. W międzyczasie wybudowano budynek, teren wokół zniwelowano nawożąc społecznie wielkie ilości ziemi i żwiru, zbudowano schody, i ułożono chodnik. Wewnątrz rzemieślnicy z Mielnika zbudowali ładny, drewniany ołtarz i tabernakulum. Kaplica stawała się normalną świątynią. Gomułkowska



*Fot.310. Widok na plac przy kaplicy. Drzewa posadzone przez pierwszych budowniczych wyrosły nadzwyczaj okazale*



Kaplicy przestał istnieć. Budowa się jeszcze nie zakończyła, chociaż prowadzona była na innych zasadach. Powstała przy kaplicy Rada Parafialna, która wspierała proboszczów parafii sarnackiej w zarządzaniu. W późniejszych latach dobudowano jeszcze z tyłu, za ołtarzem, zakrystię, a na górcie zrobiono mieszkanie. W wakacje przyjeżdżali księża z zewnątrz, to tu mieszkali. Organizowano również przy kaplicy oazy. Okolica napełniała się nowym życiem, pełnym młodości, żaru i dynamiki. W okresie letnim w nabożeństwach uczestniczyło kilkuset wiernych. Dawnych budowniczych, fundatorów,



*Fot.311. Zadaszenie nad wejściem do kaplicy ufundowane przez Dorotę Zych - Gałczyńską*

mieszkańców, którzy tworzyli kaplicę, którzy ją budowali, już nie ma, odeszli, ich ciała spoczywają na cmentarzu sarnackim. Inni wyjechali i też zostali, gdzieś daleko poza Mierzwicami. Dawna młodzież zdążyła założyć rodziny, wychować swoje dzieci, też zdążyła się zestarzeć, wielu odeszło do Pana. Ich dzieci założyły swoje rodziny i mają swoje dzieci. Wszystko wokół szalenie się zmieniło. Przez jakiś czas funkcjonował drewniany ołtarz polowy zbudowany w leśnym stylu.

Niestety zniszczył go czas. Znalazła się fundatorka i zbudowała daszek nad

schodami, który chroni ołtarz polowy w lecie. W ostatnich latach myśliwi wybudowali ładną figurkę swego patrona świętego Huberta. Na pamiątkę wizyty Ojca Świętego w stolicy diecezji w Drohiczynie położono pamiątkowy kamień ze stosownym napisem. Otoczenie i kaplica w zupełności nie przypomina tej, która tu zaczęła powstawać prawie z niczego, od prostej szopy po całkiem sympatyczną budowlę, którą teraz wielu podziwia. Wnętrze też się bardzo zmieniło. W kaplicy ukryta jest pamięć po tych, którzy ją budowali, tutaj się modlili i tutaj zostawili swoje serce, również po tych, którzy przyjeżdżali z Siedlec, Warszawy, i innych miejscowości, skąd ciągnęli na nadbużańskie łęgi odzyskać siły, pomieszkać w scenerii naturalnej, prawie nie zniszczonej przyrody.



*Fot.312. Widok ogólny na kaplicę*

- Dziadku, ta kaplica, to kawał historii życia mieszkańców.
- Tak. Jest po nich materialnym śladem.



## *XV. Wojna, wczoraj, teraz...*

- Dziadku, przeżyłeś wojnę i co z niej zapamiętałeś?

- Wojnę przeżyłem, jako małe dziecko. Zbyt wiele nie pamiętam, ale opowiadała matka, bliscy, sąsiedzi, którzy wojnę przeżywali świadomie. Wojną pachniało od wiosny 1939 roku. W sierpniu letnicy zwijali manatki i wynosili się do miast. Nie zdawali sprawy, że miasta były bardziej zagrożone, niż wsie, zwłaszcza takie, jak Mierzvice, gdzie można było ukryć się w lasach. Do jedzenia też było bliżej, bowiem rolnicy mieli zboże i mięso, mleko, tłuszcz. Miasto musiało czekać na zaopatrzenie z zewnątrz i było bardziej wrażliwe na bombardowania. Pod koniec sierpnia ogłoszono powszechną mobilizację. W wojsku znaleźli się stryjek Janek i mój ojciec. Wielu mieszkańców z obu Mierzwic i Kolonii dostało karty mobilizacyjne i spotkało się w różnych częściach przedwojennej Polski, głównie na wschodzie, daleko za linią Bugu. Ojciec nie dostał umundurowania i broni, i wkrótce wrócił do domu. Już trzeciego września spadły bomby na most we Fronołowie nie czyniąc mu krzywdy. Część mieszkańców w popłochu uciekała na wschód. Niemieccy lotnicy dość bezkarnie strzelali do bezbronnych ludzi, pracujących na polach, jak do kaczek. Wydawało się, że to kulturalny naród, zamieszkujący Środkową Europę, a zachowywał się poprzez swoich przedstawicieli, jak najzwyczajniejsi, azjatyccy barbarzyńcy, nie obrażając tych ostatnich. Uciekinierzy wkrótce zaczęli wracać do domów. Strzyjek zawieruszył się, gdzieś daleko na wschodzie i cudem uniknął śmierci z rąk niezbyt nam przychylnych Ukraińców i niektórych Białorusinów. 17 września ruszyła nawała ze wschodu, jeszcze bardziej barbarzyńska i nieokrzesana. Swoich nie szanowali, więc, co mogli zrobić z bezbronnymi Polakami, którzy dali im porządnego łupnia w



*Fot.313. Na Bugu pojawiła się granica*



*Fot.314. W tym domu zakwaterowali Niemcy*

dwudziestym roku. Dyszeli odwetem i żądzą zemsty. Szeregowcy, wpadli obdarci i głodni, trzymani krótko w ideologicznych ryzach przez czerwonych komisarzy, ślepych na wszystko, co dokoła zobaczyli. Popędzili na zachód, po drodze rabując i niszcząc wszystko. W okolicach Mińska Mazowieckiego

spotkali się z przyjaciółmi nadciągającymi z zachodu. Dwaj grabieżcy ustalili, że granica będzie na Bugu. Wkrótce bolszewicy wycofali się za Bug. Podczas powrotu zabierali, co tylko dało się unieść, przepędzić, załadować na wagony i uprowadzić na wschód. Rabowali dosłownie wszystko. Ograbiali majątki, ale nie przepuścili również bogatszym gospodarzom. Większość zrabowanych rzeczy zmarnotrawiono. Stali na bardzo niskim poziomie kulturalnym. Część Żydów i mętów polskiego pochodzenia przyjmowało ich bramami triumfalnymi. Taka powstała między innymi w Sarnakach. Pozakładali czerwone opaski na rękawy i rozpoczęli rządy. Nie zdążyli, bo władzę przejmowali drapieżcy z zachodu. Z nikim nie zamierzali się dzielić władzą. Do Mierzwic pierwszy oddział niemiecki zawitał w październiku, aby zakwaterować na stałe w dwa tygodnie później. Na Bugu pojawiła się granica między superbandytami Stalinem i Hitlerem. Jeden był wart drugiego. Na środku wsi w domu Bronisława Daniluka z rodu Gubernatorów stanął niemiecki posterunek z wroną na sztandarze i hitlerowską swastyką. Rozpoczęły się rządy barbarzyńców. Bandyci zmuszali przechodzących do zdejmowania czapek przed swastyką, jeżeli ktoś tego nie uczynił, to dostawał w łeb, aż czapka sama spadała. Mężczyźni zaczęli chodzić z gołymi głowami lub omijali szerokim łukiem



*Fot.215. Pijani „grenczuze” tutaj ponizali na różne sposoby mierzwiczian*



*Fot.316. Nieraz w nocy, podczas przeprawy, rozgrywały się tutaj prawdziwe tragedie ludzkie*

zapowietrzony zakątek wsi.

- Dziadku, to Niemcy byli tak bardzo podli?

- Przeważnie bardzo źle traktowali Polaków. Dużo pili, awanturowali się. Obowiązywała godzina policyjna, to znaczy w nocy nie wolno było przebywać poza domem. Dziadek Stasiek miał z tym wiele kłopotów, bowiem chodził wtedy do babci Frani, jako swojej dziewczyny i nieraz musiał uciekać przed niemieckimi patrolami. Na szczęście droga na Kozik prowadziła głównie przez pola, a tamtędy patrole nie chodziły.

Wkrótce doszły nowe ciężary. Okupant nakładał kontyngenty. Rolnicy musieli



dawać płody ziemi za darmo lub za bzdurliwe produkty produkowane na potrzeby niewolników. Na wiosnę następnego roku brzegiem rzeki zaciągnięto zasieki z drutu kolczastego i tak powstała granica. Od początku wojny przez granicę szmuglowano ludzi i towary. Przede wszystkim ludzi. Uciekali Żydzi. Ale i zdarzało się przechodzić granicę Polakom. Uciekinier złapany po drugiej stronie traktowany był za „szpiona” i dostawał kulę w łeb bez sądu lub miejsce w obozie na dalekiej Syberii. Sowietnicy Żydów też nie rozpieszczali. Stalin był antysemitą i ich nie lubił.

- Dziadku, podobno Niemcy dokończyli budowę szkoły?



*Fot.317. W tym miejscu stał dom twoich praprapradziadków*



*Fot.318. Zasieki z drutu kolczastego sięgały płotu z prawej strony*

- Można to tak nazwać. W ich czasach w budynku szkolnym, przynajmniej na początku, szkoły nie było. Nowe władze zajęły się Żydami. Skonfiskowano ich majątki, jeżeli takie mieli i w szybkim tempie tworzono getta, póki, co wykorzystywano Żydów, jako niewolniczą siłę roboczą. Mężczyzn zatrudniono przy wykończeniu budynku szkoły. Wokół wznosili wały

wysokie na kilka metrów, z zewnątrz bezwodne fosy, i stawiali zasieki z drutu kolczastego. Wkrótce za ścianą domu moich rodziców stanęła ufortyfikowana strażnica zwana „wachą”. Niemcy bardzo źle obchodzili się z Żydami. Głodzili i zmuszali do niewolniczej pracy. Traktowali ich znacznie gorzej, jak się traktowało zwierzęta, nawet przez najbardziej bezwzględnych właścicieli. Miejscowi próbowali im dawać chleb, co nie należało do czynności bezpiecznych. Taka sama strażnica powstawała we Fronołowie. Naszych kuzynów przesiedlono do „białego dworku” i oddano do dyspozycji jeden czy dwa budynki należące do Czerwonego Krzyża. Strażnica została podobnie ufortyfikowana, jak ta w Mierzvicach. Dziwne, ale Niemcy



*Fot.319. Tu zlokalizowano „wachę”*



nie wyrzucali miejscowych zza ścian swoich fortyfikacji. Być może uważali ich za swoistą tarczę obronną. Na początku 40-tego roku posterunek ze środka wsi został przeniesiony do nowo utworzonej strażnicy. Represyjność „grenszucu” wobec mierzwiczian nie zmniejszyła się.



*Fot.320. Stąd Niemcy podglądali Sowietów*

- Dziadku, ciężko mieszkało się w cieniu „waczy”?

- Wszystkim było ciężko, bo niemieccy żołdacy na każdym kroku pokazywali, że oni są panami, a reszta, to ciemna masa – podludzie, coś w rodzaju małp, tylko posługujących się narzędziami i jakimś językiem. Żydzi stali jeszcze niżej. Tych można było zabijać pod byle pozorem. Okupant zorganizował swoją administrację, powstał arbajtsamt, czyli urząd pracy, gminy funkcjonowały normalnie. Wójtem był Niemiec lub Polak ściśle nadzorowany przez Niemców, na wsi musiał być sołtys miejscowego pochodzenia. Oprócz podatków, obowiązkowego świadczenia pracy na rzecz okupantów i gminy, wprowadzono kontyngenty – obowiązkowe

dostawy produktów rolnych od zboża, ziemniaków począwszy, na paszach, żywcu, lnieniu i wełnie - skończywszy. Nad sprawnym oddawaniem kontyngentów czuwała gmina, a w razie trudności wszechwładne gestapo, czyli policja polityczna. W 40-tym i na początku 41-ego roku ruszyły wielkie budowy.

Niemcy, wykorzystując Żydów budowali drogi. Wkrótce Sarnaki z Mierzwicami połączył brukowany gościniec. Przygotowania do wojny szły pełną parą. Na dębnie – ulubionym celu waszych wędrówek powstało stanowisko obserwacyjne – wideta. Niemcy bardzo interesowali się tym, co się działo za Bugiem – świeżo utworzoną granicą. Kolej pracowała pełną parą. Sowietci z Niemcami handlowali. Ze wschodu szła żywność i surowce, z zachodu wyroby przemysłowe. Granica przyjaźni powoli przekształcała się w granicę niepokoju.

- Dziadku, szykowała się wojna?

- Od zimy zaczęło przybywać coraz to więcej wojska. Kwaterowali wszędzie,



*Fot.321. Od zimy Niemcy przygotowywali się do wojny. Mieszkali w domu twego praprapradziadka. W kuchni umierała prapraprababcia*

również u twoich praprapradziadków na Nowych Mierzwicach. Prawie w każdym większym domu mieszkali Niemcy. U moich dziadków w kuchni umierała babcia Józefa, a obok w pokoju panoszyły się szkopy. Robili pomiary, obserwowali granicę. Na początku czerwca kazali budować schrony. Sowieci



*Fot.322. W pobliżu tego cmentarzyka miała miejsce zwycięska bitwa oddziału „Zenona” z Niemcami. Na zdjęciu pamiątkowy głaz uwieczniający tamto wydarzenie*

-Ciężka ręka okupanta złagodniała?

- Stawała się jeszcze cięższa. Rządziło gestapo i żandarmeria, siły policyjne bezwzględnie traktujące Polaków. Od czasu do czasu odwiedzali Mierzvice. Staraliśmy się wtedy uciec do lasu. Zaczęły się wywózki młodych mężczyzn i kobiet na roboty do Niemiec. Kilka osób z Mierzwic Starych i Nowych znalazło się na liście „arbeitsamtu” i zostali wywiezieni na roboty do Rzeszy. Na początku 44-ego roku Mierzvice i okolice stały się miejscem, gdzie testowano hitlerowską wunderwaffe. Z nieba spadały torpedy, jak je nazywano. Większych szkód na szczęście nie poczyniły. Partyzantom udało się przechwycić niewypał i po rozmontowaniu wywieźć na Zachód.

Na pamiątkę tamtego wydarzenia, przed paru laty, w Sarnakach postawiono pomnik. W czasie przechwytywania rakiety, dla odwrócenia uwagi Niemców,

niczego się nie spodziewali. Zachowywali się tak, jakby, nic się nie działo. Do końca handlowali przez Bug. 21 czerwca kazali schować się do schronów. Nad ranem zaczęło się. Niemiecka nawała ruszyła na wschód. Palily się Sarnaki. Mierzvice i Kolonie nie ucierpiały. Razem z wojną znikła „wacha”.

- Dziadku, pamiętasz to wydarzenie?

- Pamiętam. Siedzieliśmy w schronie u sąsiadów przy sarnackim gościńcu. Do dziś dźwięczą mi w uszach koszarne grzmoty przewalające się nad głową. Pamiętam łunę nad Brześciem, szum lecących na wschód bombowców i otwierające się drzwi pod wpływem drżenia ziemi od dalekich wybuchów.



*Fot.323. Pomnik niemieckiej rakiety V-2 postawiony na sarnackim skwerze dla upamiętnienia zdarzeń związanych z jej wykradzeniem przez oddziały AK z nadbużańskich mokradel*



oddział Zenona stoczył zwycięską bitwę za Szwabami. Kilku zostało zabitych, kilku dostało się do niewoli. Dla uniknięcia pacyfikacji wsi wypuszczono pochwyconych Niemców, aby zaświadczyli, że oddział jest przechodzący i mieszkańcy okolicznych wsi nie mieli z nim nic wspólnego. Przyjeżdżało gestapo i żandarmeria. Znowu uciekliśmy do lasu. Na szczęście wsi nie



*Fot.324. W 44-tym roku tutaj stało zakopane wielkie samobieżne działo, z którego Niemcy strzelali przez Bug do maszerujących wojsk sowieckich*

spacyfikowali. Lasy zaludniały się coraz gęściej. Pojawili się i komuniści, ale unikali walk z Niemcami, zajmując się głównie intratnym rabunkiem bogatszych gospodarzy – Polaków. Rabusiów innej barwy, a właściwie zupełnie bezbarwnych też pojawiło się sporo. W czerwcu przybyli do Mierzwic Madziarzy, jak się sami nazywali. Do wojaczki raczej się nie rwali. Na tyłach wojsk niemieckich pełnili funkcje usługowe. Teraz wycinali las i budowali drogi o bardziej utwardzonej nawierzchni. Na początku lipca przeprawiwszy się przez Bug mostem kolejowym zaczęły przejeżdżać

niemieckie wojska uciekające na zachód. Szły czołgi, działa, mnóstwo sprzętu zmechanizowanego i tak to trwało kilka dni, i nocy. Początkowo jechali koło świętego Jana i dopiero tu skręcali na sarnacki gościniec, potem zrobili skrót za kuźnią omijając ostry zakręt. Węgrzy wyścielili drogę drągowiną i zbożem, które kosili na pobliskich polach. Po kilku dniach droga została jeszcze bardziej skrócona i zaczynała się koło Jerczaczki, a do gościńca dochodziła przy figurce Demianiuków. W połowie lipca wszystko ustało. Koło krzyża zatoczono i okopano wielkie działo. We wsi stało ich jeszcze więcej. Skryliśmy się w schronie zbudowanym na podwórku i w ogrodzie wspólnie z sąsiadami, tym razem Hackiewiczami. Wszystkie sprzęty wyniesiono z domu i schowano w gęstej, wysoko wyrosłej fasoli tyczkowej. Wielu ludzi skryło się w lesie kopiąc tam prowizoryczne ziemianki. Zaczęła się kanonada. Front zatrzymał się na Bugu przez kilka dni. Huczało i strzelało ze wszystkich stron. Do szyi schronu wpadały tylko odłamki. Wreszcie kanonada ucichła. Niemcy wynieśli się cichcem. W kilka godzin potem od strony Trojanu ruszyły czworoboki rosyjskiej piechoty. Szło mrowie ludzi. U nas „ludziej mnoga” mawiali. I rzeczywiście nie kłamali. „Bajcy” byli znacznie grzeczniejsi i nikomu krzywdy



*Fot.325. W głębi widać dach obory, którą trafił pocisk artyleryjski i nie wybuchł*



w Mierzwicach nie robili. Na początku kanonady zginął młody chłopak w Nowych Mierzwicach. Siedział na płocie, gdy dopadł go zbłąkany pocisk. Rodzice pochowali go w ogródku przy domu. Dopiero po dwu tygodniach, po przejściu frontu przeniesiono jego ciało na cmentarz w Sarnakach. I tym razem żadna z pobliskich wsi nie ucierpiała. Pocisk trafił w oborę na Koloniach, w której leżeli ranni Niemcy. Przebił dach i nie wybuchł. Wszyscy mieli szczęście.

- Dziadku czy to był pierwszy dzień wolności?  
- Tak to odbieraliśmy. Znikły znienawidzone mundury feldgrau. Ludzie w zielonoszarych szynelach okazali się znacznie miłsi. Byli biedni, nieraz głodni. Wielu z nich potrafiło pokazać ludzką twarz. Zorientowaliśmy się, że również byli zniewoleni. Na pytanie, jak żyjecie, jak u was jest, padała zawsze jedna odpowiedź „oczeń charaszo”. Bali się jedni drugich. Ale byli i tacy, co czuwali nad prawomyślnością żołnierzy. Panicznie bali się komisarzy. Matka częstowała ich chlebem, białym, normalnym, pytali - amerykańskij? Nie, nasz – padała odpowiedź. Odważniejsi biorąc go do ręki płakali i pokazywali swój upieczony z jakiejś dziwnej mieszanki i płakali, jakżeż oni płakali. Tak reagowali starzy. Młodzi byli już ślepi, jak szczeniaki po urodzeniu. Boże, co można zrobić z



*Fot.326. Szkoda, że zniszczono niemiecką linię telefoniczną*

człowiekiem? W kilka dni później na zachodzie zagrzmiało i tak grzmiało przez dwa miesiące – to powstanie warszawskie. Na początku czuliśmy wolność. We wrześniu poszliśmy do szkoły. Jeszcze za drutami, obwałowanej. Zostałem uczniem drugiej klasy. Od razu. Potem ojciec poszedł na front. Nigdy nie wrócił. Nie był na żadnej przepustce. Podobno był trefny. Zmobilizowano prawie wszystkich młodych mężczyzn. Tylko ojciec nie wrócił. Został gdzieś na polach Saksonii. Wojna zabrała ze wsi poza chłopcem, o którym pisałem, dwóch mężczyzn. Drugi zginął wcześniej, był to młody Maksymiuk. Inni wracali, niektórzy dość późno zwiedzając Rosję, Bliski Wschód. Dokoła, ale wracali.

- Dziadku, co się zaczęło zmieniać?

- Po przejściu frontu we Fronołowie zbudowano drewniany most, stary Niemcy wysadzili w powietrze. Początkowo przez niego szło zaopatrzenia dla armii. A po zakończeniu wojny szły transporty ciągnięte nawet przez dwie lokomotywy z dobrem na wschód. Wolniutko, bo most się kołysał, Rozpinano pociągi na mniejsze. Bugiem płynęły statki, też na wschód. Piękne. Podglądaliśmy je. Dużo tego było. Wiosną, kiedy woda była wysoka. Zdarzało się, że stawały na mieliznach, kamieniach. Musiały być mocne, bo po uwolnieniu szły dalej. Załogi czasem stawały przy wysokim brzegu na noc. Płynęły tylko w dzień.

Zawsze poszukiwały wódki. Chleba już nie chciały. W Mierzwicach uczniowie powoli rozkopywali wały, likwidowali zasieki z drutu kolczastego. Pomagali rodzice zwłaszcza przy cięższych pracach. Po roku szkoła przestała być twierdzą. W czasie wojny Niemcy wybudowali linię telefoniczną z Sarnak do Mierzwic i Fronołowa. Mieszkańcy rozebrali ją bardzo szybko. Przewody poszły na potrzeby gospodarstw, gdzie drut był zawsze potrzebny, a solidne słupy na słupki ogrodzeniowe lub opał. Szkoda. Zaczęto budować most żelazny, od kesonów. Dzieci inżynierów chodziły z nami do szkoły. Na jednej z wycieczek odwiedziliśmy budowę. Mogliśmy wejść do kesonu. Niesamowite przeżycie. Dość szybko powstał ten most. Teraz transporty mogły jechać szybciej. Jeszcze jechały dość długo. Lubiliśmy gapić się na pędzące pociągi. To był wielki świat.

-Dziadku, poprawiło się?

- Oczywiście. Zaczęła się emigracja na zachód i północ, na Ziemię Odzyskaną. Wyjechali Szymańscy - nasi kuzyni z Fronołowa. Wyjeżdżały liczne rodziny Rybaczków, Karwackich, Dacewiczów, Paździorów. Ze Starych Mierzwic wyjechało tylko kilka rodzin z Kolonii jedna, z Nowych Mierzwic bardzo dużo



*Fot.327. Szymańscy znaleźli swoje nowe miejsce w Kraskowie pod Kętrzynem i tam pozostali*



*Fot.328. Ten most był jeszcze poświęcony*

może jedna trzecia mieszkańców zmieniła miejsce zamieszkania, między innymi rodziny Koszuków, Stefańskich, Juńczyków.

Gregorczków,  
Chwedczuków, Daniluków,  
Waszczuków.

Mierzvice były przeludnione, a ziemia bardzo słaba. Trudno się utrzymać z pracy na roli. Powoli nowe władze zaczęły przykręcać śruby. Jeszcze było poświęcenie mostu z ołtarzem polowym, mszą i kazaniem księdza Kulawika, były majówki i świętowanie nad Bugiem. Jeśli chodzi o tradycję, to nic się nie zmieniało. Z komunistami walczyli partyzanci. Na tych ziemiach pojawiał się oddział Młota, prężny, ruchliwy i trzymający w szachu tutejsze milicje, i ubecje. Dowodził Władysław Łukasiuk z



Mężenina. Zaczynały się represje wobec, niektórych mieszkańców. Mój stryjek mógł się przekonać na własnej skórze, jak wygląda bat gestapowca i ubeka. Niestety, swojego był znacznie cięższy. Kilku gospodarzy nieoczekiwanie znalazło się w więzieniu za rzekomą pomoc partyzantom. W nocy niepodzielnie rządzący partyzanci, w dzień KBW i milicja. Było ciężko. Przypominały się czasy wszechwładnego gestapo, które zastąpiło, rzekomo nasze, UB. Równie bezwzględne. Zapanował terror. Wróciły kontyngenty zwane teraz obowiązkowymi dostawami, równie bezwzględnie ściągane, jak jeszcze niedawno robili to hitlerowcy. Hitleryzm i stalinizm miał wiele wspólnych cech. Za Bugiem przy moście stacjonowała jednostka KBW. Strzegli mostu, ale na polecenie ubecji przeprowadzali operacje w terenie. Między innymi kiedyś napadli na moją rodzinę, czyli moją matkę i dwóch jej synów, którzy byli jeszcze małymi dziećmi. Zapamiętałem rewizję i oficera na etacie Polaka. Chyba nie zapomnę do śmierci rozkraczanego pana na środku izby wymachującego naganem przed oczyma wystraszonej kobiety i jej dzieci – niebezpiecznych wrogów nowej władzy. Moi koledzy z nauczycielami mieli świetną pogładową lekcję ludowej demokracji, bo z okien szkoły wiele dało się zobaczyć. Przy okazji władza ludowa okradła wdowę. Na słupach pojawiły się listy gończe za Stachem Bogdaniukiem, Karwackim i jeszcze kilkoma młodymi mieszkańcami Kolonii i okolic. Wszyscy pochodzili z biednych rodzin. W odwet za udział syna w partyzantce żołnierze KBW pocięli na drobne kawałki dom mieszkalny Karwackich z za torów. Nie mieli, gdzie mieszkać, więc przenieśli się do opuszczonego „białego dworku” we Fronołowie. Wielu dotykały represje. W szkole pojawiło się pierwsze w okolicy radio z głośnikami na baterie. Nad wsiami zawisła groźba kolektywizacji na wzór sowiecki. Nazywało się to, tworzeniem spółdzielni produkcyjnych znanych, jako kołchozy. Nie utworzono. Po dojściu do władzy Gomułki terror zelżał, odstąpiono od kolektywizacji wsi. Mimo trudności i szykan los mieszkańców wyraźnie się poprawił. Skończyły się przednówki. Otworzył się duży rynek zbytu. Cokolwiek urosło na polu i wychowało się w chlewie znajdowało nabywców. Gminne Spółdzielnie masowo skupowały wszelakie płody rolne. Ceny ustalało państwo. Ludzie zaczęli mieć pieniądze. Od połowy lat pięćdziesiątych zaczęto doceniać wykształcenie średnie i prawie wszystka młodzież kontynuowała nauki w szkołach zawodowych, i średnich. Poziom nauczania był stosunkowo wysoki i nauczyciele wymagali od swoich uczniów jeszcze rzetelnej wiedzy. Kiedyś w restauracji spotkał się sędzia z



*Fot.329. Każda świnia mogła liczyć na to, że ją kupią, tylko trudno zgadnąć, co się potem z nią działo*



kolegami. Wiecie co? Słyszałem dziś kapitalny kawał, rzekł ze śmiechem. To powiedz go. O nie, nie powiem, przed chwilą dałem za niego pięć lat obozu pracy. I to wcale nie był żart. Trzeba było bardzo uważać, aby publicznie nie zakpić sobie z takich świętości, jak partia komunistyczna, Związek Sowiecki czy sekretarze. Za to rzeczywiście szło się do więzienia. Mój znajomy, mężczyzna pochodzący z Kolonii, na stacji kolejowej w Siemiatyczach pozwolił sobie zakpić publicznie z Gomułki, usłyszał to ubek i chłopak został wyrzucony z pracy. Gdyby zrobił, to dwa lata wcześniej znalazłby się w więzieniu.

- Dziadku, to były ciężkie czasy.

- Żyło się nielekkko w krainie absurdu. Po wojnie powrócili do Mierzwic letnicy. W odróżnieniu od przedwojennych, chętnie chodzili na grzyby, łowili na wędkę ryby, w sezonie zbierali jagody. Dużą ich rzeszę żywiła przewspaniała Florcia,



*Fot.330. Wieś została zelektryfikowana- widok współczesny*

czyli Florentyna Hackiewicz, prywatnie moja chrzestna. Wielu jadało u Florci. Jadłodajnia mieściła się w nowo wybudowanym domu za remizą strażacką. Ci co korzystali z jej usług już odeszli, dzieci dorosły i wyszły na ostatnią prostą w drodze do wieczności. Jej też już dawno nie ma. Powoli wszystko się zmieniało na lepsze. Wielki skok cywilizacyjny dokonały Mierzvice w 1960 roku, gdy zostały zelektryfikowane. Oprócz światła elektrycznego pojawiły się maszyny

napędzane silnikami elektrycznymi. W każdym domu znalazło się radio. Zbyt wiele z radia dowiedzieć się nie dało, ale zawsze podawano dokładny i prawdziwy czas, i czasem udaną prognozę pogody. Pojawiły się ciekawe słuchowiska i sporo propagandy. Trzeba przyznać, że w tej dziedzinie mimo olbrzymiego postępu technicznego, swobód demokratycznych, niewiele się zmieniło.

Nowomowa socjalistyczna została zastąpiona nowomową reklam i niezbyt rozcarniętych dziennikarzy próbujących na siłę głosić idee poprawności politycznej. Siermiężna władza Gomułki wreszcie odeszła w niebyt. Zaczęła się era prosperity, którą zapoczątkował Gierek. Zaczęły zniknąć strzechy, powstawały budynki murowane zarówno domy, jak i zabudowania



*Fot.331. Znikły dachy kryte strzechą zastąpiła je blacha pozyskiwana z beczek*

gospodarze. Kolonie położone za Obozem z wyjątkiem gospodarstwa Sawczuków i Karwackich za torami, zaczęły zniknąć. W miejscu dawnej własności PCK powstały kolejowe ośrodki wczasowe. Gospodarstwa Marciniuków, Bogdaniuków, Szoplików, Bobińskich, Chalimoniuków zaczęto rozsprzedawać na działki, na których powstawały domki, początkowo bardzo prymitywne. Z czasem prawo złagodniało i zaczęto budować przyzwoite wille. We Fronołowie powstała osada z ulicami i drogami dojazdowymi. Od strony smolarni z drugiej strony Mierzwic powstawały ośrodki wczasowe różnych zakładów pracy. Najwcześniej powstał ośrodek kiniarzy, którzy otworzyli letnie kino. W lecie, w okresie wakacji wyświetlano wiele ciekawych filmów, nieraz trudno dostępnych w miastach. Wokół kaplicy właściciele mieszkający w Nowych Mierzwicach sprzedawali leśne działki pokryte dość rachitycznymi



*Fot.332. Stali mieszkańcy wsi powoli wymierali*

sosnami. Tu powstawały małe i całkiem duże, a nawet luksusowe wille. Pojawiła się dość powszechnie telewizja. Świat zaczął się ujednolicać. Za to zaczęły zanikać obyczaje przekazane nam przez ojców. Nikt już nie wystawiał Jasełek. Kolędowanie i wiele zwyczajów związanych ze świętami odchodziło do historii. Na wszystko potrzebne były zezwolenia, poza tym nie było kontynuatorów tradycji. W okresie letnim w Mierzwicach Starych i na Koloniach przebywało setki wczasowiczów.

Okolica z typowo rolniczej zamieniała się we wczasowo – wypoczynkową. Stali mieszkańcy powoli wymierali, młodzi wyjeżdżali poszukując lepszych warunków pracy i życia. W zimie wieś coraz bardziej pustoszała. Jeszcze w początku lat osiemdziesiątych uprawiano większość gruntów. Za rządów Gierka zrobiono komasację, czyli scalenie gruntów. Drobnie rozproszone działki gospodarzy połączono tworząc kolonie. Na takich działkach mogły już pracować maszyny. Na pola wchodziły kombajny. Początkowo wypożyczane z Kółka Rolniczego w Sarnakach. Od połowy lat siedemdziesiątych można było oddawać ziemię dla państwa za emeryturę. Za



*Fot.333. Przy drodze stały schludne domki*



Gierka wreszcie zniesiono hitlerowskie i komunistyczne obowiązkowe dostawy produktów rolnych, za które rolnicy otrzymywali symboliczną zapłatę.

Pierwszą działkę oddali Kołtuniakowie w 1976 roku. Potem przez kilka lat nikt nie oddawał. Za Gierka wprowadzono powszechne ubezpieczenie rolników gwarantujące rentę na stare lata. Ci, co mieli ambicje i chęci, mogli w tym czasie rozbudować swoje gospodarstwo. Powszechne tanie kredyty pozwalały na zakup traktorów i innych maszyn rolniczych, oraz na budownictwo gospodarcze. Powstało kilka dużych obór, w miarę wyposażonych nowocześnie. Wybudowano parę ładnych domów, zdaje mi się, że pierwsi to zrobili Sokołowscy. Okres prosperity szybko się skończył, ponieważ mieszkańcy i państwo urządziło sobie życie na kredyt, który należało spłacać. W trudnej



*Fot.334. Drogi wyasfaltowano*

sytuacji znalazło się państwo, a z nim jego obywatele. Dotknęło to również mieszkańców Mierzwic i Kolonii. W latach osiemdziesiątych, a w szczególności w dziewięćdziesiątych wsie zaczęły się wyludniać. Szczególnie, to dobrze widać w zimie, kiedy nie ma przybyszów z miast. Znikły rodziny z małymi dziećmi. Potomkowie mierzwiczian znaleźli się w Łolicach, Siemiatyczach, Siedlcach,

Warszawie, Krakowie, Gdańsku, Poznaniu, Białymstoku i wielu innych miejscowościach. Gospodarstwa przejmowało państwo. Starzy gospodarze otrzymywali renty i wymierali. Pod koniec 1989 roku odzyskaliśmy suwerenność. Z początku było bardzo ciężko, chociaż nie tak, jak po wojnie. Wyasfaltowano drogi najsamprzód wzdłuż Bugu od Serpelic do Kózek przez Mierzvice. Asfalt przeciął Klepaczew, Zabuzę, Bużkę. Nieco później pokryto asfaltem odwieczny gościniec do Sarnak. Potem wieś zwodociągowano, już w czasach wolnej Polski po upadku komunizmu. Infrastruktura wsi zachęcała do sezonowego osiedlania się przybyszów z miast. Nadbużańskie tereny wyłączono z użytkowania rolniczego.



*Fot.335. Tereny Parku  
Krajobrazowego są naprawdę  
bardzo urokliwe*

Popyt na działki ciągle się utrzymuje. Kupują ludzie z miast i budują coraz okazalsze domy. Wieś coraz bardziej zmienia swoje oblicze i staje się wczasowiskiem. Utworzenie parku krajobrazowego Podlaski Przełom Bugu z przepiękną doliną dzikiej rzeki przyciąga coraz większe rzesze turystów,



wędkarzy, kajakarzy. W Mierzwicach Starych i Nowych zostało tylko kilka gospodarstw. Kolonie od strony Mierzwic do Obozu i nieco dalej pozostają krainą rolniczą, i zapewne taką pozostaną. Z krajobrazu znikły stada krów, tak charakterystyczne nadbużańskim łąkom. Nie słyszy się piania kogutów, beku owiec, bo poza jednym entuzjastą nikt tych zwierząt nie hoduje. Trzy wsie zamieszkuje tylko kilka koni. Nie stanowią one już głównej siły pociągowej, a służą raczej celom rekreacyjnym. Dawne grunty orne coraz bardziej porasta młody las. Okolica staje się bardziej lesista, pełna dzikiej zwierzyny. Powstało kilka gospodarstw agroturystycznych oferujących przyjezdnym noclegi i smaczne jedzenie dostarczając interesujących atrakcji. Kaplica i przyjeżdżający do niej księża służą pomocą duszpasterską. Wsie straciły swoich pierwotnych mieszkańców. Przybyli nowi, niektórzy spędzają tutaj swój czas, jako emeryci. Mierzvice stają się dla nich gniazdem.

- Dziadku, też tu lubię przebywać.
- Wiem i bardzo się z tego cieszę.



*Fot.336. Urokliwa figurka Matki Bożej stojąca w pobliżu dawnej leśniczówki w Nowych Mierzwicach*





*Fot.337. Sad przy dawnej szkole w Starych Mierzvicach*



*Fot.338. „Kąpielisko” dzików*

## *Spis treści*

<i>I. Zamiast wstępu i epilogu.....</i>	<i>3</i>
<i>II. Puszcza.....</i>	<i>5</i>
<i>III. Rzeka.....</i>	<i>19</i>
<i>IV. Ludzie.....</i>	<i>33</i>
<i>V. Skąd my?.....</i>	<i>43</i>
<i>VI. Wiara.....</i>	<i>51</i>
<i>VII. Zajęcia.....</i>	<i>61</i>
<i>VIII. Mierzvice, Fronołów, Kolonie.....</i>	<i>79</i>
<i>IX. Szkoła. Uczniowie.....</i>	<i>99</i>
<i>X. Ora et labora.....</i>	<i>107</i>
<i>XI. Kolędnicy i kolędowanie.....</i>	<i>127</i>
<i>XII. Huta, tłoka, „posiedzinki”, prządki.....</i>	<i>135</i>
<i>XIII. Zabawy dorosłych, zabawy dzieci.....</i>	<i>151</i>
<i>XIV. Kaplica.....</i>	<i>163</i>
<i>XV. Wojna, wczoraj, teraz.....</i>	<i>169</i>

Koniec



